Nr. 51. Poznań, dnia 23 Grudnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 39. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

W żłobie leży — któż pobieży!...

W żłobie leży... któż pobieży myślą, uczuciem i wiarą żywą do Tego, Który zstępuje na ziemię, ażeby niebo zbliżyć i niebo dać...

W żłobie leży...któż pobieży czynem, ofiarą i zaparciem się do Tego, Który sam siebie poniża i wyniszcza, ażeby nas wywyższyć i ubogacić...

Nie jeden raz pytać trzeba, kto pobieży dziś do Chrystusa i zrozumie, z czem u progu stajenki stanąć trzeba...

Ludzie dziwnie maleją duchowo, jakkolwiek potężnieją rozumowo. Ludzie dziwnie oddalają się od poznawania samych siebie, jakkolwiek pracują wiele, ażeby innych znać umieli.

Dlatego stają niejeden raz przed Zbawicielem i nie umieją Go szukać. Dlatego przybiegają tłumnie w takich dniach uroczystych, a nie wiedzą, z czem stanąć przed Ukorzonym i Poniżonym Panem Świata, potrzeba!...

Gdybyśmy rozumieli czem stawać się powinna ludność, wtedy byśmy wytężali wszystkie siły, ażeby do żłóbka Zbawiciela spieszyć z zwycięstwem ducha nad ciałem i przynosić cnoty zamiast win...

Tysiąc dziewięćset sześć razy wschodziła już gwiazda betlejemska nad czołem ludzkości, a jeszcze nie wszystkie serca w jej blasku skąpały się i nie wszystkie czoła od jej jasności wypiękniały.

Tysiąc dziewięćset sześć razy przybiegała ludzkość do żłóbka Zbawiciela, a jeszcze nie poznała drogi, którą Mistrz iść kazał...

Dlatego świat pełen jest win, dlatego bezprawnie rządzi między narodami, dlatego cierpią i płaczą ci, którzy nie chcą być wykonawcami cudzych praw i nie pragną śmierci innych narodów.

W żłobie leży, któż pobieży ...

Pobiegną ci, którzy Zbawiciela znają, czczą i wielbią, lecz wielbią nie słowy samymi, ale czynami wplecionymi w życie.

Pobiegną ci, którzy serca mają żywe i chcą przynieść ubożuchne dary w podzięce za dar największy — zbawienie duszy...

Pobiegną ci,którzy pełni są smutku i bolu, a serce mają przebite głęboko, ci, którym życie nie wysnuło szczęścia promyków, którym dzień po dniu przynosił bolu gorzkie krople do picia.

Pobiegną synowie tego narodu, któremu przeznaczono w męce i cierpieniu trwać długie dziesiątki lat.

A upadłszy na twarz przed Bożą Dzieciną, poczną błagać i prosić: — Jezu!... Bądź nam miłosierny!...

Lecz by MiłosierdziePańskie nas z więzów wyprowadziło, potrzeba, byśmy sami siebie wolnymi w prawdzie i wierze uczynili.

Do żłóbka zbliżać się trzeba z ofiarą ducha pełnego żywej wiary i z siłą woli wytrwania w dobrem bez zachwiania się.

Niechaj biegną do żłóbka Chrystusowego ci,co godni zwać się synami Kościoła i wiary, a niechaj biegną i ci, którzy potrzebują pokrzepienia i umocnienia.

Ludu polski... Tyś był najwierniejszy u stopni ołtarzy, tyś wycierpiał wiele prześladowań za pacierz i wiarę, ty dziś przez serce dzieci swoich walkę o pacierz i katechizm polski staczasz, ty spiesz z kolędą wesołą do żłóbka Jezusa i nas wszystkich za sobą pociągnij, nas wszystkich zbliż do żłóbka... a kiedy zabrzmi pieśń radosna: — w żłobie leży... wtedy cała Polska odpowie jednem wołaniem:

Oto Polska z czcią i wiarą bieży...
Polska staje przed Bogiem, który w żłobie leży!

Iskra.

Pokłosie z wieca polsko-katolickiego.

Skąd roje te ludu? I dokąd bieżą? Co znaczy ten nastrój świąteczny? — ten cichy szmer gwaru? — ten spokój? te oczy błyszczące jakby w natchnieniu myśli niezłomnych i wielkich?

Suną w skupieniu do kościoła, by hołd oddać Bogu, by pomodlić się za szczęśliwy przebieg wieca polsko-katolickiego, by ślubem związać się z Zbawicielem, że:. od Zakonu Jego nie odstąpią za żadną cenę!

Serca rwały się na wiec. Sala przepełniła się w mgnieniu oka, a z ust szept cichy płynie: byle wrychle się rozpoczął! byle nam go nie rozwiązano!

Ale kto spojrzał po tych masach, kto sercem odczuł tętno serc bijących w tych uczestnikach wieca, którzy z najdalszych zakątków dzielnicy Wielkopolskiej podążyli do Poznania — ten rósł w poczuciu siły i mocy: niech spróbują rozwiązać; co mu mówcy nie powiedzą, lud ten w sercu odczuje — a po dzielnicy tej spokojnej roznieci się burza gniewu i oburzenia.

I nie rozwiązano wieca — siła ludu przemogła wrogie zapędy. Wiec odbył się spokojnie.

Troska ludu o wychowanie swych synów i cór, troska o przyszłe pokolenia i o bezpieczeństwo Kościoła sprowadziła lud ten na ten wielki wiec.

Zebrał się lud, by radzić nad dolą i niedolą swoją, nad najświeższemi bolączkami, które serce jego ranią, nad przyszłością swoją.

Przynieśliście, bracia — powiada zagajając wiec Dr. Roman Szymański — na tę salę: duszę polską i katolicką — mężną — nietrwożącą się — silną, zawdzięczającą wszystkie swoje cnoty Bogu i własnej pracy.

Zapał wśród zebranych rósł i wzbierał co chwila, a słowa mówców

uderzały weń jak podmuch wiatru w fale szumiących wód. Fala ta to podnosi się, gdy z ust mówcy pada słowo znajdujące w niej odbicie wierne — to cichnie, gdy przypomina im przebyte cierpienia i walki.

Nauczyliśmy się cierpieć, cierpienia znosić, nie obawiamy się nowych pocisków — a jednak wytrwamy — woła ks. prał. i poseł *Stychel* — a odpowiada mu na to burza oklasków i głosów: będziemy cierpieć, ale się nie damy.

Ta gotowość ludu naszego, to zrozumienie, że w najbliższym czasie nie polepszenie nastąpi tej doli jego, ale może pogorszenie nawet — ta gotowość cierpienia za przyrodzone prawa swoje, ona to krzepi serca zastygłe w bojaźni o przyszłość, podnosi ducha i męstwo, — oraz budzi przeświadczenie, że nie złamią ani ugną nas zakusy wrogów naszych.

Z Bożego dopuszczenia, z nieprzeniknionych Jego a świętych wyroków cierpimy — powiada mówca — a przecież w ogniu żelazo hartuje się na stal twardą i nieugiętą.

Mowa ks. prał. *Stychla* potężne zrobiła wrażenie. Snać sam odczuł tę dolę naszą duszą swoją, sercem swojem, z serca też słowa jego płynęły i szły do serca, wnikały w tajniki dusz słuchaczów potęgą przekonania i niezachwianej wiary w lepszą przyszłość.

Ks. szambelan *Laubitz* z Inowrocławia mówi o celach germanizacyi i wskazuje, że ostatecznie godzi ona w Kościół katolicki — prowadzi do protestantyzacyi.

Czy znacie Polaka u nas, któryby w sprawach polskich z nami szedł, a był równocześnie protestantem?

Nie! Polak póty jest katolikiem, póki jest Polakiem. Gdy się zniemczy — staje się odszczepieńcem wiary katolickiej i porzuca polskie nazwisko. Dowodem tego Bydgoszcz.

Germanizacya dzieci w szkole — to klucz do wprowadzenia germanizacyi do Kościoła, to zamach na katolicyzm nasz — to protestantyzacya katolicko-polskich dzielnic naszych.

Dla tego księża dziś wstąpili w szeregi walczących za prawa ludu polskiego, bo to walka o Kościół. Dla tego — gdyby na czoło archidyecezyi naszej wysunięto kapłana, nie, któryby nie chciał, ale któryby *nie umiał* lub *nie mógł* bronić ludu naszego i Kościoła — stanie się rzecz straszna, tak straszna, jakiej dotąd dzielnica nasza nie widziała. Bo za dostojeństwa, za ordery, za łaski — ksiądz polski się nie poniży i nie stanie się najemnikiem niczyim.

Księża wszyscy pójdą z ludem na dolę i niedolę.

Oto najpotężniejsze myśli z wieca polsko katolickiego: *gotowość ludu do cierpień, nieugięte domaganie się swoich praw przyrodzonych, wspólność myśli i dążeń z duchowieństwem, gdy chodzi o obronę praw i znaczenia Kościoła...*

Siła ducha — siła woli — siła poświęcenia, oto cnoty społeczeństwa naszego, które jako niezbędne podstawy tej wielkiej chwili i przełomu, na którym stoimy, burze, które nami miotają — przetrwać nam pozwolą bez strat i uszczerbku dla naszej narodowej sprawy.

Wiecownicy oddali hołd pamięci i zasługom ś. p. ks. Arcybiskupa Stablewskiego, które usłyszeli z ust p. mec. Wolińskiego.

Z uwagą wysłuchali rzeczowych wywodów *mec. dr. Władysława Mieczkowskiego z Poznania,* dotyczących prawnej odpowiedzialności rodziców za zmudy szkolne dzieci, kar za areszszty, składanie z urzędów i nakładanie niepotrzebnych podatków.

Taki był wiec polsko-katolicki w Poznaniu w poniedziałek dnia 17-go grudnia 1906 r. Był wspaniały. Lud zebrany radby był słuchał mówców godzinami całymi. Po trzygodzinnych obradach jednak wszyscy byli tak wzruszeni, że poseł *hr. Mielżyński* wolał zrezygnować z przemówienia swojego, wnosząc tylko dziękczynny okrzyk na cześć duchowieństwa, że przecież raz nareszcie śmiało, otwarcie i bez zastrzeżeń oświadczyło publicznie, że pójdzie z ludem razem: na dolę i niedolę.

Oto zdobycz z wieca ostatniego: księża z ludem na dolę i niedolę, lud gotowy do dalszych cierpień, niezłamany na duchu, ufny w pomoc Boga i własną pracę — kto nas przemoże?

Vir polonus.

Hasła przedwyborcze.

Parlament rozwiązany! — Ta wieść szybkością drutów telegraficznych przedarła się w piątek dnia 13-go

Powstanie polskie w r. 1912.

Jest sobota 30 marca 1912 r. Pieszo, wozami i kolejami nadciągają istne pielgrzymki ludu do Wrześni. Koło południa miasteczko niezwykle ożywione. Major v. Kameke, komendant stojącego we Wrześni batalionu odbywa naradę ze swym adjutantem por. Mense. Major patrzy na stan rzeczy przez różowe okulary. Stosunków nie zna, bo go tam przeniesiono niedawno z Hanoweru. Przy pomocy jednego batalionu — zdaje mu się — można i wielkie miasto utrzymać w karbach. Mense natomiast twierdzi, że położenie jest groźne.

— Oto tam, panie majorze — ciągnie zastęp młodzieży. — Słyszy pan, co śpiewają?

— Cóż takiego?

— To pieśń czysto polska; brzmi „Jeszcze Polska nie zginęła". To czynił Czarniecki i Dąbrowski, to samo chcą teraz, przeszło po 100 latach powtórzyć ci młodzi ludzie.

Major po namyśle każe żołnierzom rozdać ostre ładunki.

Por. Mense dąży z rozkazem do koszar. Po drodze widzi dom gościnny, otoczony wozami, na kształt twierdzy. Dokoła tłum mieszczan miejscowych i szlachty okolicznej. Przy stołach siedzą najwybitniejsi ziemianie i rozprawiają z wielkiem zajęciem. Gdy p. Mense przechodzi, witają go uprzejmie, ale nie bez szyderczego uśmiechu.

Do majora przybywa landrat wraz z innymi Niemcami, przynosząc wieści alarmujące. Opowiada, że przed gospodą jakiś człowiek w czamarze i konfederatce wygłosił mowę płomienną. Inny rozwinął chorągiew biało-amarantową z orłem białym. Potem wystąpili dwaj zbrojni „szlachcice" z sąsiedztwa a za nimi uzbrojona służba dworska. Następnie zjawił się wielki tłum szlachty z pałaszami i karabinami, wybitni mieszczanie i mnóstwo chłopów zbrojnych, wszyscy w strojach narodowych.

Na mównicy stanął jeden z przywódców ruchu polskiego, hr. Rudzyński, i krótko, zwięźle a ogniście mówił o doniosłości chwili; mówił o ojczyźnie, która jak Feniks odradza się z popiołów. W imię narodu i jego przywódców, którzy rządy prowizoryczne złożyli w ręce hr. Mielżyńskiego, wezwał wszystkich patryotów do powstania.

Z niesłychanym zapałem przyjęto te słowa. Rozchwytano przyniesioną broń i odznaki biało-czerwone. Tuż koło fortecy z wozów zajęli miejsca szeregowcy „Sokoła". Za Sokołami mieszczanie i chłopi. Poczyniono przygotowania wojenne, a „warownię" otoczono na sposób japoński drutem kolczastym. W kilku miejscach poustawiano barykady.

Polacy sprawiają się dzielnie. W chwili krytycznej zjawia się na barykadzie nieustraszona hr. Rudzyńska i

grudnia do wszystkich zakątków naszych.

Polacy, centrum i socyaliści nie zgodzili się na uchwalenie 30 milionów marek na dalsze prowadzenie wojny w Afryce z murzynami — ks. kanclerz Bülow oznajmił cesarskie orędzie.

Polacy obalili projekt rządowy — „Koło polskie — powiada jeden z posłów — z honorem zakończyło swoją karyerę.“

Z honorem tylko? — Nie, dla nas ujawnia się w wypadku tym doniosłego znaczenia prawda: że garstka posłów polskich *może* zaważyć na szali uchwał niemieckiego parlamentu. Przeświadczenie to napawa nas niemałą otuchą — ale przeświadczenie to w rozpisanych już na 25 stycznia wyborach stać się powinno *hasłem bojowym:* my mamy moc, mamy siłę, mamy wpływ — korzystajmy zeń, spieszmy do urny, głosujmy na Polaka.

Przeświadczenie, że Koło polskie w parlamencie niemieckim coś znaczy, że waży coś na szali głosów przeciw rządowi — to przeświadczenie *daje nam ufność w nasze siły, rodzi wiarę — w zwycięstwo.*

Z tą wiarą skorzej i chętniej pójdziemy do urny wyborczej.

Ale nie dość ochoty, nie dość wiary, nie dość zaufania do własnych sił — potrzeba *świadomości jasnej i pewnej:* na co my posłów wybieramy.

Dla posłów nie-polskich praca i udział w parlamencie jest tylko pracą *ustawodawczą,* dla nas Polaków udział posłów polskich jest czemś więcej: *jest obroną* przed wrogimi polskości zakusami rządu.

Bronić nas mają posłowie nasi — to ich pierwsze zadanie, to obowiązek, który w pierwszym rzędzie na nich nakładamy.

Bronić muszą nas tem goręcej, tem gorliwiej, im rząd więcej okazuje nam swej nieżyczliwości, nieprzychylności, im jawniej i jaskrawiej zmierza do wytkniętego celu, t. j. germanizacyi.

Wniosek stąd jasny: idziemy wybierać posłów, *gotowych do walki z rządem o nasze narodowe ideały.*

Zadanie i obowiązek *obrony* wobec zakusów rządu, to rzecz jasna. Nie byłby Polakiem ten, ktoby braci swoich wobec wrogich prądów *bronić nie śmiał — lub nie chciał.*

Natomiast wymaga ściślejszego określenia hasło: *walki z rządem.* Zdawaćby się mogło, że *obrona* jest równocześnie *walką.*

Nie prawda! Byliśmy tego naocznymi świadkami wobec ostatniej interpelacyi w parlamencie.

Była to *obrona* — czy była to *walka?* Centrum wniosło interpelacyę swoją — w *obronie* praw ludu górnośląskiego. Interpelacya polska miała być: bitwą z rządem.

Jeżeli interpelacya polska bitwy nie wywołała, to wina to tych posłów polskich, którzy pierwsi się wydarli do głosu w tej sprawie.

Ks. poseł dr. Jażdzewski — *obroną* praw polskich w parlamencie stanął *na równi* z niemieckimi posłami centrowymi. Nawet Niemcy — goręcej i śmielej bronili praw rodziców polskich od ks. prał. Jażdzewskiego.

Tem samem ks. prał. Jażdzewski i jemu podobni — utracili *moralne prawo* do zastępowania spraw polskich w parlamencie.

Posłowie nasi muszą walczyć o nasze prawa: — ostro i bez zastrzeżeń, tak jak przeciwko nam walczy rząd.

Nie dość! Poglądy rządu są łatwo zmienne. Dziś system wrogi ściska nas w strasznym paroksyźmie germanizacyjnym — jutro mogą zajść zmiany w tych zapatrywaniach. Rok 1892 i następne — niech nam będą nauką. Posłom naszym wybranym pod hasłem walki z rządem: *bez porozumienia się ze społeczeństwem zasadniczego tego stanowiska wobec rządu zmieniać*

nie wolno.

Wszak Niemcy sami nas uczą, że przyrzeczenia królewskie, gołosłowne czy piśmienne: *nie warte ani złamanego szeląga.* A posłowie nasi za skinienie palcem w bucie ekscelencyi ministeryalnych — kłaniać by się mieli rządowi?!

Komu nie ufamy, że nałożony nań obowiązek ściśle wypełni, nie dość, komu nie ufamy, że *jego przekonanie takie jest, jak większości społeczeństwa,* tego posłem wybierać nam nie wolno.

Lud polski musi się rozejrzeć, kto z posłów, którzy z rozwiązaniem parlamentu utracili mandat, tym wymaganiom w zupełności odpowiada.

Kto im odpowiada, niechaj go lud obdarzy zaufaniem i godnością poselską — kto nie odpowiada tym wymaganiom, tego bez żadnego względu godności tej i honoru pozbawić należy. A pamiętać należy o tem, że — ktokolwiek bądź, posłem wybrany, *ma pra-*

---

celnym strzałem kładzie trupem samego komendanta. Mieszczanki rzucają na wrogów kamienie, piasek, popiół, zalewają Prusaków ukropem. Inni podkładają ogień. Pod wieczór powstańcy zwyciężyli, miasto znalazło się w ich rękach.

„Był to ponury i ciężki dzień dla Niemiec: dzień dotkliwej i upakarzającej klęski.“

Na twarzach Czytelników „Pracy“ widać jakby gorzki uśmiech politowania. To majaczenie, bajki, sensacye. — Nie dziś te czasy.

Racya! — Dowiedzcie się przecie, że to wszystko, co powyżej napisano, nie z polskiego wyszło pióra, nie w polskiej wyroiło się głowie, ale w głowie *Niemca!*

Chyba powaryowali — pomyśli sobie niejeden czytelnik z oburzeniem.

I to prawda być może — nam się jednak wydaje inaczej.

Wiadomo przecież, że wśród Niemców starają się wrogie nam żywioły szerzyć świadomość tego, że — Polacy dla Prus, dla Rzeszy niemieckiej są niebezpiecznymi. Panowie ministrowie i inne ekscelencye posądzają nas o to głośno w mowach swoich z trybuny sejmowej lub parlamentarnej.

Po co? — pytacie.

Przecież to tak jasne. Gdyby rząd pruski był absolutny, gdyby król pruski, cesarz niemiecki był wszechwładny, nie potrzebowałby rząd szerzyć takich haseł. Król wydałby rozkaz — ministrowie by go spełnili — germanizacya odbywałaby się z gorszym pospiechem aniżeli dzisiaj.

Ale król i cesarz nie jest dziś samowładny — obok niego stoi sejm, stoi parlament, a w sejmie i parlamencie posłowie.

A kto posłów wybiera? — Lud, masy!

I dla ludu niemieckiego, dla szerokich mas społeczeństwa niemieckiego potrzeba rządowi haseł, za pomocą których polityka jego staje się popularną.

Będą masy niemieckie Polakom wrogo usposobione, to wybiorą wrogich Polakom posłów — rząd zatem będzie mógł bez przeszkody uprawiać w dalszym ciągu swoją antypolską politykę.

Dla tego potrzeba rządowi popularnych haseł, haseł obliczonych na wrażliwość mas niemieckich, haseł zdolnych rozbudzić ich strach i gniew!

Dla tego Polacy są niebezpiecznymi!

Snać nie wystarczało rządowi szerzyć owe hasła z wyżyn trybuny parlamentarnej i sejmowej — albo też hasła te tak głęboko wniknęły w masy, że znalazły swoje odzwierciedlenie w powieści.

Nareszcie! — a więc „powstanie polskie w roku 1912“. — to powie-

wo robić, co mu się podoba. Może więc dotrzymać swoich zobowiązań w obec wyborców, gdy zechce i gdy jest człowiek uczciwy — ale *dotrzymać ich nie potrzebuje!*

Dla tego tak wielką wagę kładziemy na — przekonania posła.

Znajdą się tacy, którzy nam odpowiedzą, że dziś w społeczeństwie naszem niema ludzi, którzyby nie byli przeciwnikami rządu, że chwila obecna, w której *strajk szkolny* skuł nas w jeden nierozerwalny pod względem narodowym łańcuch, nie jest stósowna do wyborczej walki i waśni wewnętrznych.

Racya — święta prawda. Ostatnim byłby chyba ten Polak, któryby dzisiaj nie poczuwał się do solidarności z całem społeczeństwem, któryby zgodę i solidarność naszą *wobec strajku tu w kraju naruszał* — ale przecież ks. prał. Jaździewski jest kapitalnym dowodem na to: jak bardzo różne są w społeczeństwie naszem poglądy co *do sposobu i środków* walki przeciwko rządowi.

Prawda: jesteśmy zgodni w tem, że z rządem walczyć musimy, w walce tej panuje jednolitość i solidarność — ale nie zgadzamy się z tem: *jak* walczyć należy.

Stąd istotna różnica przekonań, która podczas wyborów ujawnić się musi i powinna.

A nadto: jeżeli wymagamy solidarności od siebie, jeżeli staramy się wyrównywać różnice przekonań w kraju i wśród siebie, to czyż nie naszem zadaniem, zmierzać do tego samego celu — w Kole polskiem? Nie obawiajmy się o to, żeby Koło miało dla tego stać się jednostronnem. To rzecz wykluczona — różnice przekonań zawsze będą, chodzi tylko o to, ażeby większość w Kole zapewnić tym posłom, którzy są zwolennikami walki, a nie zwolennikami mdłej i uległej obrony.

Z obecnego położenia naszego powinniśmy o tyle skorzystać, ażeby strajk szkolny uczynić hasłem wyborczem. Niech lud polski, rozbudzony strajkiem szkolnym, wyraz swej świadomości narodowej da przez to, że gremialny udział weźmie w zapowiadających się wiecach przedwyborczych — a następnie jak jeden mąż niech stanie do urny wyborczej i odda kartkę na swego posła.

Na wiece! — na wybory! — oto hasła, które w tej chwili najdonośniej rozbrzmiewać powinny na ziemiach naszych od Pucka hen aż do Mysłowic.

Ludu polski! — w tej walce ślemy ci najserdeczniejsze życzenia powodzenia i pomyślności.

Tyś teraz mocarzem — Boże ci daj szczęście!

Pokój ludziom dobrej woli.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, 18 grudnia 1906.

„Pokój ludziom dobrej woli“ to wielkie, potężne hasło chrześciaństwa niosącego ukojenie całej ludzkości, przypomina wszystkim ludom chrześciańskim pamiątka przyjścia na świat Odkupiciela. Przypomina się ono przedewszystkiem tym, którzy żyją w nieustającym niepokoju o utratę swych najświętszych praw ludzkich i narodowych, budzi też pragnienie tego pokoju szczególniej u całego społeczeństwa polskiego, trwającego przeszło wiek cały w tej świętej walce.

A tak daleko ten pokój ogólny przed nami, tak mocno zasnuty nasz horyzont polityczny, że zda się trudno przez tę masę ciemną wrogich nam usiłowań przebije się ożywcze ciepło twórczych prac pokojowych, trudno dotrze jasne światło wolności, niosące ukojenie zwątpiałym i wysilonym nadmierną walką duszom ludzi tak dobrej woli, jakimi są Polacy. Bo oto w największej części naszej ojczyzny, w Królestwie, nie ustaje niszcząca nas moralnie i materyalnie walka swoich przeciw swoim, nie zanosi się na uspokojenie w państwie, do którego nas przykuto i którego ranami musimy się krwawić mimo, iż pierwsi drogę pokojową, a własnowolnie otwarliśmy szeroko wrota dla wolności obywatelskiej.

Nas w Galicyi przygniata troska o przyszłość naszą. Mieliśmy tu dotąd kawał swobody narodowej, czuliśmy się mimo austryackiego czasem myślenia u siebie w domu i zdołaliśmy w końcu zrozumieć, że najwyższy czas brać się do prawdziwie narodowej, szerokiej pracy uobywatelenia mas, zrozumieliśmy należycie we wszystkich naszych warstwach, jakie nasze stanowisko do państwa austryackiego być winno, umiemy dziś ocenić naszą wartość i siłę w parlamencie wiedeńskim i zaczęliśmy domagać się coraz stanowczej wynagrodzenia za wiekowy wy-

---

niemiecka. Istotnie tak jest. I napisał ją niejaki p. Bundschuh.

Powieść ta oczywiście, jak prawie wszystkie powieści niemieckie o Polakach, kiepska, literacka marnota, uwagi tylko godna dla tego, że cel jej tak hakatystyczny, tak nam wrogi, że jeszcze bardziej popularyzuje hasło nam wrogie, a tak niebezpieczne.

Lichotę tej powieści cechuje fakt, że wynosi się do roli augura, przepowiadającego przyszłość nikomu nieznaną, że przyszłość tę urabia na sposób — dla hakatystycznej polityki *dziś i na przyszłość wygodnej...* .. ..

Pan Bundschuh przedstawia w pierwszych rozdziałach położenie ogólne Niemiec w latach najbliższych. W całych północnych Niemczech wre rewolucya anarchistyczna. Przed śmiercią zgniata ją cesarz Wilhelm II. Przez wszystkie te lata Polacy pracują wytrwale i bezustannie nad swojem odrodzeniem; wytwarza się silny stan kupiecki i bogaty stan małorolny, giną różnice kastowe; lud polski wdziera się zwycięsko na zachód, pokaźne jego zastępy osiedliły się trwale w samem sercu państwa, w Berlinie, a nawet na najdalszym zachodzie Rzeszy niemieckiej. Przez dziesiątki lat — powiada autor — przygotowywali się Polacy do powstania; odbywano narady, spiskowano, gromadzono pieniądze i przeprowadzano prace organizacyjne. Środek ciężkości organizacyi polskiej w Galicyi przesunął się do Lwowa, które to miasto stało się środowiskiem młodych, światłych żywiołów narodowo-politycznych. W Królestwie, które otrzymało ostatecznie w r. 1909 autonomię, obudził się również żywy ruch polityczny. Na ogół zatem stosunki we wszystkich 3 dzielnicach dawnej Polski ułożyły się do wybuchu powstania. Chwila zaś wobec anarchii, panującej w państwie niemieckiem, była niezmiernie korzystnie wybrana.

A chwilą tą, to r. 1912. Dziwno dla czego 1912. Czemu nie 1913, o którym istnieje przepowiednia wśród ludu? Może p. Bundschuh bał się tego roku, wolał więc rok poprzedni.

Na taką wieść dusza każdego Michałka zadrży oczywiście do najgłębszych tajników. Niejeden w cichości dziś już wyklina na przeklętych kosynierów, a gdy pójdzie do urny wyborczej, głos odda — na *hakatystę!*

Tak się robi politykę antypolską. Zbytecznem chyba, zbijać wywody półgłówków lub maniaków hakatystycznych. Na to nie ma argumentów.

Ale argument w ręku posiada lud nasz obecnie, posiada każdy wyborca. Wszak parlament rozwiązany, wszak wybory wkrótce. Rodacy! — niech *każdy* idzie głos oddać na polskiego posła, żeby żaden wróg z dzielnic polskich nie wszedł do parlamentu. A w taki sposób te fałszywe, te wrogie hasła niemieckie staną się dla nas podnietą do spełnienia obowiązków narodowych.

zysk i celowe zaniedbanie przez centralne władze państwowe, a tu rzuca nam w chwili tak przełomowej, kiedyśmy w dodatku wewnętrznie nie byli zespoleni, austryacki minister prawa, które jednym zamachem mogły nas pozbawić dotychczasowego stanowiska politycznego i możność poprawy naszych stosunków. Walką, jaką stoczaliśmy w ciągu roku, uratowaliśmy częściowo te prawa, ale troska, czy to nasze galicyjskie społeczeństwo wśród trudnych teraz warunków zechce się domagać jak największych swobód narodowych, czy potrafi być solidarnem, bo tylko tą drogą utrzymamy naszą dotychczasową siłę, pozbawia nas tego spokoju, który tak potrzebny do wytworzenia jednolitego społeczeństwa.

Ale dzisiaj, właśnie w chwili tego największego niepokoju zapominamy o nim na widok tego, co się dzieje u Was. Myśli i czynności nasze przyjmują inny kierunek. Miejsce dotychczasowych burzliwych i swarliwych zgromadzeń politycznych zajęły zebrania Polaków, wyrażające podziw i uwielbienie dla tych dzieci, co już drugi raz potrafiły tak mężnie, a wytrwale i ofiarnie przeciwstawić się olbrzymiej sile państwa niemieckiego. Zebrania te wyrażają wielkie współczucie dla solidaryzujących się z temi dziećmi rodziców, którzy ponoszą wielkie ofiary materyalne z tego powodu. Wierni zamawiają błagalne nabożeństwa, prosząc Tego, który przyszedł na świat po to, aby nieść pokój wszystkim, o moc wytrwania dla tych małych bohaterów, stawiających kwestyą polską na trybunie europejskiej. Dojrzali mężowie protestują u ministrów austryackich przeciw stosunkom z państwem, które podejmuje walkę z dziećmi stającemi w obronie zasadniczych praw swych. Wszystko to tworzy nastrój jakiś nieco dziwny ale nie radosny i nie świąteczny. Czujemy wszyscy, że toczy się tu walka bezkrwawa wprawdzie, której końca jednak trudno przewidzieć.

Czyżby wątpić należało, że dla nas ludzi dobrej woli nie zawita pokój? Nie! Mimo oznak wielu, że nas czeka jeszcze może długa i zacięta walka o nasze prawa, o byt, wielka i wytężająca praca z głębi wszystkich sił duchowych i materyalnych narodu poczęta, nie możemy popadać w zwątpienie w jej skutek ani na chwilę. Bywały u nas przecież już straszniejsze chwile, w których zagłada była niechybna a wydobywaliśmy się z toni. Była wprawdzie jedna i to straszniejsza chwila w czasie, gdy najlepsze siły w narodzie brały się do usunięcia złego; wtedy mimo wysiłków wielkich nie wyratowaliśmy się, przestaliśmy istnieć politycznie. W przeszłości jednak ratowaliśmy się jednem wielkiem szarpnięciem, wtedy mieliśmy jeszcze dużo sił i warunki były inne, w owej strasznej chwili na takie szarpnięcie stać już nas nie było. Była za to inna siła, której ale z gruntu usunąć można. Była już świadomość, że wielkich budowli nie stawia się odrazu, że zatem do przeprowadzenia naszej budowy potrzeba długiej a ciągłej i nieustającej pracy. Gdyśmy byli zawsze skłonni do walk obronnych, a zaborczych unikaliśmy, cośmy zwycięstw świetnych nigdy wyzyskać nie umieli, zrozumieliśmy, że innych sposobów nam się imać trzeba, zrozumieliśmy, że musimy precz od siebie odrzucić tę ustawiczną skłonność do ustępstw, musimy mieć chęć wytrwania !... To powinno stać się nam na wszystkich ziemiach hasłem narodowem, bo z hasłem zagłady naszej spotkamy się w około. Wszak i ten, który głosił pokój ludziom dobrej woli walczył o prawdę i tem zwyciężył. Więc sposóbmy się do tej godziwej walki o nasze prawa narodowe, za przykład niechaj służą te dzieci, które są chlubą Polski a podziwem Europy. Walka ta musi być wytrwała i ofiarna a osiągniemy nią pokój, który tak nam ludziom dobrej woli jest pożądany.

Bes.

Z teatru.

Raz w rok około Bożego narodzenia na deskach teatru naszego pojawia się tak zw. „rodzima“ sztuka. Znaczy to, że napisał ją autor lub autorka mieszkająca pośród nas i wśród nas żyjąca.

Tak bywa — zdaje się — od lat trzech. Był K. Krzyżanowski, był Acer — wystawiła obecnie komedyę swoją pod tyt. *„Bielmo“* p. Marya Kościelska.

Autorka wśród nas jest znana, nosi głośne nazwisko polityka — Waldenroda, Józefa Kościelskiego. To żona jego.

„Bielmo“ — tytuł wiele mówiący. Człowiek, który ma bielmo na oczach, nie widzi. Czyżby autorka przedstawić nam chciała bielmo — na duszy ludzkiej?!

Posłuchajmy.

Jest mąż i żona, a właściwie żona i mąż, bo autorka chce, by żona była na pierwszym planie.

Kobieta to, która lata pierwszej młodości spędziła w pierwszem, nieszczęśliwem małżeństwie, razem z nielubianym, niekochanym, starym mężem.

Mąż ten umierając, zapisuje jej znaczny majątek z zastrzeżeniem, że traci go, wychodząc powtórnie za mąż.

Na drodze jej wdowieństwa staje młody, przystojny mężczyzna — budowniczy Lucyan Gorzycki. Serce jego nigdy nie próżnowało, kobiety, ideały miłości zmieniały się w nim nieustannie.

Zakochał się w p. Izie — tak na imię młodej wdowie. Żeni się z nią, pomimo zastrzeżenia testamentarnego pierwszego męża.

Miłość więc prawdziwa. Kochają się — żyją ze sobą jak w miodowych miesiącach.

Szczęśliwa Iza chciałaby świat cały widzieć szczęśliwym. Sprowadza więc do domu swego córkę brata pierwszego męża swego, który ożenił się był z włoską artystką, kraj porzucił i umarł na obczyźnie, pozostawiając po sobie sierotę.

Marietta — tak jej na imię — wydaje się p. Izie nieszczęśliwą, chce ją więc przychołubić, przytulić do rodzinnego ciepła, ogrzać — uszczęśliwić.

Przyjazd Marietty — przywitanie — rozczarowanie. Pani Iza miała Mariettę za nieszczęśliwą, tymczasem Marietta, to natura włoska, lekka, do pustoty skłonna, zalotna, bałamuci Izie męża i gości domowych.

Iza to wszystko widzi. Mąż ją zaniedbuje. Iza to wie — ale siłą woli podtrzymuje w sobie wiarę w miłość swego męża.

Marietta pragnie się prędko i bogato wydać za mąż. Prosi o jej rękę lekarz Szron, profesor uniwersytecki. Pani Iza tłómaczy mu wszystkie wady Marietty — Szron w zaślepieniu swem nie słucha — następują zaręczyny.

W domu państwa Górzyckich bywa hrabina Helena Karnowska z synem. Hrabicz szaleje za Mariettą tak samo jak Szron i Górzycki.

Iza podpatruje męża swego całującego się z Mariettą — otwiera oczy Szronowi — Szron Mariettę porzuca — Marietta ucieka z synem hrabiny.

Iza przebacza mężowi, choć wie, że nieraz ją jeszcze oszuka w życiu. Mi-

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

Warszawa, 20-go grudnia 1907.

Porozumienie stronnictw. Rozłam w PPS.

Wypadkiem dnia, zajmującym żywo opinię publiczną, jest u nas t. zw.

porozumienie stronnictw narodowych. „Utworzenie wspólnej organizacyi wyborczej — głosi wydane oświadczenie stronnictw — i zjednoczenie w niej zarówno stronnictw jak i żywiołów bezpartyjnych musiało być poprzedzone przez porozumienie między temi stronnictwami, które do rokowań przystąpić chciały. Nawiązane w tym kierunku w ostatnich czasach układy doprowadziły do porozumienia pomiędzy stronnictwami demokratyczno-narodowem, polityki realnej i polskiej partyi postępowej. Wszystkie trzy powyższe grupy, nie zrzekając się samoistności swych programów politycznych i społecznych, stanęły na wspólnym gruncie programu autonomicznego oraz solidarności przedstawicielstwa kraju w Dumie państwowej i na tej podstawie porozumiały się co do zasad i zakresu zarówno solidarności jak i jawności obrad Koła polskiego.

„Dzięki temu — brzmią dalej słowa oświadczenia — podstawa dla organizacyi centralnego Komitetu wyborczego jest osiągnięta i czynności przygotowawcze do jego rozwiązania już rozpoczęte."

Porozumienie to posiada niepowszednie znaczenie dla zbliżających się u nas wyborów. — Powitała je też większość opinii kraju z żywem zadowoleniem. Jedności, zgody łakniemy przecież gorąco. Koło polskie stanie się wiernem odbiciem wszystkich istniejących w kraju kierunków narodowych. Przy pierwszych wyborach sama tylko demokracya narodowa zagarnęła wszystkie prawie mandaty z Królestwa. Realiści swych kandydatów nie wystawiali prawie, a na pedeków i przedstawicieli dzisiejszej polskiej partyi postępowej padła liczba głosów polskich mała, iż jasnem było od razu, że dwa te kierunki słaby grunt mają w narodzie. „Postępowa demokracya" dzisiaj się stała zupełnie żydowską i nie wzięła udziału w porozumieniu stronnictw. Powyższe porozumienie stronnictw narodowych bez udziału P. Demokracyi odbiera wszelkie widoki wyborcze temu stronnictwu i zmusza je do zupełnego odsłaniania swego żydowskiego oblicza, stąd złość i furya organów postępowo-demokratycznych, zwrócona w pierwszym rzędzie przeciwko „Polskiej partyi postępowej".

Tak, jak rzeczy stanęły obecnie, przewidzieć można znaczne różnice w osobistym składzie Koła polskiego: zabraknie w jego łonie przynajmniej połowy dotychczasowych członków. Pomiędzy innymi rezygnacyę swą zgłosił łomżyński poseł mec. Aleksander Chrystowski, jeden z najlepszych mówców Koła. Nowe Koło, z przewagą demokratów narodowych, posiędzie w swem gronie paru realistów, postępowców i kilka jednostek z pośród licznych u nas żywiołów bezpartyjnych, słowem, przedstawiać będzie prawdziwą mozaikę kierunków narodowych. Zmiana ta bezwątpienia przysporzy Kołu powagi w oczach kraju i stronnictw rosyjskich, zarzuty jednostronności i partyjności będą już niemożliwe, lecz czy polityka Koła a zwłaszcza jego dotychczasowa solidarność żelazna nie ucierpią ze szkodą sprawy narodowej?

Powstała w ten sposób koalicya stronnictw i żywiołów narodowych mieć będzie przeciwko sobie w wyborach zjednoczone stronnictwa socyalistyczne, żydów i demokracyę postępową. Ów sojusz zaważyć może jedynie na szali prawyborców miejskich i wyborów w *Łodzi*, gdzie zresztą wybór Polaka wcale nie jest trudnym do przeprowadzenia. W Warszawie wybór obydwóch posłów polskich jest tym razem prawie pewnym. Nieznaczna część żydów, uważających się za Polaków, głosować będzie na kandydata komitetu centralnego polskiego, reszta głosów żydowskich ulegnie zapewne rozstrzeleniu pomiędzy kandydatami syonistów i socyalistów żydowskich. Daleko jeszcze do prawyborów, nie znać nawet agitacyi wyborczej, niemniej jednak wybór posłów Polaków wszędzie (prócz Suwałk) jest zapewnionym. Niespodzianki wyborcze w Królestwie będą tak samo mało prawdopodobne, jak i w zaborze pruskim.

Prawie jednocześnie z dokonaniem faktu porozumienia stronnictw narodowych, zaszedł fakt inny — zupełny rozłam w „Polskiej Partyi Socyalistycznej". Warto się przyjrzeć okolicznościom, towarzyszącym temu rozdwojeniu w największem naszem stronnictwie socyalistycznem, mającem pretensyę do reprezentowania na

---

łość ją zaślepia — miłość jej, to — bielmo dla jej duszy.

Oto osnowa sztuki — komedyi jak ją nazwała autorka.

Trudno w przeprowadzeniu sztuki samej znaleść uzasadnienia tej nazwy. Czyżby komedyą było w życiu, że mężowie żony swoje oszukują, że je zdradzają? Czyżby komedyą to może raczej było, że żona wie, że jest oszukiwaną, że sama *wierności* dochowuje, choć mąż jej się sprzeniewierza? Czyż wiarołomstwo mężów — jest komedyą?

Nie! — cierpienia serdeczne kobiet, tych kobiet, które mają zalety matron, — matek naszych, stróżek zniczów domowych — to bolesny raczej dramat.

A taką stworzyła kobietę w Izie — p. Marya Kościelska.

Czyżby p. Kościelska — tego nie przypuszczamy — chciała powiedzieć, że kobiety zdradzane *mają* mieć bielmo na oczach, i że w konwenansowem ... tych sfer, które sztuka jej przedstawia, — fakt ten zakrawa na komedyę.

To cynizm raczej!!

Temat sztuki sobotniej, to bardzo wdzięczne pole do prac literackich i dramatycznych utworów. Dobrze, że p. Marya Kościelska zrobiła początek choć próba ta jako pierwsza ze wszystkiem zadowolić nie mogła. Mianowicie akcya jest nieco przewlekła, za wiele „salonu" — a za mało życia. Urozmaica ją dość zgrabny dyalog napisany z pewnym poetyckim błyskotliwym polotem. Dużo pięknych aforyzmów, porównań, dowcipnych aluzyi.

Jedną jeszcze uwagę. Może to i dobrze, że nowoczesna poezya zamiast skrzydlatego pegaza — automobil bierze na usługi, ażeby jednakże godziło się w zupełności z pięknem języka i poezyi i to, że krzak róży bystrym prądem oblewany być musi wodą „z węża wodociągowego" — na to wątpić należy, czy licencya poetycka udzieli swoje „placet".

Pomimo tego wszystkiego rzecz sama jest interesująca. Znać przedewszystkiem, że autorka bez „bielma" patrzy na życie, widzi jego wady, choć nie ma dość siły, by rozwiązywać jego zagadki.

To jest właśnie w „Bielmie" dramatyczne, że stawia kwestyę moralną, ale jej nie rozwiązuje, że w „bielmie" zakuwa dusze bohaterów swoich — i nie budzi ich.

To fatalizm. A może autorka rozwiązanie tej kwestyi zachowuje sobie na przyszłość? — Warto!

Gra artystów, ogólnie biorąc, była dobrą. Szczególnie szczęśliwie wypadła rola Marietty — p. Turowicz — mniej szczęśliwie rola Izy — p. Bogusińska. Ale nie dziw — walka Izy toczy się w sercu, nie wybucha słowami, skargą, coby artystce dało pole do popisu. Rola to bardzo trudna. Panowie Staniewski, Zawierski, Osterwa i Rojewski grali bardzo dobrze.

Chochlik.

zewnątrz całego socyalizmu polskiego.

Z trzech istniejących u nas partyi socyalistycznych przyzwyczajono się uważać P.P.S. za partyą najbardziej narodową, a nawet patryotyczną, za cel swój ostateczny stawiającą niepodległość Polski. Za taką uważali PPS. i „towarzysze“ niemieccy, zarzucając jej szowinizm i nacyonalizm. Inne socyalistyczne grupy Królestwa, t. zw. *„Proletaryat“* i *„Demokracya socyalna“* wprost nawet odmawiały PPS-ej charakteru socyalistycznego. Polskości swojej ta ostatnia sama się nie zapierała, i niedawne to czasy, gdy publicyści jej rozwijali drobiazgowy program powstania zbrojnego, mającego rękami robotników uwolnić Polskę od moskiewskiego jarzma. Isotnie, nie można odmówić *dawnej PPS-ej* pierwiastku polskiego i to odróżnia ją jawnie od anty- i między-narodowej *Demokracyi Socyalnej.*

Dziś tego żadną już miarą twierdzić nie można.

Poczynając od stycznia roku zeszłego, *PPS-a* zatracać zaczęła stopniowo cechy polskości, pozbywać się nawet cienia samoistności narodowej i iść zupełnie pod komendę „towarzyszów“ *rosyjskich.* Ojcowie socyalizmu polskiego, ludzie dawnego pokroju, zwolennicy hasła „przez socyalizm do Polski niepodległej,“ a nawet sam *Daszyński*, surowo ganili ów stanowczy zwrot *PPS-ej* w kierunku międzynarodowym. Nie pomogło to wiele. Daszyński omal nie został wyklętym przez „towarzyszów“ warszawskich, a zamieszkały w Szwajcaryi *Bolesław Limanowski,* autor wielu dzieł cennych o socyalizmie polskim, gruntownie się różni z obecną *PPS-ą* w poglądach na taktykę partyjną.

Wiadomo powszechnie, że w naszych wszystkich partyach socyalistycznych bardzo poważną rolę grają żydzi. *SD-cya* jest całkowicie pod ich wpływem, a w *PPS-ej* ilość członków żydowskich dochodzi do $^1/_8$ ogółu. Oni są to zapewne sprawcami tego, co odebrało *PPS-ej* resztę jej charakteru polskiego.

Otóż z łona stronnictwa tego wykluczoną została Organizacya Bojowa. Organizacya ta stała na gruncie samodzielności dążeń socyalistycznych polskich i nie chciała ulegać ruchowi rosyjskiemu, a natomiast uprawiała taktykę, którą Komitet Centralny nazywał „narodowo-seperatystyczną.“

Bojówka *PPS.* przygotowywała „wojnę polsko rosyjską“, a rewolucyę rosyjską traktowała jako „dogodną okazyę do podjęcia walki o oderwanie Królestwa od Rosyi.“ W przeciwieństwie do tego Kom. Centr. PPS. chodziło przedewszystkiem o stworzenie „nowego porządku państwowego, republikańsko - demokratycznego.“ K. C. PPS. wprost się wypiera dążeń i ideałów niepodległości Polski. Dawny, narodowy kierunek PPS. starł się ostatecznie w nowym, ściśle międzynarodowym, i uległ. Organizacya Bojowa została wykluczoną z łona stronnictwa, które obecnie uprawiać już będzie czysto socyalistyczną taktykę.

Dla społeczeństwa naszego rozłam w *PPS.* i ewolucya, dokonywująca się w jej łonie, przedstawiają pod każdym względem wagę znaczną. Będziemy nawet szczerzy i powiemy bez ogródek, że nie bylibyśmy radzi, gdyby w *PPS.* się stało inaczej. Wyzbycie się przez *PPS.* resztki cech narodowych, w których ona paradowała od święta, łudząc i mamiąc tłumy niedojrzałe, sprzężenie się jej z międzynarodówką, uzależnienie ściśle od ruchu socyalistycznego rosyjskiego, zwalczanie przez nią, jak się to dzieje w Galicyi — wszelkich objawów żywotnego poczucia interesu narodowego, — wszystko to odejmie socyalistom polskim ostatnie znamiona żywiołu narodowego, a przez to zdepopularyzuje ich ostatecznie nawet wśród rzesz najbardziej upośledzonych i jaskrawego protestu pragnących. W warunkach, w jakich my żyjemy, gdy naród nie posiada elementarnych rękojmi rozwoju narodowego i politycznego, gdy nasza wysoka indywidualność narodowa, zamiast się rozwijać, musi się rozpaczliwie bronić, nie wierzymy, żeby jakikolwiek kierunek ideowy i polityczny, nie biorący tego punktu za punkt wyjścia, mógł się rozpowszechnić w społeczeństwie.

Oczywiście rozłam w PPS. jest dla stronnictw narodowych doskonałą okazyą dla wzmocnienia swych wpływów wśród szerokich warstw polskiego ludu roboczego. *Sarmata.*

Przegląd polityczny.

W chwili, kiedy ostatni numer „Pracy“ w drodze się znajdował do Czytelników naszych — ks. Bülow na mocy orędzia cesarskiego rozwiązał parlament.

Powodem bezpośrednim do tego był fakt, że 3 partye: Polacy, Centrum i socyaliści przewrócili wniosek, domagający się dla rządu Rzeszy 30 milionów marek dla wojska w koloniach afrykańskich.

Właściwe atoli przyczyny leżą głębiej. Nasampierw t. zw. i znane skandale kolonialne, a więc zła gospodarka Rzeszy w koloniach afrykańskich, bezprawia urzędników, gwałty na tubylczej czarnej ludności murzyńskiej, manipulacye handlowe w dostawie przyborów wojskowych słynnej firmy Tippelskirch et Comp. Skutkiem tego wszystkiego powstało wzburzenie wśród całej ludności niemieckiej, które siłą parcia musiało się przenieść na posłów.

Pierwsza bomba pękła, gdy rząd musiał złożyć z urzędu ministra rolnictwa — p. Podbielskiego.

Do zaostrzenia atmosfery parlamentarnej przyczyniła się także interpelacya w sprawie polityki zagranicznej. Odpowiedź rządu nie mogła zadowolić nikogo — bo obracała się w ogólnikowych zapewnieniach przyjaźni Rzeszy z sąsiedniemi państwami, pomimo przeświadczenia posłów, że tak nie jest.

Obrady nad koloniami dolewały wciąż oliwy do ognia. To — zdawało się — że się tuż, tuż skończą, to znów rozpoczynały się na nowo, gdy ktoś z posłów nową wyciągał sprawę. Obrady ciągły się w nieskończoność, denerwowały rząd i posłów — aż wreszcie bomba druga pękła; centrum znalazło się w opozycyi do rządu. Końcem tego było rozwiązanie parlamentu. Sprawę rozstrzygnęli swemi 13 głosami — trzech posłów przypadkowo nie było w ten dzień w parlamencie — Polacy.

Rządowi rozwiązanie to paskudnie nie na rękę. Na porządku dziennym są sprawy takie jak: drożyzna mięsa, podatki uchwalone na piwo, papierosy, opłaty od biletów kolejowych. Wszystko to nie budzi wśród mas wyborczych niemieckich przychylności dla rządu.

Był to więc dla rządu krok fatalny, ta decyzya rozwiązania parlamentu — a w potrzask ten pomogli go wrzucić Polacy.

Rząd uczynił to jednakże w myśli przełamania przewagi stronnictwa Centrum. Centrum, mające 104 posłów, od lat już było w parlamencie stronnictwem rządzącem. Bez centrum, t. j. bez głosów posłów centrowych żaden ważniejszy projekt nie mógł stać się uchwałą. Ks. Bülow długo opierał się o Centrum i nie wiadomo, co go popchnęło przeciwko niemu.

Zjadliwe tylko głosy prasy antykatolickiej, telegramy lansowane z Rzymu i rzekomo z otoczenia papieża, a naganne dla Centrum pozwalają się domyślać, że Centrum rokowało po cichu z rządem o jakąś sprawę w... Kościoła katolickiego, że rz...

Statystyka głosów polskich

oddanych **przy wyborach do parlamentu** w latach 1898 i 1903 r.
Zestawił Karol Rzepecki,
Delegat Wyborczy dla Miasta Poznania.

Liczba	Okręg Wyborczy	Poseł względnie kandydat w roku 1903.	Polak otrzymał głosów czysto polskich			Niemcy wszelkich stronnictw oprócz socyalistów			Socyaliści (przeważnie Niemcy)		
			1898	1903	1907	1898	1903	1907	1898	1903	1907
	I. W W. Księstwie Poznańskiem										
1	Poznań i 2 pow. wsch. i zach.	Chrzanowski	15412	17338		9482	9341		726	1472	
2	Obor. Szam. Międz. Skwierz.	Mielżyński	11461	14147		11586	11526		62	588	
3	Międzyrzecko Babimojski	Mielżyński	7300	6714		9555	11468		—	223	
4	Kośc. Grodz. Nowot. Śmig.	Skarzyński	13906	16211		4168	5159		—	110	
5	Gostyńsko Rawicki	Mycielski (Stychel)	7470	9269		3792	3848		233	416	
6	Leszczyńsko Wschowski	Mojżykiewicz	3100	3508		8053	7268		—	616	
7	Sredzko Sremski	Głęb. Alf. Chłapows.	11821	14040		3120	3764		—	22	
8	Pleszew. Jaroc. Wrzes.	Ant. Chłapowski	11070	13824		2857	3481		—	70	
9	Krotoszyńsko Koźmiński	Ks. Jażdżewski	8065	8736		2888	3113		—	48	
10	Ostrow. Ostrzesz. Odol. Kęp.	Radziwiłł	12460	15290		2706	4361		32	160	
11	Czarnkow. Chodz. Wiel.	Ks. Gajowiecki	5082	6025		16280	15709		—	749	
12	Wyrz. Szub. Zniński	Carliński	10256	11783		9810	10459		—	35	
13	Bydgoszcz i powiat	Czarliński	6198	7408		10163	12175		2930	3067	
14	Inowrocław. Strzel. Mogil.	Krzymiński	15158	17283		5894	6998		553	581	
15	Gnieźn. Witk. Wągrow.	Grabski	14440	16484		4951	6065		—	250	
			153154	178060		105305	114735		4530	8407	
	II. W Prusach Zachodnich na Warmii i na Mazurach										
1	Wejherow. Pucki Kartuski	Janta Połczyński	15486	16348		5561	6001		59	210	
2	Kościers. Starog. Tczewski	Woszlegier	13610	15040		7168	8502		73	245	
3	Tucholsko Chojnicki	Kulerski	8139	8739		3813	4467		94	163	
4	Grudziądzko Brodnicki	Kulerski	11774	12503		12231	12223		299	1397	
5	Świecki	Jaworski	6573	7091		6807	7023		—	200	
6	Toruńsko Chełm. Wąbrz.	Brejski	13286	13952		13941	13407		435	998	
7	Człuchowsko Złotowski	Dr. Komierowski	4568	5194		13323	15606		358	118	
8	Susko Lubawski	Rzepnikowski	8054	8534		9562	9356		111	230	
9	Gdańsk miasto	Wolszlegier	310	440		11134	14451		4976	6070	
10	Gdańsk i 2 powiaty	Wolszlegier	810	1395		7501	7950		1194	2539	
11	Sztumsko Kwidzyński	Czarliński	6170	6214		8459	8758		227	677	
12	Warmia. Olsztyński	Jaworski	5067	3858		9322	10303		154	1218	
13	Mazury. Szczycieński	Lewandowski	5874	3925		7326	12837		272	500	
			99721	103233		128006	130884		8252	14565	
	III. Na Górnym Śląsku										
1	Pszczyńsko Rybnicki	Kowalczyk	—	13151		16022	14901		627	130	
2	Katowicko Zabrski	Korfanty	—	11670		20403	22761		9829	10258	
3	Bytomsko Tarnogórski	Stęślic. Napieralski	—	6854		24989	28056		7955	10260	
4	Gliwicko Lubliniecki	Siemianowski	40	8370		15489	15848		2366	991	
5	Raciborski	Rostek	—	2461		14167	15644		1743	1750	
6	Opolski	Szmula	ściółka dla	centrum		15704	13267		521	—	
7	Kozielski	Hanślik	—	1175		11970	14308		81	—	
8	Głubczycki	Reska	—	1000		7057	8088		293	379	
9	Prudnicki	Strzoda	ściółka dla	centrum		8404	9293		1147	1217	
			40	44681		134205	142166		24562	24985	
	IV. W Nadrenii i Westfalii										
1	Dortmund	Chociszewski	—	2908		29103	40283		26962	33171	
2	Bochum	„	—	7183		61652	65410		22379	39543	
3	Essen	„	—	1539		57691	56099		4400	22860	
4	Recklinghausen	„	156	4059		19362	20648		2060	6505	
5	Mülheim	„	—	2881		45065	47161		7804	23287	
			156	18570							
	V. W Berlinie i Brandenburgii										
6	Berlin i prow.	Chrzanowski	447	3000		—	—		—	—	

Zestawienie

			Polacy			Niemcy na ziem. niegdyś do Polski należ. oprócz socyal.			Socyaliści.		
I	Księstwo Poznańskie		153154	178060		105305	114735		4530	8407	
II	Prusy, Warmia, Mazury		99721	103233		128006	130884		8252	14565	
III	Górny Śląsk		40	44681		134205	142166		24562	24985	
IV	Nadrenia i Westfalia		156	18570							
V	Berlin, Brandenburgia		447	3000							
			253518	347544		367516	387785		37344	47957	

stąpił i skutkiem tego — Centrum pokazało mu swój wpływ.

Wybory w Niemczech odbywać się będą pod hasłem: przełamania przewagi Centrum. Czy atoli Centrum skutkiem tego istotnie przewagę tę utraci?

Wobec ogólnej sytuacyi zdaje się, że nie — a nadto opozycya ma widoki wzmocnienia się kilkoma mandatami socyalistycznemi.

I my Polacy mamy nadzieję zdobyć kilka okręgów. Mamy obecnie 16 pewnych okręgów. Trzy zdobędziemy na G. Śląsku kosztem Centrum — a ew. 2 lub 3 w Prusach Zachodnich — tak liczba posłów naszych wynosić będzie 21 lub nawet więcej. W ten sposób pozycya Koła polskiego w parlamencie znacznie się wzmocni.

Dla nas wybory obecne w każdym razie przychodzą w chwili bardzo dogodnej. Lud roboczy jest w domu — a strajk szkolny wszystkich rozbudził. Daj Boże — jak najwięcej i jak najtęższych posłów polskich.

We *Francyi* burza walki kościelnej na dobre się rozniecila. W grudniu stała się prawomocną uchwała zeszłoroczna, na mocy której kościoły przechodzą na własność rządu. Rządowi wolno je oddać do użytku „towarzystwom religijnym.“

I otóż Ojciec św. zakazał katolikom francuskim tworzyć takie towarzystwa.

Sądzono, że rząd rozpocznie z Ojcem św. układy — tymczasem rząd wydalił z Paryża nuncyusza papieskiego, innego dostojnika kościelnego wstrzymał w drodze i odesłał do granicy włoskiej. Na razie wprawdzie kościoły pozostawia jeszcze w ręku katolików, ruguje tylko powoli księży z probostw i biskupów z pałaców.

Znać po tem, że rząd francuski gotuje się do walki z kościołem, która w prasie naszej przybiera nazwę: francuskiej walki kulturnej.

Czy kościół „wojujący“ ulegnie w tej walce? — My życzymy mu z całego serca zwycięstwa.

W delegacyach *austryackich* poruszył poseł Kozłowski sprawę obchodzenia się rządu pruskiego z Polakami z Austryi i ostro zganił szkolny sposób wychowania tutejszego naszych dzieci.

Nowy prezes ministrów, baron Aerenthal następca Gołuchowskiego, odpowiedział mu na to, że rząd austryacki nie myśli się mieszać do wewnętrznych spraw *zaprzyjaźnionego* państwa.

Naturalnie! — gdy o Polaków chodzi — Prusy, Rosya i Austrya tworzą nierozerwalny węzeł przyjaźni choćby zresztą jeden drugiego chętnie w łyżce wody utopił. — Charakterystyczne to szczególnie dla Austryi, gdzie rodakom naszym się wydaje, że są w siódmym niebie.

Zbrodnia na cywilizacji.

W Ameryce żyje znakomity ogrodnik i badacz przyrody, nazwiskiem Burbank, który w ciągu wieloletniej swej działalności wyprodukował kilkadziesiąt zupełnie nowych gatunków roślin. Proszony o wyjaśnienie tej zagadki przyrody, twierdzi Burbank, że stworzone przezeń nowe, a nieznane dotychczas rośliny, nie są wcale nowemi, lecz tylko zaginionemi od lat tysięcy, on zaś, przez odpowiednie krzyżowanie gatunków spotęgował w nich atawizm do tego stopnia, że dalsze pokolenia hodowanych przez niego roślin posiadają już cechy i przymioty swoich dawno zapomnianych przodków z zamierzchłej epoki.

Współczesne życie społeczne wydaje również zupełnie nowe rośliny, jakich nie widziało oko ludzkie od samego początku historyi ludzkości. Krzyżowanie się wszelakich prądów, ożywiających nowożytną przecywilizowaną ludzkość, wytworzyło nowy typ człowieka, pół zwierzę, łączącego w sobie głupotę i zwierzęcą złośliwość mieszańca, złożonego z człowieka z czasów przedpotopowych, mającego wszystkie wady XX wieku. Dla ludzi tych dobrodziejstwa cywilizacyi są tylko ciężarem, gdyż krępują zwierzęce ich instynkty, a że skamieniałego w ciągu lat tysięcy gmachu ludzkości z posad poruszyć i zburzyć nie mogą, miotani bezsilną wściekłością dzikiego, zamkniętego w klatce zwierzęcia, łamią i niszczą wszystko w okół siebie, jak daleko tylko zbrodnicza dosięgnie ich ręka.

Skrzyżowanie haseł absolutnej wolności z doktrynami socyalistycznemi, spłodziło dzisiejszy anarchizm, który w rozmaitych zabarwieniach krzewi się we wszystkich krajach cywilizowanego świata, rzadziej pod własną firmą, a zwykle pod płaszczykiem socyalizmu występując. Ludzie ci, nie zadowalając się teoryą, od czasu do czasu alarmują świat cały jakimś dzikim, sprzecznym z ludzką naturą czynem, a ponieważ najbardziej w świecie potępioną zbrodnią jest morderstwo, przeto na znak protestu działa anarchia mordem. Krwi trzeba tym dzikim istotom tak, jak jej było trzeba ich przodkom, tym, co przed tysiącami lat po lasach nawzajem na siebie polowali, aby wychleptać gorący jeszcze mózg z czaszki swojego przeciwnika.

Po szeregu mordów naczelników państw, po masowych rewolucyjnych drgnieniach anarchii rosyjskiej, sięgnęła zbrodnicza ręka nowożytnej dziczy na kościół. Jak to już pisaliśmy w przedostatnim numerze, w bazylice św. Piotra w Rzymie wybuchła maszyna piekielna i tylko cudem nazwać można, iż mimo że w kościele wiele się znajdowało ludzi nikt nie został zabity ni raniony.

Pytać się, dlaczego to zrobiono, dlaczego anarchistyczni zbrodniarze doprowadzić chcieli do masowego nieszczęścia i do zabicia mnóstwa zupełnie niewinnych ludzi, — byłoby bezcelowem; we wszystkich ich czynach bowiem, po za żądzą zbrodni i żądzą czynienia źle swoim bliźnim, konsekwencyi dopatrzeć się trudno.

Bazylika św. Piotra, ta macierz wszystkich świątyń chrześcijańskich na całej kuli ziemskiej, nieprzebrana skarbnica pamiątek i dzieł sztuki wszystkich pokoleń i narodów, jest, dzięki temu, własnością całego cywilizowanego świata i gruntem zgoła neutralnym, na którego progu wszystkie ustać powinny przeciwieństwa. Zbrodnicza ręka potworów nie uszanowała i tego neutralnego przybytku, narażając go na zgubę. Dokądże dojdziemy, skoro te, szałem niszczenia opanowane potwory, dalej się mnożyć będą?!...

Ile razy dotychczas dopuścił się jakiś anarchista zbrodni, wywołującej powszechne oburzenie, tyle razy prasa socyalistyczna albo otwarcie z udania jej się cieszyła, albo ile możności sympatycznie o czynie tym się wyrażała, a w każdym razie, z całych sił broniła i usprawiedliwiała sprawcę. Szczegół ten dowodzi blizkiego pokrewieństwa socyalizmu z anarchią do tego stopnią, że tę ostatnią niejako za organ wykonawczy i narzędzie socyalizmu uważać można, podczas gdy rolę myślącej głowy w tej spółce, socyalizm odgrywa.

A twierdzenia tego, którego codzień nowe z życia otrzymujemy dowody, żadne socyalistyczne sofizmaty osłabić nie są w stanie.

Wybory!

Do pp. Prezesów wyborczych Komitetów powiatowych we W Ks. Poznańskiem.

Dnia 13-go b. m. parlament niemiecki został rozwiązany, a nowe wybory naznaczono na *dzień 25-ty stycznia 1907 r.*

Wobec krótkości czasu wzywamy niniejszem pp. Prezesów Komitetów powiatowych, żeby *bezwłocznie* i z wytężoną energią do akcyi wyborczej przystąpili i wcześnie zwołali walne

zebranie powiatowe celem wyboru kandydatów poselskich.

Walne zebranie delegatów odbędzie się w Poznaniu dnia *14-go stycznia 1907 r.*

Przed tym terminem muszą się zatem wszędzie po powiatach odbyć walne zebrania. Przypominamy, że na mocy regulaminu wyborczego wszystkie obecne władze wyborcze pozostają w urzędzie aż do r. 1908; prosimy zatem obecnie żadnych Komitetów wyborczych lub delegatów nie wybierać. Należy natomiast, gdzie tego zachodzi potrzeba, istniejące komitety i podkomitety uzupełnić, a szczególniejszą zwrócić uwagę na pozyskanie dla każdej miejscowości, gdzie wyborcy polscy mieszkają, dostatecznej liczby dzielnych i sprężystych mężów zaufania.

W końcu zalecamy jak najusilniej zbieranie funduszów wyborczych i odsyłanie wyznaczonych kwot do kasy Prowincyonalnego Komitetu.

Poznań, 17 grudnia 1906 roku.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na W. Księstwo Poznańskie.
Stefan Cegielski, prezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz.
Ks. Wawrzyniak, wiceprezes.
M. Więckowski, skarbnik.
Julian Brzeski. Dr. Antoni Chłapowski. Władysław Grabski. Ks. Mojzykiewicz. Dr. T. Szułdrzyński.

W sprawie podwyższenia przedpłaty na „Pracę“.

Po ostatniej wiadomości o podwyższeniu przedpłaty na „Pracę“ z 1,25 na 1,50 mk. odebraliśmy z bardzo wielu stron, od dawnych i wiernych Czytelników naszych serdeczne listy, wyrażające nam współczucie i wyrazy głębokiego zaufania.

Z listów tych przebija świadomość tego, że przy takiej objętości, przy podnoszących się stale cenach zarobkowych, cenach na papier, przy ciągłych potrzebach, to nowych maszyn, to reparacyi koniecznych, przy ogromnych wprost wydatkach na redakcyę i administracyę — „Praca“ *zmuszoną* była, ostateczny ten krok rychlej czy później uczynić.

Zwolennicy nasi szczególnie uznają to, że *nie dla zysku*, lecz *dla uchronienia „Pracy“* przed grożącem jej niebezpieczeństwem na ten krok się zdecydowaliśmy.

Doprawdy — nie mało nas to kosztowało przezwyciężenia. Przecież Czytelnicy nasi nieomal zrośli się z tą swoją tyloletnią przyjaciółką „Pracą“. Wiedzieliśmy, że oni jej nie opuszczą. I było nam ogromnie przykro, że musimy się do nich odwoływać po pomoc. Uczyniliśmy to jednakże w tem przeświadczeniu, że wierna gwardya nasza nasze pobudki zrozumie, że je uzna za dostateczne, i że pozostanie nam nadal wierną. Nie omyliliśmy się.

Nie dość jednakże, Szanowni Czytelnicy, że Wy sami pozostaniecie nam wiernymi — my od Was większego, czynnego poparcia żądamy wśród braci Waszych, przyjaciół Waszych, znajomych Waszych.

Mamy do tego najzupełniejsze prawo. Kto w pierwszym stoi szeregu na szańcu narodowym, kto najwyżej trzyma sztandar narodowy po nad waśnie i swary bratnie, kto najwytrwalej walczy przeciw burzom i piorunom spadającym na rodaków swoich — ten ma prawo do tego, ażeby w niebezpieczeństwie ci bracia rodacy przyszli mu z pomocą.

Dziś tej pomocy, Bracia, od Was się spodziewamy.

Jakaż to pomoc?!

Nie setki, ale tysiące rodzin polskich żyje jeszcze w ciemnocie — nie czyta gazet. Setki i tysiące rodzin z imienia są tylko polskiemi.

Bracia, czy na to dał Wam Bóg światło oświaty, uświadomienie, że jesteście Polakami, na to tylko Wam je dał, abyście jak skąpcy chowali je zazdrośnie w sercach Waszych?

Nie — po stokroć nie! Dziś każdy uświadomiony Polak nie tylko ma obowiązek dbać *o siebie*, o zachowanie *polskości*, ale ma drugi, większy jeszcze obowiązek: *pójść między braci swoich, nauczać ich, uświadamiać, uszlachetniać, podnosić na duchu, zagrzewać do wytrwania.*

Patrzcie — przecież Chrystus uczniów swoich nie między mędrcami szukał, których wśród kapłanów żydowskich mnóstwo było, — *ale wśród ludu prostego, wśród rybaków*, i do nich rzekł: *idźcie i nauczajcie narody.*

A jaki plon tej pracy? — Dziś niema kraju, niema zakątka na całym świecie, dokądby nie były dotarły promienie prawdziwej, chrystusowej wiary.

To przykład dla Was. A zadanie Wasze nie takie wielkie. Nie w świat Wam chodzić i narody nauczać, nie obcych — ale *swoich*, braci rodzonych i siostry — najbliższych więc. A jak dobrą macie broń w ręku, jak silne przekonywające argumenty! —

Oto najważniejszy: potrzeba oświaty! Czyż jest dziś człowiek na świecie, obdarzony przez Boga rozumem, któryby nie chciał, któryby nie używał dobrodziejstwa oświaty?

Takiego niema! a gdyby się znalazł, łatwo go przekonać, że nie ma racyi.

Takiemu dajcie gazetę, dajcie „Pracę“ do ręki — a reszty już pismo to samo dokona.

Takiej więc pomocy „Praca“ od Was, Szanowni Czytelnicy, się spodziewa i pragnie. Okazya wspaniała — święta za progiem i koniec kwartału tuż.

Niech na jeden kwartał, niech na próbę ktoś zapisze sobie „Pracę“ — a naszem będzie staraniem, że się bez niej później nie obędzie.

Dodajemy na koniec to jeszcze, że „Praca“ pomimo podniesienia przedpłaty pozostała jako pismo illustrowane

najtańszem pismem polskiem

na cały zabór pruski i na całe Niemcy, a to dla tego, że „Praca“ najwięcej daje treści i najwięcej obrazków z naszego bieżącego życia i z naszej przeszłości.

Łatwa więc jest dla „Pracy“ agitacya — a przy szczerych chęciach przysporzy nam dużo nowych abonentów.

Za tę pomoc tym wszystkim przyjaciołom naszym, którzy nam jej nie poskąpią, już naprzód składamy serdeczne wyrazy uznania i wdzięczności.

Wszystkim natomiast Czytelnikom „Pracy“ na święta Bożego Narodzenia zasyłamy gorące pozdrowienia i jak najszczersze życzenia: Do siego roku!

Redakcya.

Wiadomości.

*** Do Szanownych Czytelników.** Dzielimy się z Szanownymi Czytelnikami wiadomością, że obecny numer „Pracy“ zawiera podwójny arkusz illustrowany. Uczyniliśmy to z dwóch względów. Święta pozostawiają dużo wolnego czasu i odpoczynku. A w takim razie chętnie się czyta i rozmyśla.

Z tego względu, mamy nadzieję, Czytelnicy nasi będą się cieszyć, będą zadowoleni, że „Praca“ pamięta o duchowej dla nich rozrywce, i to tak wzniosłej i pożytecznej, jaką jest czytanie.

Drugi wzgląd, jaki nas do tego zniewolił, jest ten, że święta Bożego Narodzenia przypadają na pierwsze dnie tygodnia, i to te właśnie, w których nasz arkusz obrazkowy się drukuje. Musielibyśmy więc arkusz odnośny tak czy owak prędzej wykończyć. Wolimy więc, że zamiast ma po próżnicy leżeć w naszej drukarni, dostanie się do rąk Czytelników naszych. Jestto więc arkusz, który właściwie

należy do numeru noworocznego. Za to numer noworoczny nie będzie zawierał drugiego arkusza, t. j. arkusza ilustrowanego — tylko sam „dział polityczny.“

Te powody nasze raczą Szanowni Czytelnicy uwzględnić.

Redakcya.

Wynik wyborów do parlamentu w Okręgu dwóch powiatów i miasta Poznania z dnia 16. 6. 1903 r.

Padło głosów a) w mieście Poznaniu 17,763
b) w powiecie wsch. pozn. 4,372
c) „ „ zach. pozn. 6,028
razem 28,164

Absolutna większość wynosi przeto 14.082 głosów.

Z tego otrzymali:

	Chrzanowski	Dr. Prümers	Gogowski (soc)
a) w Pozn.	9,061	7,318	1,374
b) „ poz. ws.	3,329	962	81
c) „ poz. z.	4,948	1,061	17
Razem	17,338	9,341	1,472

Wybrany posłem: *Bernard Chrzanowski.*

Żywimy przekonanie, iż Komitet miejski wyborczy oraz Komitety powiatowe zwołają zebranie powiatowe celem stawienia listy 3-ch kandydatów tak wcześnie, aby Komitet okręgowy składający się z 9-ciu delegatów (po trzech z miasta i powiatów) mógł jaknajwcześniej wydać wspólną odezwę do wyborców i podrukować kartki wyborcze.

Kartki białe muszą mieć rozmiar *9 na 12 centymetrów* — inne są nieważne.

W kim polska dusza wre niechaj się osobiście przekona, czy będzie zapisany w liście wyborczej. Właściciele domów — Polacy powinni policyantom spisującym wyborców po domach dawać jaknajdokładniejsze informacye, aby nie uronić żadnego Polaka liczącego 25 lat; zapisany w listę powinien być *każdy*, czy płaci podatek lub nie.

Poznań podzielony będzie prawdopodobnie na 36 okręgów, na każdego członka Komitetu przypadnie zatem jeden okręg; radzimy wykupić koniecznie odpis listy wyborczej, bo z braku list oddaliśmy przed 3-ma laty tylko 9,000 głosów, a mogliśmy oddać 11,000.

Czas jest pokazać raz znowu Niemcom, że Poznań jest miastem polskiem i być nim nie przestanie!

Polonus.

*** Zebrania i wiece**
odbędą się *w niedzielę dnia 23-go grudnia* w następujących miejscowościach:

W Miłosławiu
w sprawie szkolnej, o godz. 4-tej po poł. Sprawozdanie poselskie złoży ks. prał. i poseł *Stychel.*

W Radzynie
(Pr. Zach.): wiec przedwyborczy, o godz. 12-tej w poł. na sali p. Hofmanna.

W Starogardzie
wiec przedwyborczy, o godz. 5-tej po poł. — obór kandydatów na posłów — sala p. *Budy.*

W Gdańsku
wiec „Straży,“ o godz. 1-szej po poł. na sali p. Stephana w Sidlicach.

*** Zadanie a siły.** Towarzystwo Czytelni Ludowych osiągnęło bardzo skromnemi środkami niezwykle korzystny rezultat, bo nauczyło 3 milionową ludność czytać dobre książki i kochać swą własność historyczną.

Zadowalniająca stosunkowo czynność ubiegłego ćwierćwieku wcale jednak nie może rozproszyć obaw co do przyszłości, bo ogólny postęp wiedzy budzi w ludziach wciąż nowe pragnienia i coraz to większe wymagania.

Ztąd pochodzi, że co przed 25 laty było dostatecznem, to dziś już nie wystarcza wcale, bo człowiek żądny coraz to głębszej wiedzy, szuka też nowych dróg i sposobów, któreby mu nabycie tej wiedzy ułatwiły: potrzebuje lepszych książek!

Od czasu założenia Towarzystwa Czytelni Ludowych przybyło nas także ilościowo, a więc liczba bibliotek zakładanych przez Towarzystwo wzrasta bezustannie: potrzeba więcej książek!

Z tych przyczyn pomnożyły się znacznie potrzeby techniczne i wydatki, a fundusze nie mnożą się wcale w miarę obecnych wymagań.

Ażeby powyższe twierdzenie uzasadnić, wystarczy pewnie prosta uwaga, że Paryż, równający się liczbą mieszkańców polskiej ludności w Niemczech, wydaje na swoje biblioteki 160 tysięcy, a Towarzystwo Czytelni Ludowych tylko 16 tysięcy marek rocznie, ponieważ więcej wykołatać nie może i wciąż się musi borykać z deficytem.

Jeśli więc mamy dorównać innym narodom pod względem wykształcenia i ogólnej oświaty, to potrzeba koniecznie pamiętać o obfitszych składkach na *Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu.*

*** W teatrze polskim** grają w *sobotę* dnia 22-go b. m. *„Męża o dwóch żonach“* — komedyę w 3 aktach. Grana w Warszawie z niemałym sukcesem. Zachodzi tu podwójny rozwód małżeński, sceny pełne dowcipu i humoru — śmiech nie ustanie ani na chwilę.

W niedzielę r. 997 — czy Męczeństwo św. Wojciecha.

*** W sprawie Kurzejgóry** odbył się dnia 18-go b. m. termin w Kościanie przeciwko dd. Bobowskiemu, Neymanowi, Musielakowi i Olejniczakowi. Wyrok został odroczony aż do decyzyi instancyi wyższej w tej sprawie.

*** Tow. Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem:

Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).

Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).

*** Co ludzie chcą czytać?** Biblioteki ludowe powstały z potrzeby kształcenia tej wielkiej masy narodu, którą utartym od wieków zwyczajem i teraz jeszcze nazywamy ludem, pomimo, że prawo lub obyczaj zniosły dawne stany i przywileje tak, że trudnoby nawet było ściśle określić, kto dziś do tego ludu właściwie należy.

Kształcić nie znaczy jednak uczyć, a więc nie powinno się też książek, służących wyłącznie naukowym celom stawiać na plan pierwszy i według ich liczby albo wartości oceniać wartość bibliotek ludowych wogóle.

Czytelnie powinny tak być zaopatrzone, aby z nich chętnie korzystał każdy człowiek, który pragnie zaspokoić potrzebę duchowego wykształcenia.

Biblioteki powinny badać, czego lud pragnie, a nie powinny ludu zmuszać do czytania książek o pewnej tylko tendencyi, bo każdy przymus jest uciążliwym; duch ludzki nie da się zniewolić do postępowania w pewnym, z góry oznaczonym kierunku.

Kto się wstawi w położenie czytelnika i zastanowi się nad tem, że książka ma osłodzić wolną chwilę po uciążliwej i wielogodzinnej pracy, ten przyzna bez wątpienia, że właściwym celem bibliotek ludowych jest rozpowszechnianie takich książek, których treść działa na uczucie, na umysł, a przedewszystkiem na wyobrażenie.

Na tej zasadzie są urządzone i nasze biblioteki, ale zadanie swoje będą mogły w zupełności spełnić dopiero wtenczas, jeżeli cały naród gorliwie i wytrwale popierać będzie
Tow. Czytelni Ludowych w Poznaniu.

*** Konkurs:** Zarząd *„Muzeum Przemysłowego Miejskiego we Lwowie“* ogłasza niniejszem konkurs na projekty:

1. Afiszu dla urządzanych przez Muzeum wystaw, wykładów i t. p.

2. Garnituru do pisania na biurko, składającego się z kałamarza, przycisku na papiery i lichtarza.

3. Ram rzeźbionych z drzewa i złoconych do obrazu J. Matejki „Śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej.“

W konkursie mogą brać udział tylko artyści polscy lub ruscy bez względu na miejsce zamieszkania.

Za prace odpowiadające wymaganiom konkursu przeznacza się nagrody następujące:

Za projekt afiszu: pierwszą nagrodę w kwocie 150 koron, drugą nagrodę w kwocie 100 koron.

Za projekt garnituru do pisania: pierwszą nagrodę w kwocie 200 koron, drugą nagrodę w kwocie 120 koron.

Za projekt ram: pierwszą nagrodę w kwocie 250 koron, drugą nagrodę w kwocie 150 koron.

Prace nagrodzone stają się własnością Muzeum do dowolnego jego użytku, również zastrzega się prawo pierwszeństwa co do zakupna projektów nie nagrodzonych.

Prace opatrzone mają być godłem, w opieczętowanej zaś kopercie z tem samem godłem załączone ma być nazwisko i adres autora.

Termin nadsyłania projektów pod adresem: Muzeum Przemysłowe Miejskie we Lwowie oznacza się na dzień 31-go stycznia 1907 do godz. 12-tej w południe.

W ciągu miesiąca lutego 1907 projekty nadesłane zbada i oceni komisya

obradująca pod przewodnictwem prezesa Muzeum.

* **Na „Gwiazdkę“** praktyczne tanie, i ładne przedmioty nabyć można u pana *Leona Kostrzewskiego, firma „Hermes“* przy placu Piotra 4 — specyalny skład papieru, materyałów piśmiennych, galanteryjnych, skórzanych, rysunkowych i szkolnych.

* **W szkole** kroju i szycia p. *Kaszubowskiej* rozpoczynają się nowe kursa z dniem 7-go stycznia, na co zwracamy uwagę szanownych pań. Bliższe wiadomości w ogłoszeniach.

* **Adwokat Polak** osiedlić się może zaraz w *Pniewach.* W pierwszym roku zapewnione 5—6000 marek dochodu. Bliższych informacyi udzieli biuro „Straży,“ Piekary 13 II. p. Adres Dr. Tadeusz Jaworski Poznań — Posen.

* **Siodlarz Polak** chce się osiedlić w jednem z miast prowincyonalnych i ma zamiar założyć *skład skór.* Prosimy Szan. Czytelników o podanie korzystnej miejscowości i nadesłanie ofert do Ekspedycyi „Pracy.“

Nasza ofiarność.

Na fundusz im. ś. p. Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa Dr. Floryana Stablewskiego — na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej — złożyli w naszej redakcyi w dalszym ciągu pp. Władysław Motyka z Amiens (Francya) 8 mrk; J. Fleischman z Kratzwieck 1 mrk. 50 fen; Ks. Obiegło z Rybnik 10 mrk; Pawlaś z Rybnik 1 mrk; Borski z Rybnik 1 mrk; A. B. 30 mrk; F. R. 30 mrk; Z. N. 20 mrk; F. N. 20 mrk.

Razem złożono dotychczas 262 mrk; 40 fenygów.

Gorącą zanosimy prośbę do Czytelników naszych, ażeby nadsyłali nam jak najliczniejsze choćby małe ofiary na cel tak szlachetny a tak niezbędny, bo na obronę naszego najdroższego skarbu — naszego języka.

* * *

Na Czytelnie Ludowe: pan Pawlaś z Rybnik 1 mrk.

* * *

Nekrologia.

† Ś p. *Antoni Wojciechowski*, dnia 4-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 45. R. i. p.

† Ś. p. *Czesław Krótki*, sodalis marianus, dnia 5-go b. m. we Wrześni, przeżywszy lat 27. R. i. p.

† Ś. p. *Ks. O. Eustachy Górkiewicz*, dnia 6-go b. m. w Goruszkach, przeżywszy lat 70. R. i. p.

† Ś. p. *Marya z Koszutskich Każmierzowa Jorochowska*, dnia 6-go b. m. w Kaliszu, przeżywszy lat 68. R. i. p.

† Ś. p. *Salomea z Mierzyńskich Teodorowa Stein*, dnia 7-go b. m. w Wysoce (Prusy Zachodnie) przeżywszy lat 78. R i. p.

† Ś. p. *Szczaniecki*, dnia 9-go b. m. w Gnieźnie w 81-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *August Chrzanowski*, dnia 12-go b. m. w Ostrowie w 86-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Otolia z Bulińskich Fragsteinowa Niemsdorff*, dnia 12-go b. m. w Grudziądzu, przeżywszy lat 89. R. i. p.

† Ś. p. *Antonina z hr. Czarneckich Biegańska*, dnia 14-go b. m. w Cykowie. R. i. p.

† Ś. p. *Tadeusz Modlibowski*, dnia 15-go b. m. w Gierłachowie. R. i. p.

Od Redakcyi.

— *Katarzynie P. w Ch. pod Rawiczem.* — Rozwiązanie zagadki dobre. Dziękujemy za łaskawą pamięć, za miły liścik, za życzenia świąteczne i serdecznie pozdrawiamy.

— *Panu W. Motyce w Amiens (Francya).* — Za wycinki dziękujemy. Co do polityki, to nas przedewszystkiem obchodzą „sprawy polskie, a nie „masońska“ Francya, która często nas Polaków oszukiwała. Zasyłamy serdeczne pozdrowienie i życzenia: „Wesołych świąt!“

— *Towarzystwu gimnastycznemu „Sokół w Herne.* — Notatkę otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 16-go b. m., zatem zamieścić nie mogliśmy. *Notatki nie cierpiące zwłoki i mające być zamieszczone w najbliższym numerze muszą dojść do rąk naszych najpóźniej w każdą środę po południu.*

— *Panu P. Rutkowskiemu w Berlinie.* — Udaj się Szan. Pan w tej sprawie do Redakcyi „Ziarna“ w Warszawie, Warecka nr. 9 — po informacye.

— *Wielm. Ks. St. Kruszka w Opalenicy.* — „*Scyoptykony*“ (latarnie magiczne) do celów naukowych i ludowych ma we wielkim wyborze znany tutejszy skład aparatów i przyborów fotograficznych B. Śniegockiego, ul. Rycerska Nr. 38. Mieliśmy sposobność przekonać się, że firma ta, zaopatrzyła już pewną część naszych Towarzystw tak poznańskich, jak i pozamiejscowych w aparaty swe, które po części tutaj w Poznaniu każe wyrabiać. Także sekcya kulturalna „Straży“ zakupiła u firmy tej piękny aparat. Założyła także firma B. Śniegockiego pracownią przezroczy, przeważnie treści narodowej, które dostarcza z gotowemi już odczytami.

— *100 b.* — To zdaje się sprawa zawikłana bardzo. Radzimy Panu spytać się adwokata. Niekoniecznie zaraz Pan potrzebuje iść do sądu.

— *C. E.* — Dziękujemy za projekt. Weźmiemy pod rozwagę. Pozdrawiamy.

— *Weel.* — Zbyt wiele germanizmów. Niepodobna umieścić.

— *Polonia w Dysseldorfie.* — Będzie w przyszłym numerze.

— *S. W. K.* — Radzimy Lipsk albo Wrocław. Zapewne Pan już posiada fabrykę? — Niech Pan napisze do Lipska o warunki i prospekt. Może Pan ma kogoś, co już był w podobnym zakładzie, ten najlepiej Pana poinformuje.

Od Administracyi.

Wszystkich tych Szanownych Czytelników, którzy piszą do nas o zaległe numera „Pracy“ nie odebrane z poczty lub też z jakiejbądź innej przyczyny, upraszamy, aby zawsze dołączali do listu znaczek dziesięciofenygowy na porto jednego numeru „Pracy“ a znaczek dwudziestofenygowy na porto za dwa lub trzy numera „Pracy“. Jest to warunek konieczny, o którym niech zechcą pamiętać Szanowni Czytelnicy!

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

34) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Komisyę tę postawił Napoleon na czele zajętej ziemi polskiej, którą podzielił na sześć departamentów: Warszawa, Poznań, Kalisz, Bydgoszcz, Płock, Białystok.[1]) Obok tej Komisyi ustanowił pięciu ministrów czyli dyrektorów wydziałowych, z których najważniejszym był minister wojny ks. Józef Poniatowski. Ministrem sprawiedliwości został poseł Sejmu Czteroletniego Łubieński Feliks, Breze ministrem spraw wewnętrznych, Jan Małachowski po nim Tadeusz Dębowski ministrem skarbu, Aleksander Potocki ministrem policyi[2]). Głównem zadaniem ministrów było zorganizowanie wojska polskiego i dostarczenie potrzeb wojennych. Według dawnego obyczaju „jaki panował w chlubnych dniach dla narodu" rozesłano jeszcze wici na pospolite ruszenie i to na wyraźne żądanie Napoleona[3]). Ostatni wojewoda Gnieźnieński, Radzimiński, podpisał spiesznie (jeszcze 2-go grudnia) te wici, naznaczając dzień zebrania na 25-go grudnia w Łowiczu. Z pospolitego ruszenia szlachty utworzył Napoleon regularne pułki jazdy.[4])

Stanęły więc trzy dywizye[5]) piechoty, legia północna[6]) pod ks. Michałem Radziwiłłem, pomnożone jeńcami z pod Jeny, a także szczątki spieszącej do kraju legii włoskiej, zwanej teraz nadwiślańską pod dowództwem Grabińskiego, Rożnieckiego, Chłopickiego, Kaz. Małachowskiego, Konopki, Klickiego[7]). Wszyscy bowiem ochotnicy polscy z Włoch i Francyi powołani zostali do kraju, a oficerowie wyprawieni do przedniej straży mieli ściągać zbiegów

---

[1]) J. Szujski, *Dzieje Polski*, IV, 729, Lwów 1866.

[2]) Lewicki, 384, 385; Morawski, VI, 66.

[3]) Napoleon oświadczył Wybickiemu, że przedewszystkiem chce widzieć pod chorągwiami „szlachtę, magnatów, cały naród". „Oui, oui, je veux votre pospolite! (Tak, tak, ja żądam waszego pospolitego ruszenia!) — są jego słowa. Morawski, VI, 62; Sokołowski, IV, 1323.

[4]) Do przywodzenia województwom powołani zostali: w Pomorskiem Trąpczyński, w Malborskiem Lipiński, w Kujawskiem Trzebuchowski, w Inowrocławskiem Sokołowski, w Gnieźnieńskiem Rydzyński, w Poznańskiem Węgorzewski, w Kaliskiem Jan Gliszczyński, w części Krakowskiej Męciński, w Sieradzkiem Lipski, w Wieluńskiem Stokowski, w Łęczyckiem Onufry Dąbrowski, w Rawskiem Leszczyński, w Mazowieckiem Swidziński. — Szlachta konna odróżniała się barwą wojewódzką, każde 100 koni wybierało sobie trzech oficerów. — Morawski, VI, 62, 63.

[5]) Dywizya, z franc. znaczny oddział wojska, składający się po większej części z czterech pułków.

[6]) Jeszcze we wrześniu generał Zajączek i generał Henri (Wołodkowicz) będący w służbie francuskiej, mieli polecone od Napoleona utworzyć l e g i ę p ó ł n o c n ą nad Renem. Do tej legii weszli teraz w Hegenau i Lipsku jeńcy wojenni zabrani w bitwie pod Jeną. — Morawski VI, 58, 68.

[7]) W tych legiach polsko-włoskich przysposobili się do obecnej armii oficerowie, mianowicie wyżsi. Przybyli pod chorągwie narodowe: Sokolnicki, Kamieński Jan, Biegański, Hebdowski, Kamieniecki, Krasiński Izydor, Kossecki, Żółtowski, Kęszycki, Zawadzki, Stuart, Godebski, Hornowski, Sierawski, Bogusławski, Górski Antoni. Zamożniejsi jak książę Sułkowski, Skórzewski Walenty, hrabiowie Mielżyński Stanisław, Poniński Stan., Zieliński Ignacy dołożyli swoich funduszów i utworzyli pułki, których zostali dowódzcami. W Kaliskiem Fr. Radoliński złożył 100,000 złotych; w Mazowieckiem dali podobnież Strasz i Dom. Kuczyński; biedniejszy Wybicki oddał wszystko co miał t. j. 20,000 złotych. Z obczyzny dążyli do kraju także, kalecy inwalidzi i weterani, pragnący złożyć kości w ojczystej ziemi, a prowadził ich kapitan Mieczyński. — Morawski VI, 67, 68.

A. Czechow.

Ciemnota.
NOWELA.

(Dokończenie).

Przestępując z nogi na nogę i wciąż oglądając się bez żadnej potrzeby, leniwie sunął się po drodze i widocznie rozmyślał nad tem, dokąd iść... Mrozu wielkiego nie było i śnieg zlekka skrzypiał pod jego nogami. Przed nim o jakie pół wiorsty widniało na wzgórzu powiatowe miasteczko, w którem niedawno sądzili jego brata. Na prawo ciemniał budynek więzienny z czerwonym dachem i z budkami na rogach. Na lewo był lasek miejski, pokryty teraz szronem. Panowała cisza. Tylko jakiś staruszek w kobiecym kaftanie i w olbrzymiej czapce, szedł przed nim kaszląc i pokrzykiwał na krowę, którą pędził do miasta.

—Jak się macie, dziadku! — przemówił Kirył, zrównawszy się z nim.

— Jak się masz...

— Na sprzedaż pędzicie?

— Nie, tak... — leniwie odpowiedział stary.

— Mieszczanin jesteście?

Zawiązała się rozmowa. Kirył opowiedział, po co chodził do szpitala i o czem rozmawiał z doktorem.

— To pewna, że doktór tych spraw nie rozumie, — mówił stary, gdy weszli do miasta. — On choć i pan, ale nauczony leczyć różnemi środkami, ale żeby tak jaką prawdziwą radę dać, albo tak mówiąc protokół napisać — to on tego nie może. Na to osobne władze są. U sędziego byłeś i u stanowego. Oni też twojej sprawie nie mogą nic dopomódz.

— Więc dokądże iść?

— W waszych włościańskich sprawach sam najgłówniejszy jest stały członek sądu. Do niego idź. Pan Sinieokow.

— To ten co w Zołotowie?

— Tak, w Zołotowie. On dla was najgłówniejszy. Jeżeli co do waszych spraw należy, to przeciw niemu nawet i sprawnik niema pełnego prawa.

— Daleko bracie iść!.... To będzie z piętnaście wiorst, a może i więcej.

— Komu potrzeba, to ten i sto wiorst pójdzie.

— To się wie... A cóż jemu, prośbę podać, czy jak?

— Tam dowiesz się. Jeśli i prośbę, to ci pisarz prędko napisze. Tam jest pisarz.

Rozstawszy się z dziadem, Kirył postał na środku placu, pomyślał chwilę i poszedł z powrotem. Postanowił iść do Zołotowa.

W kilka dni później doktór, wracając ze szpitala do domu, ujrzał znowu u siebie na dziedzińcu Kiryła. Lecz teraz nie był on sam, przy nim stał jakiś chudy, bardzo blady staruszek, który bez przestanku kiwał głową, jak wahadłem i poruszał ustami.

— Wielmożny panie, ja znowu do łaski pańskiej, — zaczął Kirył. — Ot z ojcem przyszliśmy, zlituj się, uwolnij Waśkę! Stały członek sądu mówić ze mną nawet nie chciał. Powiada „idź precz!"

— Wielmożny panie, — zachrypiał szeptem stary, podnosząc drżące brwi — bądź miłosierny. My ludzie biedni, podziękować nie mamy wielmożnemu panu czem, lecz jeśli pan sobie życzy, to Kirył albo Waśka odrobić mogą. Niech pracują.

— Odrobimy — powiedział Kirył i podniósł rękę, jak do przysięgi.

— Wypuść go! Z głodu mrą! Jęczą bez przestanku, wielmożny panie.

z wojska pruskiego[1]). Było więc blisko 20,000 piechoty i 6000 jazdy dobrze zorganizowanej, a pełnej zapału i zdolnej do wszelkich poświęceń[2]). Cała ta armia podzielona została na trzy legie, a stali na ich czele główni wodzowie: Ks. Józef Poniatowski, Dąbrowski i Zajączek.

Ażeby wzburzyć naród polski przeciwko wrogom, kazał Napoleon już od kilku miesięcy zebrać z archiwum cesarstwa i przygotować do druku *pamiętniki Ruthiera o pierwszym rozbiorze Polski.*[3]) Już też na rozkaz cesarski pisał *historyę trzech rozbiorów* uczony mąż stanu francuski *d'Hanterive*, a w Paryżu drukowano znaleziony w gabinecie królewskim w Berlinie *pamiętnik o powstaniu Kościuszki*, kreślony przez generała rosyjskiego Pistora.[4])

Napoleon rozpoczął jeszcze w zimie dalszą wojnę z Rosyanami, z którymi połączyły się pruskie niedobitki. Już 6-go grudnia toczyła się na Wiśle potyczka, gdy przewoźnicy polscy pod Toruniem ułatwiając Francuzom zepchnęli do Wisły przewoźników pruskich. Dnia 23-go grudnia wyjechał Napoleon za wojskiem, które przebyło już Wisłę pod Toruniem, Płockiem i Warszawą. Zwycięskie jego szyki przeprawiły się przez Bug pod Czarnowem. Pomimo nieprzyjaznej pory roku i niespodziewanej odwilży Napoleon ruszył dalej, a gdy wódz rosyjski Kamenskoj chciał go powstrzymać w dalszym pochodzie Napoleon pobił go w krwawych potyczkach pod Pułtuskiem, Gołyminem i Działdowem (26-go grudnia 1806 r.) Tak pozbywszy się niewygodnego sąsiedztwa i odrzuciwszy Moskali na Ostrołękę, a odcięty korpus pruski Lestacyna ku Nidborgowi, wyswobodziwszy więc od nieprzyjaciela cały lewy brzeg Wisły i znaczną część brzegu prawego, powrócił Napoleon do Warszawy na zimowy spoczynek (3-go stycznia 1807 r.)[5]).

Chwila była bardzo stosowna do powstania i do urządzenia kraju. Zapał i zachwycenie narodu dla Napoleona wzrastały ciągle, ale też i nadzieje w takich trzeźwych wyrażały się zdaniach:

— O ten Napoleon wielki mocarz, przywróci nam Polskę naszą!

— A dlaczegóżby nie?.... On, ten geniusz, któremu tak łatwo przychodzi tworzyć królestwa, lub je burzyć!

— Nie przywróciłby Polski za tyle naszej pracy i poświęceń dla niego?

— Bo dla kogoż to tyle kosztów na wojsko i to świetne pospolite ruszenie?[6])

[1]) Musiało być więcej takiej młodzieży, jak ów wesoły Grzeg. Pluciński, akademik w Królewcu, wróg profesorów Niemców, którym dosyć złośliwych figlów napłatał. W czasie werbunku przez ks. Wilhelma, brata króla pruskiego w r. 1806 wstąpił jako ochotnik do huzarów pruskich, a potem jako wyćwiczony już żołnierz uciekł do armii francuskiej. „*Armia polska na cment. Powązkow*“. — Tygodn. illustr. nr. 44, Warsz. 1906.

[2]) Sam okręg warszawski dostarczył 5000 ludzi, 1200 koni; w tym samym stosunku dostarczyły ich okręgi Poznański i Kaliski. — Sokołowski IV, 1325 (wedł. Fr. Skarbka: *Dzieje ks. warsz.)*; Morawski, VI, 67.

[3]) *Rulhière Klaud.* (1735—1791), historyk francuski, napisał między innemi bardzo ważne dla historyi polskiej dzieło p. t. „*Histoire de l'anarchie de Pologne et du demebrement de cette republique*“. (Paris 1807; 1862; tłom. niemiec, 4 t. Lipsk 1807; tłom. polsk. I tom. warszaw. 1808(. — Encykl. Orgelbr.

[4]) Tytuł tego dzieła: „*Memoires sur la revolution de la Pologne trouvées à Berlin*“ (Paryż, 1806, z 2-ma mapami: plan Warszawy i teatr wojny, 1794; po polsku: Poznań, 1860). — Encykl. Orgelbr.

[5]) Morawski, VI, 65; Sokołowski IV, 1325.

[6]) Pospolite ruszenie zebrało się na czas „pięknie i porządnie“; celowały wśród niego pułki: Kaliski i Sieradzki.

Chłopak szybko spojrzał na ojca, pociągnął go za rękę i obaj jak na komendę upadli doktorowi do nóg. Ten zaś machnął tylko ręką i nie oglądając się, poszedł prędko do swoich drzwi.

Czerwony znak.

15) Z włoskiego tłumaczył A. P.

(Ciąg dalszy).

Obejrzawszy rozmaite napisy, przysunął sobie stół i krzesło do nagrobka biskupa Vaustona i usiadłszy tak, że mógł nieustannie obserwować Caradiniego, zaczął gorliwie pracować.

Przedewszystkiem postanowił dokładnie przetłumaczyć jeden z najdłuższych łacińskich napisów. Pracował pilnie i starannie, tak, aby jego robota, w razie gdyby ją kto chciał przejrzeć, nie wzbudzała żadnego podejrzenia. Caradini tymczasem kuł marmur dalej, śpiewając raz po raz półgłosem jakąś piosenkę włoską — co dziwnie brzmiało w tym obszernym, wysokim, kamiennym gmachu.

Pierwszym, który Hamiltonowi i Caradiniemu przerwał pracę, był pułkownik Palett. Z cygarem w ustach i rękami w kieszeniach wszedł do mauzoleum i przez chwilę przyglądał im się w milczeniu. Ale zaraz potem uznał, że obowiązkiem jego było zabawić trochę obydwóch młodych ludzi, którzy tak pilnie pracowali nad rozgłosem sławy Vaustonów!

Lecz dziś rozmawiał głównie z Hamiltonem. Jego czcza gadanina sprawiała doktorowi prawdziwą mękę, to też aż odetchnął swobodniej, gdy ów protektor sztuki i literatury zwrócił się ku drzwiom. Spokój i cisza w mauzoleum wywierała istotnie zbawienny wpływ na rozdrażnione nerwy Hamiltona.

Około dwunastej, gdy dzwony kościoła we wsi zwoływały robotników na obiad, przyniósł chłopiec z karczmy koszyk z drugiem śniadaniem dla Caradiniego i Hamiltona, który naśladując rzeźbiarza, również w mauzoleum postanowił jadać. I jedli teraz obydwaj przy stole Hamiltona obłożone mięsem chleby i pili piwo, to jest tylko Hamiltona pił porter, odmawiając stanowczo Caradiniemu jego włoskiego Chanti.

Gdy skończyli śniadanie, rzekł Caradini, zapalając papierosa:

— Może mnie pan wyśmiejesz, ale gdziekolwiek bądź jestem latem czy zimą, muszę po jedzeniu mieć moją siestę. Jestem przyzwyczajonym do tego od najwcześniejszej młodości. Widzisz pan — wszystko mam już przygotowane......

Hamilton spostrzegł teraz, że chłopiec z karczmy przyniósł jeszcze oprócz koszyka ze śniadaniem jakąś większą paczkę, składającą się z małej poduszki i lekkiej kołdry. Caradini położył się jak długi w słońcu, którego promienie przez otwarte drzwi wpadały do mauzoleum, podsunął sobie poduszkę pod głowę, nakrył się kołdrą, i leżał tak przynajmniej z godzinę. Lecz nie spał. Palił tylko jednego papierosa po drugim, przemówił raz po raz jakieś słowo, przepędzając resztę czasu w milczeniu.

Hamilton nie przeszkadzał mu wcale — wstał i wyszedł do parku, aby odetchnąć na chwilę świeżem powietrzem.

Powietrze było dziś tak ciepłe, jak w kwietniu, słońce jasno świeciło, i widok na pola, łąki i na rzekę był prawdziwie zachwycający. Hamilton oddychał pełną piersią, rozkoszując się pięknością natury, a gdy nareszcie wrócił do mauzoleum, zastał Caradiniego już przy pracy.

— Dla kogoż to mozolne spieszne szańcowanie twierdz naszych i brzegów Wisły?[1]).

— Dla kogoż to ta nagła budowa pod Warszawą ogromnego mostu polowego na 34 słupach sześciopalowych?[2]).

To wszystko dla Napoleona... ale i dla nas,... więc czekajmy, może spełnią się gorące pragnienia nasze!

— Jakto, Napoleon nie przywróciłby Polski? — wołali złośliwi. — A wiecie wy, coby się z nim i z tymi wszystkimi Francuzami stało, gdyby nie my, gdyby nie ziemie polskie, gdyby nie Warszawa?!

— Wysilamy się i codziennie dajemy Francuzom 100,000 dziennych porcyi żywności, a trzy razy tyle składamy im do magazynów!

— Podatki, które wysoko już podnieśli Prusacy, my jeszcze pomnożyliśmy dla Francuzów!

— Jest osobny podatek na lazarety, są szpitale na 6000 łóżek dla rannych i chorych!

— Opływają we wszystko u nas ci Francuzi!

— Mają uciechy i zabawy!

— Jest dla nich nawet francuski teatr i balet!

[1]) Spieszono się z oszancowaniem Pragi, Sierocka, Modlina, oraz brzegów Wisły pod Wyszogrodem, Płockiem, Dobrzyniem, Bobrownikami, Tommem.

[2]) Most ten miał 800 łokci długości a 12 szerokości. — Szczegóły powyższe u Morawskiego VI, 67.

Tak rzeczy stały, a trzeźwy Napoleon zadrżał może, jeśli pośród niezwykłych objawów zachwytu i uwielbienia ogółu Polaków dla męża, taka myśl przebiegła mu przez głowę:

— Co ja rzeczywiście robiłbym teraz tu, z wojskiem na ubogiej ziemi, o kilka set mil od mej ojczyzny, w zimowej porze, po takich wprawdzie krwawych, ale bardzo świetnych zwycięstwach ostatnich, otoczony nieubłaganymi wrogami? Co ja bym robił, gdyby nie ci Polacy, którzy tak szlachetnie, otwarcie i szczerze oddają mi się i poświęcają .... O, powinienem przywrócić niepodległość Polski!

Bo ta Warszawa była dla Francuzów jakoby twierdzą, obozem bezpiecznym, składem zapasów wojennych, arsenałem i warsztatem sprzętów wojennych, błogim przytułkiem dla chorych i rannych.

— O, Warszawa jest dla nas zdrojem zasobów! — przyznawali to sami[3]).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[3]) Morawski, VI, 68, 69.

Następny wypadek dnia rozdrażnił Hamiltona niezmiernie. Caradini zaczął nagle narzekać na niezwykłe zmęczenie i zeskoczył z rusztowania. Z długiego i wązkiego pudła, stojącego w kącie mauzoleum wyjął dwa rapiery i zbliżył się do Hamiltona.

— Umiesz pan fechtować? — zapytał.

— Nie!

— O, szkoda! Mam tu rapiery znakomite. Muszę teraz odbyć moje codzienne ćwiczenia!

Mówiąc to, zaczął zdejmować kurtkę. Serce Hamiltona młotem mu biło, gdy spojrzał teraz na ramiona rzeźbiarza. Ale gorzkiego tym razem doznał rozczarowania. Pod płóciennemi bowiem rękawami zobaczył czarny jedwabny trykot, obejmujący ramiona artysty tak, jak, gdyby były nim oblepione.

Ale zaraz potem zapomniał o wszystkiem, zajęty jedynie widokiem, jaki mu się przedstawił. Widział w życiu już dużo fechtujących, lecz czegoś podobnego jak teraz nie widział jeszcze nigdy. Caradini przybrał postawę broniącego się, naśladując każdą drobnostkę tak, jak gdyby stał naprzeciw rzeczywistego przeciwnika. Potem zaczął bawić się bronią — zaczepiał, uchylał się od razów, podpierał się, wymierzał ciosy, skacząc naprzód lub cofając się o krok w tył, i wywijał rapierem tak, że stal migała w promieniach słońca jak srebrzysty wąż, rzucający się na swoją zdobycz.

Ale najwięcej zachwycała Hamiltona w tej chwili twarz Caradiniego. Raz blada, gdy niewidzialny przeciwnik go zaczepiał, to znowu gorącym pokryta rumieńcem, gdy dzielnie odpierał cięcia, była zawsze piękną i wyrażała to, co myślał i co go zajmowało. Tylko usta, silnie zaciśnięte zdradzały pewne okrucieństwo i namiętny wyraz czarnych oczu objawiał całą gwałtowność jego charakteru. Tak, Caradini musiał być gwałtownym i mściwym, namiętnym aż do szaleństwa, a przytem wyrachowanym i przezornym, odważnym, lecz bez rycerskości albo litości dla przeciwnika, chociażby się tenże bronić nie potrafił! Niebezpieczny i bezwzględny nieprzyjaciel i zwycięzca bez sumienia! W tej chwili pokazał się Caradini Hamiltonowi takim, jakim był: krwi żądnym tygrysem, zamienionym wychowaniem i formami towarzyskiemi w wytwornego, salonwego człowieka.

Zanim Hamilton zdołał nieco ochłonąć z doznanego wzruszenia, skończył Caradini swoje ćwiczenia, odłożył rapier, i zupełnie spokojny i uśmiechnięty, zwinął zręcznie papierosa.

— Jesteś pan mistrzem w sztuce fechtowania, — rzekł Hamilton z niekłamanym podziwem.

—Wszyscy Włosi umieją to doskonale, — odpowiedział Caradini. — Wy Anglicy potraficie przeciwnika przy boksowaniu pięścią może powalić na ziemię, ale my Włosi zmywamy krwią wszelką obrazę. My wolimy pięść niż stal!

Mówiąc to, przesunął ręką po czole, Hamiltonowi zaś zdawało się, że ruchem tym chce zetrzeć wspomnienie otrzymanego uderzenia. Równocześnie dotknął Caradini nogą leżący na ziemi rapier i silnem kopnięciem odrzucił go aż w kąt. Hamilton zauważył teraz również, że rapier był znakomicie wyostrzonym i że ani ostrze jego ani koniec nie był zabezpieczonym, ani guzikiem gumowym, ani jakąkolwiek bądź okładką. W pudle, z którego Caradini wyjął broń, musiało się znajdować jeszcze kilka innych rapierów — ten jednak, którym się przed chwilą ćwiczył, był okropną, śmiertelną bronią.

Odkrycie to przeraziło Hamiltona niezmiernie. Zdenerwowanie jego zwiększyło się znowu tak, że o mało nie stracił panowanie nad sobą i nie zdradził się z wszystkiem. Był on przyzwyczajony do stołu sekcyjnegi, ale ta gra z śmiertelną bronią, ta doskonała zręczność połączona z wyrachowanym zamiarem zabicia człowieka, była mu jednak zupełnie obcą i wzruszyła go do głębi serca. Jeżeli Cara-

„Wszędzie są Polacy".

Było to w roku 1831.

Już dużo weszło Moskali do kraju naszego, ażeby stłumić powstanie, które się w listopadzie zaczęło.

Lecz chociaż oddziały kozackie uwijały się licznie po drogach i wsiach, jakoś trwoga serc polskich nie przejmowała.

We wsi Biała nad rzeką Białką, niedaleko Częstochowy, zjawili się kozacy dnia 8 lutego.

Jadą szybko i bańczucznie, od ich broni blask bije, śnieg z pod kopyt końskich rozpryskuje się.

Mają oni dużo kul w zapasie, ażeby nas wystrzelać. Mają broń dobrze wyostrzoną, ażeby nas wymordować, wszak po to jadą, aby powstanie zgnębić, aby Polaków powiesić, w Sybir wysłać, na szubienicach zamęczyć.

We wsi cicho.

Chaty śniegiem pokryte, jak w zawojach mniszki. Drzewa bezlistne i smutne.

Wieś długa, pusta, ani żywego ducha w niej nie widać.

A kozacy jadą szukać za powstańcami.

Kogo, by tu spytać, kogo, by prosić, żeby wskazał, gdzie buntownicy.

W tem przed jedną chatą ujrzeli młodą dziewczynę.

Zapatrzyła się gdzieś daleko i nie widzi strasznych kozaków.

— Hej! woła stary kozak.

Dziewczyna obróciła się, trochę zbladła, lecz stała spokojnie.

— Hej! gadaj zaraz — są tu Polacy?

— A są.

Kozak rzucił się na te słowa.

— Gdzie są? gadaj, gadaj zaraz, bo kulą w łeb, jak nie powiesz gdzie są!

Ale Kasia Ostrowska najspokojniej na to rzeknie:

— Czemużbym nie miała powiedzieć — wszędzie są Polacy.

— Jakto wszędzie? co mówisz?

Jeden kozak nachyla się jeszcze bliżej, aby pierwszy od innych usłyszał, gdzie są Polacy.

A Katarzyna z uśmiechem:

— Wszędzie są Polacy, bo to polska ziemia, a więc co krok, to Polak, tu innych ludzi nie ma, a Polaków dużo i to bardzo dużo.

— Milcz! — wrzaśnie kozak i chce chwycić dziewczynę za ramię, nie żartuj, ale mów prawdę, gdzie widziałaś Polaków takich uzbrojonych, takich co się chcą bić.

Katarzyna jeszcze śmielej.

— Wszędzie są Polacy uzbrojeni i wszyscy się chcą bić z takimi, jak wy, bo my u siebie w Ojczyźnie, a wy tu wleźli jak...

— Jak śmiesz mówić takie rzeczy? Jak śmiesz tak zuchwale się stawiać? siniejąc z gniewu woła kozak i rzuca się z nahajem na dziewczynę, ale ta w skok do sieni i wraca z kosą w ręku...

Kto wie, coby się było stało i jakby taki kozaczysko wyszedł z tej walki z dzielną Kasią, lecz huknął jakiś strzał i kozacy poszli w nogi, aż zadudniło...

Jadwiga z Ł. S.

(„Niewiasta polska.")

Złote listki.

Bojaźń śmieszności narobiła wiele złego. Niejeden zamiar polityczny zniweczono uwagą, że Europa będzie się śmiała z tego.

* *

Przedmioty niedostępne i niebezpieczne wywierają na człowieku wpływ magnetyczny.

---

dini swym dowcipem i świetnym darem wymowy wywarł korzystne na nim wrażenie, to teraz zraził go sobie zupełnie. Hamilton patrzał na niego z takiem uczuciem, z jakiem by się patrzało na atletę, mordującego niewinnego kanarka. Takie zaś okrucieństwo było w jego oczach objawem charakteru złego i podłego, jakiego się ani zapomina, ani wybacza.

I od tej chwili uczul wstręt do tego pięknego, wytwornego Włocha i nie mógł tego uczucia przezwyciężyć.

Opuścił dziś rychlej mauzoleum niż Caradini i wrócił sam do karczmy, a idąc, zaczął nowy plan postępowania układać.

Mając do czynienia z człowiekiem takim jak Caradini, który jak o tem aż nadto był przekonanym, nie był nikim innym jak Henrykiem Poiton, a w dodatku podłym mordercą lub przynajmniej wspólnikiem mordercy, wolno było użyć wszelkich środków, aby dojść do celu. Hamilton był zawsze otwartym i szczerym i nienawidził podstępu, ale w tym razie gotów był na wszystko, byleby się przekonać, czy ramię Caradiniego miało tatuowany znak tajnego związku, czy nie.

Ponieważ jednak prawdopodobnem było, że zabiegi jego okażą się bezskutecznemi, przeto musiał wykonać plan, który bezwarunkowo dałby mu pewność. I tak — gdyby dziś nie miała się zdarzyć jeszcze jaka pomyślna sposobność, to jutro domiesza do wina, jakie Caradini zwykł był pić na drugie śniadanie, jaki proszek usypiający. Jeżeli rzeźbiarz nie jest Henrykiem Poiton, nic mu kilka godzin mocnego snu nie zaszkodzą, jeżeli zaś jest owym niebezpiecznym spiskowcem, w takim razie uświęca powodzenie wszelkie środki!

Gdy wrócił do karczmy, napisał zaraz do jednego z znajomych aptekarzy o przygotowanie i natychmiastowe przysłanie mu kropli podług załączonej recepty, i to pod adresem Franka Middletona. Potem zaniósł sam list na pocztę i pomyślał z pewnem zadowoleniem, że jutro rano będzie już w posiadaniu owych kropli.

Wieczorem napisał do Stelli, że „już wszystko dobrze".

— — — — — — — — — — — — —

Ale podczas kiedy pisał list, mający uspokoić Stellę, nie przeczuwał bynajmniej, że pisane przed dwudziestu czterema godzinami słodkie słowa do niej, czytały w tej chwili inne oczy, dla których wcale przeznaczonemi nie były. Wieczorem dnia tego, w którym uprowadzono Stellę, siedział Macropulo w swojem nowem mieszkaniu i żywo rozmawiał z „Aniołem".

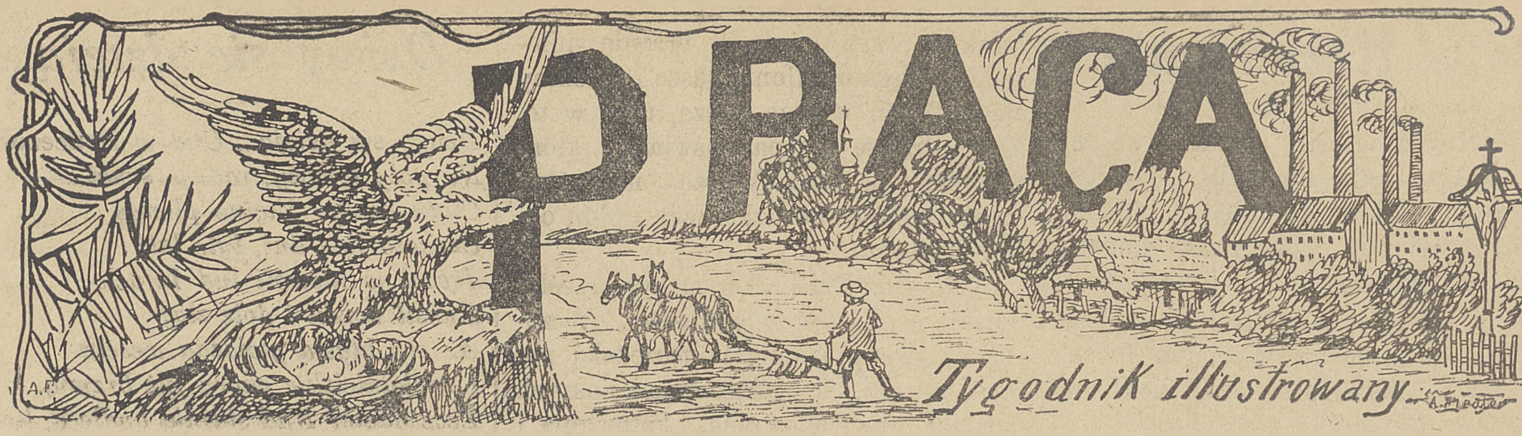
— Więc ona nic nie chce mówić? — pytał Grek. — Dziwna rzecz, Pedro przecież tak jest uważającym, a jednak stracił z oczu owego doktora Hamiltona, i to w Scotland-Yard. Widocznie układa ten człowiek nowe plany przeciw nam i musimy się koniecznie dowiedzieć, gdzie on się podział.

— Tak, ale nie od niej. Tego mi ona nie powie, — szepnęła kobieta, a czarne jej oczy błysnęły nienawiścią. — Próbowałam wszystkiego, aby ją zmusić do mówienia, lecz daremnie! Biłam ją, aż krzyczała, przyłożyłam jej sztylet do piersi, ale pomimo wszystkiego słowa z niej dobyć nie można.

— Bądź tylko ostrożną, Anielo, — przestrzegał Macropulo, — tej dziewczyny zabijać nie możemy. Krzyk oburzenia zabrzmiałby po całej Europie...

— Ej cóż tam, to córka Grecyi!

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Pokój wierzącym, że zwycięży dobro! Pokój kochającym, co Bóg kochać przykazał! Pokój domom naszym, rodzinom naszym! Pokój biednej naszej Ojczyźnie! Oto dziś pamiątka Narodzenia Bożego. Lud wierny tłoczy się do świątyni i wielbi Boga na mszy pasterskiej wśród nocnej ciszy. Z niebios płynie łaska, pociesza serca, koi rany, zabliźnia boleści, Królestwo Boże schodzi coraz bliżej na ziemię. A tam wysoko rozbrzmiewa modlitwa anielska:

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

A więc pokój nam i wesele serca, pokój i pozdrowienie Szanownym czytelnikom, pozdrowienie kochanym naszym więźniom-redaktorom, przyjaciołom i zwolennikom oraz współpracownikom „Pracy" w dniu urodzin Zbawiciela, w dniu święta pokoju, miłości i zgody!

W dniu tym, Czytelnicy, i my stajemy przed Wami ze staropolskim opłatkiem w dłoni i życzeniem gorącem, aby szlachetne uczucia, napełniające Wasze serca, wznosiły je jak najdłużej i jak najwyżej nad poziomy, aby gorycze i smutki, o których dziś zapominacie chwilowo, nigdy już do serca nie wracały, aby ten węzeł bratniej miłości i zgody, który dziś łączy nas wszystkich, okazał się trwałym prawdziwie i doniosłym w swych skutkach.

Dosiego Roku!

Redakcya.

Boże Narodzenie.

Aniołowie ogłosili światu wesołą nowinę, iż narodzi się Jezus Chrystus, Syn Boga, zamieszka między ludźmi, żeby im wskazać drogę prawdy, nauczyć, jak mają żyć, kochać i cierpieć.

I w ubogiej betlejemskiej stajence przyszło na świat Dzieciątko Jezus, a królowie, mocarze świata, hołd mu złożyli, panem go swym uznając.



I małe Dzieciątko Jezus, zaledwo odrosło od ziemi, już pomagało świętej Swej Matce w zajęciach domowych, polewając kwiaty i warzywa, które ona przy swym domku hodowała i karmiła zbożem ptactwo domowe i leśne. To Boże Dziecię poucza nas, że i my powinniśmy już od wczesnych lat rozbudzać w dzieciach naszych poczucie piękna i dobra. Jezus Chrystus, będąc wyrostkiem, pomagał w pracy ciesielskiej św. Józefowi. I tem daje nam przykład, iż nie powinniśmy pogardzać żadną pracą rękodzielniczą, choćby najuboższą, ani też jej wykonawcami. Gdy Syn Boży doszedł do lat starszych, poszedł w świat pomiędzy ludzi, opowiadał im słowa Boże, nauczał, jak mają żyć w zgodzie i miłości z bliźnimi swymi. I my w ślad Jezusa, idziemy do Was, drodzy czytelnicy i czytelniczki, z bratnią miłością wyciągamy dłonie nasze i dzielimy się z Wami wiedzą naszą, ufni w to, że te drobne ziarna oświaty, które wrzucamy w serca Wasze, nie pójdą na marne, ale się rozkrzewią i plon obfity wydadzą.

Chrystus Pan w końcu był prześladowanym dla sprawiedliwości, dręczony, katowany i śmierć męczeńską ponieść musiał. I tysiące braci naszych cierpią prześladowania, katowania i wielu z nich poniosło śmierć męczeńską na drzewie szubienicy. Ale, jak prawdą jest, że Syn Boży zmartwychpowstał, tak prawdą jest, że i ojczyzna nasza zmartwych powstanie. A teraz, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, życzymy Wam, żebyście te święta szczęśliwie i w dobrem zdrowiu przebyli i wraz z pasterzami w betlejemskiej stajence wesoło zaśpiewali: Chwała bądź Bogu na wysokości, a ludziom pokój na ziemi.''



Dziwy się dzieją...

Dziwy się dzieją... Cud w Betleemie
Na poły trwoży, raduje świat...
Cudu owego Ewine plemię
Czekało tyle dni, tyle lat!
Jęczał w niewoli lud Izraela,
Znosił uciski i dolę złą;
Aż oto błysła gwiazda wesela
I archanielskie chóry już brzmią.
Lecz gdzie? Nad stajnią bydlęcą, lichą,
Snop świateł bije, jak słońce skrzy...
To Bóg, zwycięstwo czyniąc nad pychą,
Ukrył się w szopie i leje łzy,
Bo jako dziecię słabe i małe,
Zjawia się dla nas, nie jako pan;
Pasterze pierwsi dają Mu chwałę.
Poznał w Nim Stwórcę ubogi stan!
Lecz widząc w nędzy biedne pacholę,
Bogacze, władcy zwątpili Weń;
Nie dostrzegają na Jego czole
Bóstwa; nie słyszą niebiańskich pień,
I rzekli w sobie: „Przyjście Mesyasza
Zaświeci złotem, purpurą szat.
W potędze bogactw nadzieja nasza,
I marzeń naszych spełni się kwiat.''
Lecz i tych wielkich wybrańców trzeba,
Więc i tu sprawia Dziecina cud:
Trzech Mędrców, czując pragnienie nieba,
Nie baczą na złej podróży trud,
Ale za gwiazdą idą przewodnią,
Boć ich prowadzi ten święty znak;
Serca im płoną szczęścia pochodnią,
A dusze lotne, jak chyży ptak!...
I miłe Panu składają dary,
I pokłon czynią i miłość ślą;
A Dziecię Jezus za ten akt wiary
Dziś błogosławi ich Rączką Swą.
I tak ubogi, w żłobie złożony,
Biorąc na siebie człowieczy ból,
Podbija kraje, pałace, trony,
I jak niebiański zwycięża Król!...

Stellina.

Wilia w podziemiach.

Cała Polska obchodzi święto wilii wieczorem, gdy pierwsza gwiazdka zabłyśnie na niebie; jedni tylko polscy górnicy mają przywilej obchodzenia wilii rano. Zwyczaj ten istnieje od niepamiętnych czasów, starzy górnicy z ust dziadów o nim słyszeli, o początku tego obchodu nikt nie wie, to tylko pewne, że już za czasów Rzeczypospo-

litej polskiej ten zwyczaj istniał; zapiski wielickich i bocheńskich żup wspominają o nim.

Pan warcabnik bocheński (mówiąc dzisiejszym językiem: inżynier mierniczy) zaprosił mnie na wilię. Wstałem o czwartej rano. Na polu zaspy straszliwe, tam, gdzie była droga, wały śniegu leżą, zawieja chce porwać człowieka, przez śnieżyce i zaspy trzeba się przedzierać do szybu „królewskiego". Przez okna żupnego budynku jarkie światła widać, gromady górników już się tam zeszły, maszynista wstał o północy, w kotle zapalił, maszynę w ruch puścił, od godziny już szała w głąb ziemi schodzi, pracujący lud w ziemię spuszczając. W budynku szybnym rojno, gwarno, wesoło. Żupy nasze nie mają nic wspólnego z niemiecką fabryką, a nawet z szablonową przeciętną europejską kopalnią. Archaiczne tu, chwała Bogu, stosunki. W Wieliczce i Bochni do dziś dnia nie istnieje typ robotnika-proletaryusza, robotnika-nędzarza. Górnik bocheński to mieszczanin, to obywatel, to zamożny niekiedy rolnik. Ważnem jego zajęciem praca w kopalni. Daje ona utrzymanie, daje emeryturę. Ale zajęcie to nie jest jedynem ani głównem. Każdy z górników ma kawałek pola, każdy ma, jeśli nie mieszczański dom, to przedmiejską chałupinę. Kruszak rano sól rąbie, wozak sól zwozi, po południu wychodzi na świat, aby siać, orać i ziemię uprawić. Kto był w fabryce pruskiej, widział zgromadzoną czerń włoskich nędzarzy, kto poznał ciężką, jakby przesyconą piorunową elektrycznością atmosferę fabryczną, na którą składa się wyzysk spekulanta z jednej — niezadowolenie zaś i bunt z drugiej strony, ten ze zdziwieniem patrzeć będzie na pogodne, dobroduszne, spokojne naszych gwarectw twarze.

Szyb *„Sutoris"*, którym w ziemię pojedziemy, jest zaprawdę jednym z najstarszych zabytków w Polsce. Maryackiego kościoła na świecie nie było, a szyb „szewca" istniał. Pergaminy miasta Bochni mówią, że powstał on w XIII wieku, zapiski kronikarzy polskich przeczą temu, podają daleko wcześniejszą datę. Wszak Bolesław Chrobry, założywszy opactwo w Tyńcu, nadaje zakonnikom prawo pobierania soli. Przecie w Tyńcu pod Krakowem nie może być mowy o innej, np. morskiej soli, jeno o wielickiej lub



Przed jutrzni jasnością urodzon z żywota!
Niech wzejdzie nad nami gwiazda Twoja złota!
Ta gwiazda, co mędrce przywiodła z za morza
I polnym owczarkom świeciła w bezdroża...
Bo trafić do Ciebie nie możem my sami!

A jutrznia daleko — gdzieś w gromach nad nami....
...I brakło nam chleba dla duszy i ciała
A tylko ta żałość serdeczna została,
Co głowy nam chyli, jak kłosy pożęte,
Pod Stopki Twoje, o Dzieciątko święte!

A. Bandrowska.

bocheńskiej. Jak za wielkiego, chrobrego Piasta ten szyb stał, tak stoi do dziś dnia; zwozi ludzi, wywozi sól; — oto lina syczy, jedna szala wybiega na świat, druga szala górników na wilię zwozi.

Przyszedł ksiądz kanonik, Boga pochwalił, kościelny niesie złoty kielich i błyszczące szaty mszalne, *starejsi* wiodą gości do izby żupnej, gdzie okrywają nas w długie, białe płaszcze, aby ubrania od błota i wilgoci ochronić. Przyszla wreszcie na nas kolej; wstąpiliśmy na szalę. Newroza i dreszcz przechodzi przez krew, zadrżała szala, ruszyła się, jakby grunt pod nogami się usunął — jedziemy w ziemię...

Nie mogę powiedzieć, żeby jazda ta w bezdeń należała do zabaw przyjemnych. Wyprawa szybu w oczach się miga, szala z szybkością pociągu leci w przepaść. Wody zaskórne błyszczą w świetle kagańców, co chwilę zaczerni się jama jakaś, to pustka lub stary opuszczony korytarz. I nie ustaje wrażenie jakby się podłoga z pod stóp osuwała. Kto był podczas burzy morskiej na okręcie, ten zna to wahanie się statku: raz pokład niesie człowieka do góry, coraz bardziej w górę, aby znagla spaść wtedy, gdy statek olbrzymi bałwan wody przepłynął. Tu w szybie solnym ciągle i ciągle trwa owo spadanie na dół. Ciemność, brudne dymy świateł, szala ślizgająca się po drewnianych szynach „ślizami" zwanych, szeleszczenie zaskórnych ciekących wód stanowią resztę strun tego denerwującego akordu.

Na licach „gości" widać zaniepokojenie i newrozę, górnicy jeno są w swym żywiole, weseli, nawet rubaszni. Oto pan warcabnik jest przy świętej wilii w wybornym humorze; aby do reszty zgnębić i tak już przerażonych gości zaczyna opowiadać niestworzone rzeczy o katastrofach, o leceniu w przepaść, o zgonach i rozbiciach się, gdy zaś własnego dowcipu już mu zabrakło przypomniał sobie facecye zasłyszane od innych.

Pytam się go:

— Czy taka lina czasem się urwie?

— No nie tak często, jakby pan myślał. Jeśli zmurszała i stara...

— Czy my jedziemy na nowej linie?

— Ma ośm lat.

— A jak długo używa się jednej liny?

— Najwyżej cztery i pół roku.

— Co?! Hę?!

— Uspokójcie się panowie. Ta lina może się nie zerwie. Wczoraj trzeszczała okropnie i rwała się, to też skoro wyjedziemy, odmieni się ją na nową.

— Pana się żarty trzymają.

— Wcale nie żartuję. Umyślnie na starej, potarganej linie jadę.

— Jakto?! To nie żart?!

— Wcale nie. Wiesz pan przecie o tem, że gwarectwo nasze jest w wiecznym zatargu z towarzystwem ubezpieczeń na życie.

— No to cóż z tego?



— Otóż ja wczoraj zabezpieczyłem się na czterdzieści tysięcy. Pojmujesz pan tedy, że jeśliby ta lina... niby... prask...

— To pan zginiesz!!!

— Ale ich ze złości djabli wezmą! Będą zaraz musieli zapłacić.

. . . .

Jedziemy i jedziemy, zwolniła wreszcie szala, elektryczne dzwonki terczą, skończyła się wreszcie ta okropna droga, uszykowała się drużyna w pochód, idzie po drewnianym chodniku „gęsiego", oświecają drogę „świeczni", huśtają się na żelaznych łańcuchach czarne górnicze kagańce. Dziwna droga. To prowadzi zbudowanym z drzew korytarzem, to w kamiennej caliźnie kuta, to iły podmurowane cegłą, podparte słupami. W caliźnie kamiennego iłu zaświeca się czasem jakby brylant rosy, to sól tak się świeci. Idziemy w dół schodami; to znowu wznosimy się w górę, przechodzimy „działa", na których sól rąbią; to znowu pustka, gdzie przed wiekami sól kopano. Gdyby w jednę linię wyciągnąć te chodniki, wynosiłyby dziesiątki, może setki kilometrów. Są tu miejsca takie, na których od kilkuset lat ludzka noga nie postała, to „stare góry".

Kopano tam za Piastów i Jagiellonów, wyczerpano sól, zostały olbrzymie pieczary, wyboje i jaskinie. Drogi, które do nich wiodły, opuścił człowiek zaniedbał je, ziemia się opłozi, kamień „siada", ścisła się calizna i wyjście zatamowała. Oświecono kagańcem ciemny, wązki otwór, tak mały, że jeden człowiek wcisnąć się weń może. Nikt tam nigdy nie wchodzi, wejście tam górnikowi nawet karą zagrożone. Tam są stare góry, tam są przepaście, tam piastowskie kopalnie, które dziś pustką stoją. Zaprowadził nas pan warcabnik do starego, przedwiecznego szybu: niegdyś łączył on żupę ze światem, tędy wywożono sól, za dawnych czasów porzucili go ludzie, zabili jego otwór drzewem, czas zrobił resztę, zdusił szyb, skręcił cembrzyny; oto przed naszemi oczami ogromna plątanina pokręconych, skamieniałych pni dębowych, w miejscu, gdzie niegdyś za Rzeczpospolitej był szyb.

Zbliżamy się nareszcie do miejsca, które wielkiem światłem płonie, to kaplica św. Kunegundy. Kościół w podziemiach, kościół 200 metrów pod powierzchnią ziemi!! Sklepienie jego z calizny skalnej, kagańce górników iskrzą się w dyamentach soli, ołtarz cały ze soli, posągi świętych z kryształu solnego. Płoną tu dziesiątki świec, pali się sto kagańców, dziwne zaprawdę wrażenie. Tak musiały wyglądać katakumby grobowe, w których się pierwsi chrześcianie modlili. A nad nami rozjarzył się ogromny kryształowy kandelabr ze soli, ognie świec migocą się, padł promień na pryzmat minerału i światło w tęczowe barwy rozłożył...

. . . .

Wyszedł ksiądz kanonik ze Mszą świętą, zagrała wyborna górnicza kapela. Dziś jedynie kolędy grają. Z piszczałek, fletów, trąb i miedzianych blach potężny strumień harmonii leci przez wyboje, jaskinie, przepaście i działa, strumieniem harmonii huczą prastare piastowskie i jagiellońskie góry; czarne to straszliwe podziemie rozśpiewało się serdeczną melodyą polskiego ludu:

Jezu malusienki
Płaczesz, zimno, nie dała Ci
Matula sukienki,
Bo uboga była.

W chmurach nad ziemią letnim rankiem skowronek pod szafirowem sklepieniem niebios Bogu chwałę śpiewa; jako to ptactwo nad ziemią, tak górnik pod ziemią w przepaściach skalnych wita święte Dziecię.

Ranek to zaledwie, późne zimowe słonko teraz tam na świecie wschodzi, a przecież gwarectwo prastarym, ojców zwyczajem już narodziny Zbawiciela świata powitało. I jest to spracowane górnictwo jako oni biedni pastuszkowie, którzy pierwsi powitali syna Maryi. W czarnych podziemiach święto już zaczęte, cały dzień minie, nim reszta Polski pójdzie w ślady gwarectwa polskiego, aby uczcić jutrznianą noc betlejemską.

Po wigilijnej mszy jęli stygarzy i żupnicy oprowadzać po kopalni gości. Rozjaśniły się twarze, strach minął, pan warcabnik teraz nam dopiero powiedział, że lina, na której przyjechaliśmy i którą wyjedziemy, jest z żelaza, jest nowa i wczoraj założona. Po długiej, długiej włóczędze, po poprzeczniach, „piecach" i komorach zaprowadzono nas na „działo", aby nam pokazać jak się sól z ziemi dobywa.

Na caliźnie ściennej widać głębokie rowy, cała olbrzymia ściana soli otoczona jest głęboką bruzdą wyrąbaną przez kruszaka, straszliwy bałwan soli na wielkość przeciętnej ściany w poznańskiej kamienicy. Przystąpił kruszak do bałwana, drągiem żelaznym wciąż w nim wierci, wkopał się kilofem w głąb tyłu ściany, silny ładunek prochu strzelniczego bierze, nabój w głąb calizny zakłada, rozwinął długi palny sznur, koniec jego wetknął w proch, teraz miałką solą i piaskiem otwór za-



W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu
Jezusowi Chrystusowi,
Dziś nam narodzonemu!
Pastuszkowie przybywajcie!
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako Panu naszemu.

My zaś sami z piosneczkami
Za wami pospieszymy,
A tak tego maleńkiego
Niech wszyscy zobaczymy.
Jak ubogo narodzony
Płacze w stajni położony,
Więc go dziś ucieszymy!

Witaj Panie! Cóż się stanie?
Że rozkosze niebieskie
Opuściłeś, a zstąpiłeś
Na te nizkości ziemskie?
„Miłość moja to sprawiła,
By człowieka wywyższyła
Pod nieba empirejskie".

Naprzód tedy, niechaj wszędy
Zabrzmi świat w wesołości,
Że posłany nam jest dany
Emanuel w nizkości;
Jego tedy przywitajmy,
Z Aniołami zaśpiewajmy:
Chwała na wysokości!

sypuje. Zabił okruchami soli otwór, do końca palnego sznura kaganek przyłożył, zajarzył się knot, zasyczał proch..

Rozbiegliśmy się na wszystkie strony, każdy gdzie może się kryje, bo tam...

Tam słychać jakby cichy syk żmii, jakby szelest poniku źródlanej wody; to knot się pali, ogień śle do prochu... Kilka minut trwa cisza, każdy z nas wstrzymał dech...

. . . .

Zdaje się, świat się zapalił. Huk straszliwy, zadygotały ściany solne, zadrżały calizny skalne wybuchem okropnym; dalekie poprzecznie, pustki i komory ślą setne, tysiączne echa, odbił się głos gdzieś w odległych przepaściach, kilkanaście sekund minęło, nim głuchym rumorem do uszu naszych wrócił...

Pobiegliśmy na działo. Sciana, która ogromnym bałwanem nad nami wisiała, na ziemi teraz leży, świecą się białe zielonawe kruchy soli, które pójdą w daleki świat, pójdą do Krakowa, do Wiednia, popłyną Wisłą do Warszawy...

. . . .

Gdyśmy opuścili wreszcie świat podziemnych cudów, noc zapadała jasna, na niebie zabłysła pierwsza gwiazdka, ta, co świeciła niegdyś nad stajenką betleemską.

Ludwik Stasiak.



Z opłatkiem.

Z opłatkiem stajem na waszym progu
I podajemy w uścisk wam dłonie,
— Chwała niech będzie na niebie Bogu
A wam niech radość rozjaśni skronie,
Niech zniknie smutku — niedoli cień!

Z opłatkiem do was wszystkich spieszymy,
Boć to obyczaj stary — serdeczny;
Sto życzeń z serca wam przynosimy,
Oby je spełnił Władca nasz wieczny,
Oby Go doszedł prośb naszych dźwięk
I umilkł w kraju niedoli jęk!

Z opłatkiem, bracia, ot jak przed rokiem,
Stajem tu znowu — czyście, nam radzi?
Toż my jak swoi w progu tej chaty,
Serca głos zawsze nas tu prowadzi...
Bo za mozoły i wszelki trud
Miłością bratnią płaci nam lud.



Z opłatkiem dzisiaj w dniu uroczystym,
Gdy w żłóbku leży Boża dziecina,
Gdy stół okryty obrusem czystym
A snop w kąciku kłosy pochyla,
My tu spieszymy, boć w taki czas
Miło, jak braci, powitać was...

Przecież rodziną jesteśmy wszyscy,
Przecież my dzieci nam wspólnej Matki...
Wielcy czy mali, dalsi czy blizcy,
Z miasta, czy ze wsi — z pałacu — z chatki...
Podajmy w uścisk serdeczny dłoń,
I ufność niech nam rozjaśni skroń!

Z opłatkiem idziem, a przy życzeniach
O smutnej doli kraju myślimy...
Sto lat, już przeszło w więzach, cierpieniach...
Sto lat srom — krzywdę srogą cierpimy...
O Jezu w żłóbku błagamy Cię
Nad Polską biedną ulituj się!

L. P.



Powrót wygnańca - powstańca do Ojczyzny w wieczòr wigilijny.

Wiatr ostry rzucał tumanami śniegu, robiąc przy drogach i płotach ogromne zaspy. Pola, łąki i rowy były jednym całunem śniegu okryte, nie widać ani drogi ani żadnej ścieżki, stopą ludzką wydeptanej, tylko gdzie niegdzie sterczące konary wierzby były oznaką, że w tem miejscu droga być musi.

Niebo okryte było grubą warstwą szarych chmur, przez które żadna gwiazdka przebić się nie mogła. Noc zrobiła się wczesna i tylko śnieg olśniewającą swą białością rozjaśnił trochę ciemność wieczoru.

Wśród tej ogromnej białej pustyni, szedł jakiś człowiek powolnym krokiem, to przystawał co chwila, i rozglądał się, czy nie zbłądził, to znów szukając laską ubitego gościńca, posuwal się zwolna ku wsi, która w niedalekiej odległości widniała.

Podróżny musiał być podeszlego wieku, bo postać jego była pochylona, a chód ciężki, powolny. Im bliżej było do wsi, tem częściej przystawał, odpoczywał, rozglądał się, kaszlał i szedł dalej. Już światełka w oknach migotać zaczęły jak gwiazdki w różnych miejscach, ale nie można było rozróżnić zarysów domów, tak wszystko było jednostajnie białe.

Podróżny nareszcie dowlókł się do wioski, stanął na środku gościńca i zaczął się rozglądać, nie wiedząc, w którą iść stronę. Na szczęście wyszedł z poblizkiej chaty, jakiś mały chłopak otulony w duży kożuch ojca, wyszedł na gościniec i skierował się do środka wioski. Podróżny zatrzymał go pytając, jak się ta wieś nazywa? A to nie widzicie, że na drogowskazie jest Poręba zielona? — zawołał śmiało chłopak.

— Moje dziecko, wśród tak ciemnej nocy drogowskazu nie widzę, nie tylko napisu, ale powiedz mi, gdzie tu jest zagroda Tomasza Sławika?

— A chaju, kędy się w dwóch oknach świeci, bogacz, to w każdej izbie ma aż po dwa okna.

— Proszę cię zaprowadź mnie tam, bo nie wiem, którędy dojść tam można.

— E nie mam czasu, bo idę po naftę, dzisiaj wigilia, matusia już wieczerzę nagotowała, ino nam nafty brakło i mnie po nią wygnali na taką psotę.

— Dam ci 10 fenygów a zaprowadź mnie, bo sam nie trafię.

— A no to pójdę z wami, ale kieby mi choć Bartek bez ten czas jabłek nie zjadł — i małe chłopie poszło przodem, torując sobą drogę biednemu starcowi.

— A skądże to idziecie, że niewiecie, gdzie chałupa Sławika? zapytał

chłopiec. — Z daleka, z bardzo daleka — odpowiedział podróżny.

— Pewnie z Myślenic, a może aż od Krakowa?

— Moje dziecko, ani ci tego powiedzieć nie mogę, zkąd idę, bobyś mnie pewno nie zrozumiał.

— No to chodźcie prędzej, bo mi Bartek opłatki obskubie, przeleźwa tu bez płot, to se skrócimy drogę — i skulony chłopak gramolił się przez płot, za nim powoli przeszedł podróżny.

— No, już jesteśmy u Sławika, dajcie te 10 fenygów — a otrzymawszy takowe, brnął napowrót przez ogród wzbogacony chłopiec, snując plany, co kupić za te pieniądze, bo tak wielkiej kwoty nigdy jeszcze nie miał.

Podróżny otrzepał śnieg z odzieży i wszedł do sieni, a potem do ciepłej, jasną lampą oświeconej izby.

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł drżącym głosem. — Na wieki wieków — odpowiedzieli wszyscy.

Tomasz Sławik, jako gospodarz, zbliżył się do przychodnia i stanął, jak wryty, krzyknąwszy:

— Wszelki duch chwali Pana Boga — a odwracając się do siedzącej przy piecu staruszki, zawołał: — a dy to ojciec nieboszczyk przyszedł do nas.

Pochylona wiekiem staruszka, zbliżyła się do przybyłego, który rzeczywiście więcej był podobny do widma, niż do żyjącego człowieka, tak bardzo był wychudły i blady, i po chwili zawołała:

— O la Boga, a dy to mój Józuś, od malenkości zawsze był podany na ojca, nawet taką brodawkę ma na czole.

Podróżny ukląkł przed staruszką, objął ją za kolana i zapłakał.

Staruszka płacząc głaskała go po głowie, mówiąc wzruszona: — Józuś moje dziecko, myśleliśmy, że już nie żyjesz, gdzieżeś był? — Tomasz pomógł bratu powstać i zaczął witać serdecznie: — Józuś, a to już ze 40 lat, jak nam się kajś podziałeś, i czemu nic o sobie wiedzieć nam nie dałeś?

— Pisałem, nieraz pisałem, aleście pewnie listów nie otrzymali, kiedy się tak dziwicie, że jeszcze żyję — odpowiedział Józef.

— A siadajże i opowiedz nam, gdzie byłeś.

— Dajcież mu wódki się napić, zmarznięty, jak sąpel, biadała matka. — Tomasz podał mu wódki i strucli na zakąskę, mówiąc: — pewnoś i głodny?

— Od dwóch dni nic w ustach nie miałem, ostatnie 10 fenygów chowałem, żeby dać jakiemu furmanowi, żeby mnie trochę podwiózł, ale się nikt nie trafił, więc dałem jakiemuś chłopakowi, który mnie do was przyprowadził.

Młoda gosposia, córka Tomasza, która mieszkała w drugiej połowie domu, dziś pomagała matce gotować wieczerzę.

Stancya była obszerna, wybielona, podłoga wymyta, w czterech rogach stały snopki z pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa, na środku izby postawili stół, zasłany cienką warstwą siana, przykryty był bieluchną płachtą; na środku stołu leżała duża strucla, która przedstawiała dzieciątko Jezus w żłóbku, pod stołem nasłano słomy tak, jak w betleemskiej stajence.

Żona Tomasza wraz z córką zastawiały miski na stole, był żur ze śledziem, kapusta z grzybami, kasza jaglana ze śliwkami, kluski z makiem i gruszki i jabłka suszone razem gotowane a miodem zaprawione.

Zasiedli wszyscy na ławach i stołkach na około stołu, a staruszka była kontenta, że ma parę z Józusiem, bo Tomek z żoną, Marysia z mężem, dzieci dwoje, a na końcu parobek z dziewką, bo to z dawnych czasów uważają zawsze, żeby do wieczerzy było ludzi do pary, wtenczas cały rok wszyscy są zdrowi i wszystko się darzy. Kiedy podróżny posilił się i ogrzał, zaczął opowiadać swoje przygody, a najprzód zapytał matki, czy pamięta, kiedy wyszedł z domu.

— Pamiętam dobrze — odpowiedziała matka — było to na wiosnę, zdaje się w kwietniu w 1863 roku, kiedy to tam gdzieś daleko Polacy bili się z Moskalami, myślałam,ześ i Ty do nich przystał, i że cię tam gdzieś zabili.

— Tak jest matko, przystałem do nich, bo gdym raz pojechał do Krakowa z deskami, jacyś panowie przechodząc koło mnie powiedzieli: ten zuch dałby radę niejednemu Moskalowi.

— Czemu by nie? — odpowiedziałem — żebym ich tylko miał. Mieć ich możesz, jeżeli tylko zechcesz. Wzięli mnie do jakiejś kawiarni, i tam umówiliśmy się, że pójdę z nimi bić Moskali. Jak przyjechałem do domu zacząłem namawiać we wsi parobków, żeby szli ze mną na Moskala, ale tylko jeden Wojtek od kowala dał się namówić; tobie Tomku nic nie mówiłem, boś był jeszcze za młody i chorowałeś wtenczas na zimę.

Zabraliśmy się jednej nocy i cichaczem wyszli z domu, w Krakowie odszukałem tych panów i razem przekradliśmy się przez granicę. Tam przez parę dni błąkaliśmy się po lasach, bo

Bóg się rodzi.





tylko nocami posuwaliśmy się śmiało dalej, aż doszliśmy do obozu pana Szydłowskiego, który miał dużo kosynierów, dali i nam zaraz kosy i poszliśmy uczyć się niemi robić, ścinając gałązki na krzakach.

Niedługo czekaliśmy na robotę, bo zaraz za parę dni zdarzyła się bitka, a głowy moskiewskie leciały, jak makówki pod naszemi kosami.

Hej mocny Boże! mam ja też tych Moskali dosyć na sumieniu, bom strasznie był do nich zapalczywy i nasiekłem tego plugastwa pewnie ze trzydziestu.

Byłem i ja kilka razy ranny, alem się nawet wygoił i siekł dalej, wreszcie mnie przyszło nakoniec. W jednej bitwie zacząłem sobie z nimi baraszkować, a nie spostrzegłem, że kilku ich zaszło mi z tyłu i pochwycili mnie za ręce. Wszystkie ognie na mnie uderzyły, takem się zgniewał, jak się szarpnąłem, tak się im wydarłem, bom był mocny, jak niedźwiedź, ale mnie jeden tak trzepnął pałaszem przez rękę, że mi kosa wypadła na ziemię, i to mnie zgubiło. Pochwycili mnie i związali, jak barana; siedziałem w więzieniu w Zamościu przez kilka miesięcy, a potem popędzili nas na Sybir.

Tam w kopalniach do ciężkich robót przeznaczony byłem, tam się ciągle buntowałem i innych do buntu namawiałem, ale czem mnie więcej bili, tem ja im więcej dokuczałem, nie mogli ze mną sobie rady dać i wzięli mnie do wojska. Tem mi już najbardziej dokuczyli, że musiałem służyć pomiędzy takimi Mongolami i Tatarami szkaradnymi, że człowiek ze wstrętem patrzał na nich, a tu trzeba było nieraz spać na jednej pryczy, jeść z jednego kotła.

Popędzili nas potem na Kaukaz i tam Czerkiesów bić kazali. Mnie żal było ich zabijać, a że strzelałem bardzo dobrze, więc każdemu Czerkiesowi czapkę z głowy zrzuciłem, ale nie mam żadnego na swojem sumieniu.

Raz wysłali nas kilku na przeszpiegi, patrzymy, a tu w krzakach Czerkiesi obozują, kazali nam pocichutku nawracać, i dać znać do obozu; ja zawracając tak kichnąłem głośno, że Czerkiesi w jednej chwili, jakby się w ziemię zapadli; kara mnie za to nie minęła, alem się w duchu cieszył, żem Czerkiesów ocalił od niechybnej śmierci.

Raz stałem na warcie pod krzakami i zobaczyłem zdaleka, że Czerkiesi jadą, wziąłem chustkę od nosa, a na szczęście była wówczas czysta, wsadziłem na bagnet i zacząłem wywijać karabinem, zobaczyli mnie, bo stanęli, zacząłem machać rękami, pokazując na nasz obóz, zrozumieli mnie, bo zawrócili i uciekli.

Raz wśród ciemnej nocy patrolowałem w bliskości naszego obozu, patrzę przed siebie na gościniec, coś mi majaczy, podchodzę bliżej, widzę jeźdźców. Stój, wołam przyciszonym głosem, kto wy? Czerkiesi odpowiedzieli, a ty kto? Polak — odpowiedziałem — ten co wam w czasie bitwy czapki z głowy zrzuca.

— Paliacy to czesny naród, może się wódki napijesz?

— Uchodźcie czemprędzej, żeby kto z obozu nie usłyszał, bo zgubilibyście mnie i siebie. — Uścisnęli mnie za ręce i pomknęli nazad, bo konie ich miały nogi szmatami pookręcane.

Przy wojsku służyłem dwadzieścia kilka lat, to jest cały ten czas, co miałem być na Syberyi, ale w kopalniach choć cięższa praca, byłbym pomiędzy swoimi, a tam między takiem bydłem być musiałem; a najgorzej, że jeść nic nie mogłem, bo tu u nas lepiej dają trzodzie,niż tam ludziom. Tam ciągle dają krupy jęczmienia z ziemniakami nie do dalekо, co pan był wysłany na całe życie na Sybir, a pani, jako dobra żona, los jego dzieliła. Mieli kawałek ogrodu przy domku, tom im kopał, zasadzał, plewił, łowił ryby, czasami jakiegoś ptaka upolowałem i tak żyliśmy we troje, choć bardzo skromnie, ale spokojnie, tylko tęsknota za krajem rodzinnym, za wami wszystkimi, żarła mi serce.

Nareszcie mój pan, co był już staruszek, rozchorował się i umarł, a w kilka tygodni potem przyszły listy do pani od jej dzieci, żeby wróciła do kraju. Sprzedaliśmy wszystko, co tylko było można, odprowadziłem panią kawał drogi, a potem piechotą, w drogę się puściłem o żebraczym chlebie. Musiałem często po kilka dni odpoczywać; bo sił brakowało iść dalej.

Tak dowlokłem się do Wilna, i tam w szpitalu przeleżałem kilka tygodni. Napisałem ztamtąd do mojej pani, a ona przysłała mi pieniędzy na drogę.

Moja pani mieszkała u swojej córki, której Moskale cały majątek zabrali, został się jej tylko mały domeczek z ogrodem. Robiłem, co mogłem, żeby im darmo chleba nie jeść, bo go dla siebie czasem biedaczki nie miały; i tam mi znowu kilka lat zeszło, aż wreszcie moją dobrą panią pochowaliśmy, wtenczas podziękowałem młodszej pani za przytułek i puściłem się w drogę,żeby módz choć kości złożyć w swojej ukochanej Ojczyźnie, bo choć i Litwa do Polski należy, ale zapragnąłem was jeszcze zobaczyć.

Z Kowna wyszedłem jeszcze w sierpniu, myślałem, że za ciepła do was dojdę, ale mnie siły opuszczały, żem się po kilka dni ruszyć z miejsca nie mógł.

Na Jasnej Górze, w Częstochowie. nasza święta Królowa Korony Polskiej, Najświętsza Panienka pokrzepiła mnie, żem przecież do was doszedł i wszystkich przy dobrem zdrowiu widzę, więc teraz już mogę umrzeć spokojnie.

— Co też to stryj mówi — zawołała młoda gosposia — jak sobie stryj wypocznie i odżywi trochę, to jeszcze w zapusty stryja ożenimy. Połowa roli i domu do stryja należy, to i niejedna dziewucha na to się złakomi.

— Nie trzeba mi ani domu, ani roli, dajcie mi tylko kąt ciepły i łyżkę strawy, a to mi wystarczy, bo tego ani pojąć nie możecie, jak bardzo jestem szczęśliwy, żem powrócił do naszej dro-



J. Chełmiński. **Na pasterkę.**

brze nawet wypłukanemi, a co weźmiesz na łyżkę, to robak jakiś, wolałem już suchy chleb, choć ości drapały mnie po gardle, a w środku był zapleśniały, napiłem się potem wody, i tak mi lepiej po nim było, niż po tej wstrętnej gotowanej zupie.

Dokuczali mi wszyscy, żem Polak, ja im też odpłacałem, jak mogłem, za to często odbierałem chłosty, ze musiałem często w szpitalu po kilka dni leżeć. Ale i mnie w końcu brakło siły, zaniemogłem na dobre i leżałem parę miesięcy w szpitalu i myślałem, że tam już trzeba zakończyć życie, ale Najświętsza Panienka, do której zawsze się modliłem, zesłała mi pomoc. Do szpitala nastał nowy doktór Polak; jak się dowiedział, że ja już dwadzieścia kilka lat bez odpoczynku służę przy wojsku, aż się za głowę chwycił. On dopiero napisał mi świadectwo, że już niezdolny jestem do żadnej roboty, a potem napisał prośbę, żeby mnie już uwolnili, że karę odsłużyłem; trzymał mnie tak długo w szpitalu, aż przyszło dla mnie uwolnienie.

Z polecenia tego dobrego pana, dostałem się do jakichś państwa tam nie

giej Ojczyzny, i że kiedyś szary skowroneczek nad moją mogiłą polską piosnkę zanuci.

W. Ciechomska.

Przy żłobku.

Dzieciątko Boże twarde ma łoże
Na sianku — między bydlęty...
A tam u góry, aniołów chóry
Wołają: „Święty!... o Święty!...
Gwiazda promienna, wielka, niezmienna,
Wnet królom drogę ukaże...
Lecz do pasterzy, sam Anioł bieży
I do stajenki iść każe.
W gorącej wierze, przyszli pasterze —
Przyszli do nóżek Dzieciny:
Niechże się cieszą, zanim pośpieszą
Króle z dalekiej krainy...
Dadzą Mu złoto... dadzą z ochotą!...
Ale cóż dadzą pasterze ...

Ach! łzę Mu dali!... Pan się użali
I łzy tej perłę zabierze!...
Ta łezka droga, którą uboga
Ludzkość do żłobku przynosi...
Duszy wierzącej pacierz gorący
Może czas lepszy uprosi!...
I w Nowym Roku — może z obłoku
Gwiazdka rozsieje promyki,
Na pałac, chatę — biedne, bogate,
Na sługi i na zwierzchniki.
Może te blaski rozsypią łaski
Na lud, co kocha i wierzy...
Anioł skrzydlaty zstąpi do chaty,
Przemówi, jak do pasterzy!...
A choć nie zdoła ujrzeć anioła
Śmiertelne oko człowieka,
To przecież wszędzie ład Boży będzie,
Aniołów będzie opieka!...
Więc na kolana, dziatwo wybrana!...
Przy żłobku — dusza niech śpiewa,
Tam kolęd głosy lecą w niebiosy,
Messyasza chwała rozbrzmiewa!

. . . .

Dzieciątko Boże twarde ma łoże
Na sianku między bydlęty...
Ale u góry, aniołów chóry
Wołają: „Święty!... o Święty!...

A. F.

O czem to zwierzęta rozmawiały między sobą w noc Bożego Narodzenia.

Z legend ludowych.

Z dawien dawna opowiadają ludzie, że w nocy Bożego Narodzenia dzieją się różne cuda na świecie. I tak w chwili, kiedy Pan Jezus przychodzi na ten padół płaczu, przemienia się woda w wino we wszystkich studniach, rzekach, stawach i sadzawkach; ktoby też w ową godzinę naczerpał wody, użyłby sobie na wineczku, jak nigdy, ale nie słychać, aby jaki człowiek dostąpił tego szczęścia nawet w dawnych czasach. Był wszelako człowiek za dawnych czasów, co o północy z Wilii na Boże Narodzenie podsłuchał rozmowę bydląt, a jak to było, opowiem:

Pewien gospodarz nie wierzył, że wszystkie zwierzęta, jakie tylko są na świecie, w nocy Bożego Narodzenia rozmawiają między sobą mową człowieczą i że nawet wtedy kot z myszą po ludzku sobie pogwarzy. Darmo sąsiedzi wyrzucali mu niedowiarstwo i tłomaczyli, że to Pan Jezus daje taką moc zwierzętom; on jak nie wierzył, tak nie wierzył aż nareszcie postanowił przekonać się o tem dowodnie. Niepostrzeżenie, zaraz po wieczerzy wilijnej pobiegł do stajni, w której stały woły i krowy i położył się pod żłobem. Leżał spokojnie i cicho, by nie zauważyły go gospodyni i dziewka, co przyszły do stajni z wilią dla bydląt; a wiecie przecie, że sporo trzeba na to czasu, zanim bydlęta zjedzą taką wilię, t. j. otręby z resztkami wieczerzy i opłatkami z rutą, a potem zanim się każde z osobna ugłaska i każdemu się powie, żeby się dobrze chowało. Uszła może godzina, jak dziewka i gospodyni wróciły do izby, a gospodarza, jak nie było w domu, tak niema. Z początku gospodyni myślała, że jest przy wiązaniu drzewiny, bo z całej wsi dochodziły jeszcze wołania: „Będzie rodziła, nie ucinaj!“ „Nie będzie rodziła, utnij ją!“; pytała też powracają-



cych od tego wiązania parobka, woźnicę i pasterza, czy gdzie gospodarza nie widzieli. Ale żaden nie widział; domyślali się tylko, że „gospodarz może są u sąsiada i obaj razem wybierają się na pasterkę.“ Tak gospodyni nie trapiła się o nieobecnego gospodarza.

A gospodarz leżał sobie spokojnie w stajni pod żłobem i nadsłuchiwał ciekawie, kiedy bydlęta zaczną mówić, ale długo nie słyszał tej mowy, jeno chrupanie, aż dopiero nadeszła ta szczęśliwa godzina. Wtedy powstały na nogi wszystkie woły i krowy, bo przedtem leżały, a najstarszy wół zaczął mówić: „Witam was moje wołki i krowisie, imieniem Bożego Dzieciątka, które w tej chwili się narodziło; z Jego natchnienia, jako najstarszy między wami, wiem też, co Pan Jezus dla każdego znajomego nam człowieka na ten rok przeznaczył. Ten rok nie będzie zły, ani dobry, będzie sobie taki średniaczek, urodzaju nie będzie wielkiego, ale się nie trapcie, bo paszy dla nas ludziom nie zabraknie“...

Wół mówiłby jeszcze dalej jednym ciągiem, ale ciekawa Winocha, stojąca w kącie, przerwała mu pytaniem: „Mój wołku, powiedzże nam prędzej, co Pan Jezus przeznaczył dziewce Marysi; ona zawsze dla nas była taka dobra i dbała, że życzę jej co najlepszego“. — Wół chrupnął i odrzekł: „Dobrych ludzi zawsze Pan Jezus ma w Swojej opiece. Marysia była nietylko dobra dla bydląt, ale także we wszystkich swoich uczynkach i dlatego wyjdzie ona w tym roku zamąż bardzo porządnie. Znacie przecie Bartka Mikołajaka, tego, co zawsze ubiera się po chłopsku, po polsku, jak to Pan Bóg polskiemu chłopu przykazał, co za nic w świecie nie przebrałby się w taką tandetę, jaka weszła w modę. Za tego Mikołajaka wyjdzie Marysia, jako dobra Polka, bo Mikołajak — to prawdziwy polski chłop, co myśli o szczęściu Polski, to nie tylko słowem, ale i czynem udowadnia, że najwięksi wrogowie nie zmogą Polaków i Polska będzie stała po wszystkie wieki wieków i potężna, jeżeli nasi ludzie będą twardo stali przy swoich pięknych zwyczajach, jeżeli będą garnęli się do oświaty, a pracowali pilnie i coraz lepiej na roli i w różnem rzemiośle. Biedny to młodzieniec ten Mikołajak, a przecie z tkactwa, którem daleko słynie, zarabia tyle, że i żyje porządnie i stać go na różne pouczające książki i gazetki, na które większość kmieci żałuje grosza. Marysia nada się do Bartka; oboje wychowają też dzieci na bardzo uczciwych ludzi i Polaków“.

— „Niech Pan Bóg da zdrowie i szczęście Marysi — odezwała się teraz Krasula, stojąca przy Winosze. — Zasłużyła sobie na dobry los, nie tak, jak ten Wojtek, pasterz, co nas krowy wciąż bije, chociaż nie ma o co, jeździ na nas, wiąże nam maglownice i tłuczki do karków“.

— „Wojtek, jest zły chłopak — rzekł wół wzburzony. — Jeżeli ten Wojtek nie poprawi się jeszcze, to w jesieni obsypią go brzydkie bolaczyska, że nawet ruszać się nie będzie mógł“.

Brzezula była ciekawa, co będzie z gospodynią, która nie była dobra dla

ulubionej przez krowy Marysi. — Wół mruknął: „Czy to już nie dosyć, że straci dziewkę, jakiej szukać daleko“.

Cieliczka od Brezuli miała znowu zawziątkę na gospodynię za pobicie jej o zdeptanie grochu; pytała też wołu, jaką karę Pan Jezus wyznaczył za to gospodyni. — Ale wół popatrzył brzydko na jałowicę i zaczął swarzyć: „Smarkuło paskudna, ty taka, ty owaka, nie rób szkody, a nie będziesz bita. Patrzcie ją! Nie chce się jej skubać trawy, gdzie należy, lekkim sposobem chciałaby żyć i myśli, że Pan Jezus będzie karał ludzi za napędzanie próżniaków do roboty. Fe! wstydź się, cielucho!“

Potem Cisula już nieśmiało pytała wołu, czy Pan Jezus ukarze parobka, który zbił ją niemiłosiernie. Wół odparł: „Było się nie bóść z krową sąsiada, a nie straciłabyś rogu, nie zostałabyś „pałą“ i nie wzięłabyś bicia; przez ten jeden róg utrącony straciłby gospodarz na tobie kilkanaście marek, gdyby cię na jarmark wyprowadził. Ale bicie bez upamiętania bydląt nie ujdzie parobkowi bezkarnie; na wiosnę będzie go za to tłukła sześć razy zimnica“.

Dobry pacierz jeszcze rozmawiały między sobą bydlęta o różnych rzeczach, wreszcie stary wół tak się odezwał: „Niemcy, jak wiecie, strasznie się zawzięli na Polaków i chcą ich koniecznie zgładzić ze świata. Ale niedoczekanie ich, bo Pan Jezus tak postanowił, że Niemcy i inni nieprzyjaciele zębce sobie wyłamią, a nic Polakom nie zrobią, jeżeli Polacy wszyscy wezmą się w kupę i trzymać się razem będą, szanując swoją mowę, swoją ziemię, swój kraj, swój obyczaj i wszystko, co dla nich jest święte. Życzę Polakom tej jedności, tej spójni i tej wspólnej obrony ojczystych interesów, bo ja także polski wół i niechnoby przyszło do czego, to nastawię rogi i będę bódł.“

— „Oj tak, tak!“ — potwierdziły inne trzy woły, stojące koło starego.

Przy końcu tej szczęśliwej godziny zapytał jeden z wołów: „A co my też jutro będziemy robiły?“ — Hm — odchrząknął stary wół i spojrzał pod żłób. — Jutro powieziemy naszego gospodarza na cmentarz, bo nie wolno mu było podsłuchiwać naszej rozmowy, a on, niedowiarek, odważył się na to“.

Gospodarz, słysząc ten wyrok, wyskoczył z pod żłobu i na klęczkach prosił wołu o darowanie mu życia. Ale wół położył się spokojnie na posłaniu i nie odrzekł ani słowa.

Na krzyk gospodarza przybiegli domownicy do stajni; gospodarz przyniesiony do izby wyzionął ducha, mając zaledwie chwilę czasu, aby opowiedzieć, o czem bydlęta między sobą rozmawiały.

LEGENDA
o Jezusiku w kontusiku.
(Improwizacya).

Wśród pałających lazurów
Kwitnie róża, otoczona
Przez dziewięcio-barwny wianek,
Przez dziewięć anielskich chórów.
U stóp jej leży baranek
Pod skrwawioną chorągiewką.
A do jej śnieżnego łona,
Tuli się ciche bóstewko.

— Przez lazury, jak myśl żywa
Przelata śnieżne orlątko...
Ucieszyło się dzieciątko,
Z objęć Matki się wyrywa.
Goni po niebie orzełka,
Chwyta go za brzeg skrzydełka
I pyta: „Zkąd ptaszek leci?“
— Ptak, schylając główkę płaską



Woła: „Najcudniejsze z dzieci!
Jakąż głos Twój dla mnie łaską...
Przy Gople jest moje gniazdo
Tam wyrosło orle plemię,
Nieraz wzbijam się nad ziemię,
By na górach mówić z gwiazdą.

Byłem ja i na Wawelu,
Gdzie śpi w trumnach orłów wielu;
Byłem i na święto-krzyzkiej,
Gdzie człowiek tak orłów blizki;
Byłem ja i u Łomnicy,
U tej olbrzymiej orlicy,
Co ujrzawszy, jaka chwała
Błyszczy w niebie, skamieniała.“

— A cóż wam się w Polsce dzieje?“
Pyta Bóg, — czy wiary strzegą?
Czy braciom niosą nadzieję,
Czy wielbią Patrona swego?“

— „Ich pierś, orzełek zawoła,
Ach, to warownia kościoła.
Jeżeli jaka kraina
Ratunku wzywa w niedoli,
Pewno Polak ją wyzwoli!
A wskrzesiciel Piotrowina
Ma u nas cześć i ołtarze;
Wielbią go starce, kapłany,
Wojownicy i mocarze.
Jednak nasz patron kochany
Nieco smętny i surowy;
Te też polskie białogłowy,
Polskie ubóstwo i dziatki,
Pragną patronki, królowej,
Pragną w niebie serca matki!“

Jezusik uradowany,
„Oznajmij — rzecze — Polakom,
Że będą mieli królowę!“

Wzleciał ten, co włada ptakom,
Niosąc dobrej wieści słowo.

Jezusik, z okiem nieśmiałem
Rzekł do Pani Serafinów:
„Matko! z wszystkich ziemi synów,
Naród polski ukochałem...
Gdybyś Ty, o Matko droga,
Królować nad Polską chciała,
Tamby kwitła Twoja chwała,
Wstałoby królestwo Boga.“

Lilia urody niewieściej
Smutno rzekła do dziecięcia:
„Wszak w dzień mego wniebowzięcia,
Obiecały mi niebiosy,
Że w nagrodę mych boleści,
Nigdy już, nigdy nie stanę
Wśród ludzi, gdzie walczą losy,
Zbrodnie, żale i tęsknoty;
I że odtąd mnie otoczą,
Same niewinne istoty,
Aniołami nazywane.“
— Jezusik stanął w oddali,
I zapadł w niemą tęsknicę...
Nagle wzrok mu się zapali,
Woła z cicha a proroczo:
„Matka przyjmie prośby moje,
Ach po polsku się ustroję,
I za serce ją pochwycę!“

Więc rozwarł wielką skarbnicę
Gdzie w jasnym stuleci rzędzie,
Zdobne w kształty i kolory,
Leżą wieczne pierwowzory
Tego, co jest — było — będzie...

Szuka, patrzy i niewielkę
Bierze Błyszczącą szabelkę;
Przypina ją i odpina
I w przebitych rączkach waży...
Nakoniec rzecze dziecina:
„Bogu z mieczem nie do twarzy.“

Składa oznakę obrony,
I swą siłę składa przy niej;

I tylko z obłocznej skrzyni,
Bierze kontusik czerwony.
Przywdziawszy go niby w trwodze
W pośród anielskich orszaków,
Rzecze do Matki:
Przychodzę
Jako poseł od Polaków!
Oh, godne są syny Piasta,
By Marya władała niemi,
A jeżeli na ich ziemi,
Nie dość jeszcze cierni wzrasta:
Zaćmię ich nadziei tęczę,
Rozpłomienię ich tęsknotę!
I na krzyżu ich rozplotę,
I jak siebie ich umęczę, —
Aż wszechmocny cud cierpienia,
W aniołów ich poprzemienia!"

Na te słowa Marya wstała,
I poszła do Częstochowy.
I odtąd Polska zbolała,
W pośród kajdan i popiołów,
Jak dziesiąty chór aniołów,
W czynie śpiewa swej królowej:

Jezusiku
W kontusiku
Dzięki Ci za straszny cud!
Matko Boska,
Częstochowska,
Módl się za anielski lud!

XXX.

Opowiadanie poczmistrza.

(Zdarzenie prawdziwe).

Każdy człowiek chętnie chce przeżyć wigilią w gronie rodziny, między swymi. I ja tego pragnąłem. Niestety obowiązki mego urzędu zmusiły mnie wieczorem w dzień wigilii wybrać się w dalszą podróż. Większą część podróży odbyłem koleją. Następnie wsiadłem do bryczki pocztowej, aby dojechać do miasteczka, w którem miałem różne sprawy do załatwienia.

Była cicha, mroźna noc. Księżyc schował się, tylko gwiazdy jarzyły się na sklepieniu niebieskiem. Okna wozu pocztowego okryły się wzorzystemi kwiatami lodowemi, na które spoglądałem, oparłszy się wygodnie na siedzeniu.

Myśli moje zwróciły się do dni młodości, daleko, daleko w owe szczęśliwe chwile, gdym w kole rodzinnem zażywał miłych radości dziecięcych. Przed memi oczami stanęło drzewko, oświetlone licznemi świeczkami, owo drzewko, na które serce dziecięce tak się zawsze cieszyło. Miło jest i sercu męża, wspominać o owych chwilach, bo obchód wigilii jest jednym z najpiękniejszych w rodzinach.

Do tych myśli przyczepiły się inne; przyszłości obrazy poczęły przesuwać się przed oczami ducha; widziałem się w gronie własnej kochającej żony i dzieci przy jarzącem drzewku wigilijnem. Co prawda, to prawda, że do tego było jeszcze bardzo daleko, bo nietylko nie posiadałem żony, ale nawet dotąd nie obejrzałem się za nią wcale.

Spokój nocy, samotność, słodkie wspomnienie przeszłości, — wszystko to sprawiło, iż czułem się szczęśliwszym, aniżeli zwykle. Świat rzeczywisty odsunął się niejako odemnie. Sam jeden w bryczce pocztowej oparłem się na poduszki siedzenia i zamknąwszy oczy, zatopiłem się w myślach.

Podróż była długa i nużąca. Ciągłe kołysanie się wozu pocztowego, uśpiło mnie na wpół, i sny mnie naszły, będące niejako dalszym ciągiem mych myśli.

Widziałem tysiące aniołków, jak z błyszczącemi drzewkami w powietrzu się unosiły; gdziem spojrzał, wszędzie radość i pokój. Zdało mi się, że słyszę nieprzeliczone głosy dziecięce, że widzę rodziców, szczęśliwości łzy wylewających, łzy radości.

Właśnie przejeżdżaliśmy przez wioskę górską. Z wieży kościołka brzmiały dzwony, dzwoniące na mszą św., na pasterkę. W duszy było mi jasno. Zdało mi się, że Miłość Boska wpływa w tę noc goręcej do serc ludzi i że do mego serca wpada z tej miłości jeden promień więcej, niżeli zwykle. W zachwycie mym słyszałem śpiewy Cherubinów, łączące się z pieśniami ludu w jednę wspaniałą pieśń: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli."

W tem nagle wyrwany zostałem z mych pięknych marzeń. Wóz pocztowy stanął raptownie, potem usłyszałem trzask i mruk woźnicy. Lampka zagasła i znalazłem się w ciemności i niezadowoleniu, że mnie z szczęśliwości mojej zbudzono.

Woźnica usnął na koźle i wóz wjechał w rów, w skutek czego koło się złamało. Po niewczasie począł on na konie wołać, potem kląć i gniewać się. To mnie już całkiem otrzeźwiło.

Nie było można myśleć o tem, aby dalej jechać. Trzeba było najprzód inne koło zasadzić. Szczęściem, że wypadek przydarzył się w pobliżu domu poczmistrza, który mnie grzecznie do siebie zaprosił. Innych gości podróżnych nie było, bo i któżby jeździł w noc wigilijną, gdy nie musi?

Ledwiem się trochę ogrzał w izbie, rzecze do mnie poczmistrz:

— Właśnie wybieram się do kościoła na pasterkę. Jeżeli chcecie iść zemną, panie, na nabożeństwo, chętnie was zabiorę.

Chętnem sercem się na to zgodziłem. W kościele pełno było. Organy brzmiały, lud śpiewał.

O kto w zatwardziałem sercu o Bogu zapomniał i o kościele, komu serce skamieniało dla wiary, zastygło dla własnych, rodzinnych pieśni, niech się uda w taką uroczystą chwilę do kościoła, niech się przysłucha rzewnym i wzruszającym pieśniom naszym kolendowym, a pęknie skorupa z jego serca; jak marnotrawny syn będzie płakał oczami i sercem, a uczucie miłości do wiary i do swej mowy, odżyje w nim, jako pierwiosnek na wiosnę wschodzący....

Nie byłem zatwardziałym, więc od razu, wszedłszy do kościoła, utonąłem w nabożeństwie i pieśni.

Jeżelim w bryczce pocztowej śnił o szczęściu doczesnem z powodu wigilii, to tu, w kościele, ogarnęło mnie uczucie duchowego pokoju i nadprzyrodzonej miłości, jaka przez Narodzenie się Pana Jezusa ludzkości udziałem się stała.

Po mszy św. wychodzili ludzie z kościoła z wesołemi twarzami; wszyscy przyszli tu dotąd po pokój, obiecany ludziom dobrej woli i uzyskali go.

Ja czekałem na pocztmistrza. Zbliżył się niebawem i rzekł do mnie półgłosem:

— Darujcie, panie, muszę jeszcze wypełnić pewien obowiązek; potem zaraz pójdziemy.

To mówiąc, skinął na dziewicę, w pobliżu stojącą.

Była to piękna dziewica o jasnych włosach i niebieskiem oku. Wdzięcznie zbliżyła się do nas. Pozdrowiła mnie grzecznie. Wzrok jej był jasny i swobodny. Widok jej sprawił na mnie wielkie wrażenie. Pocztmistrz objaśnił mnie, że to jego jedyna córka. Skłoniłem się również grzecznie i ze zdziwieniem spostrzegłem, iż trzymała zielony wieniec w ręku. Nie mogłem pojąć, coby to mogło znaczyć. Ojciec domyślił się, dla czego się dziwię i rzekł:

— Chodźcie z nami, panie, to wam opowiem, na co ten wieniec.

Pokłoniwszy się Panu Bogu, wyszliśmy, pocztmistrz szedł naprzód, my za nim. Nie udał się drogą, prowadzącą do bramy, lecz zboczył na prawo, wzdłuż grobów cmentarza.

Na samym końcu, przy murze, przed grobem, nad którym prosty, drewniany krzyż się wznosił, stanął. Córka złożyła wieniec na grób, śniegiem pokryty. Następnie uklękli oboje i poczęli się modlić.

Promienie gwiazd oświecały śnieżną płaszczyznę i groby, po drzewach

jarzyły się kryształy lodowe; zielony wieniec i owi ludzie, klęczący przy grobie, odbijali jaskrawo od śnieżnej naokół białości.

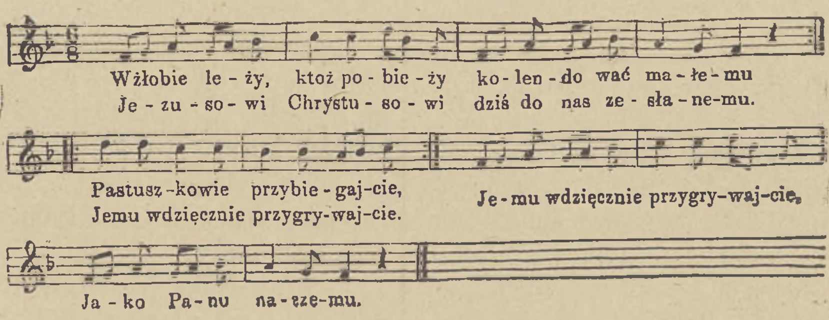
I ja zgiąłem kolano i zmówiłem pacierz za spokój duszy tych, którzy w tych grobach spoczywają.

— Idźmy, — odezwała się córka, — bo zimno i późno już.

Jakby chcąc oddalić żałość, jaka ją opanowała, ujęła rękę ojca i ucałowała ją. I do mnie wyciągnęła dłoń, którą jak siostrzaną, uścisnąłem.

Na drodze do domu nie mówiliśmy ani słowa.

W żłobie leży.



W domu dostatnio urządzonym czekano na nas z wieczerzą, która mi po długiej podróży wybornie smakowała. Wnet też rozgadaliśmy się, a dla pocztmistrza, który już przez dotychczasowe postępowanie zyskał mój szacunek, nabierałem coraz to większego poważania.

Dotąd jednak nie wiedziałem, co znaczył ów wieniec, złożony na grobie, a choć pytanie miałem kilkakroć na języku, nie śmiałem go zadać, obawiając się, że może naruszę ranę w sercach tych ludzi, do których mnie Bóg na wigilią przyprowadził.

Wieczerza się skończyła, ale o spaniu nikt nie myślał, bo ranek był za pasem.

— Wyjaśnię wam, panie, — odezwał się po krótkiem milczeniu pocztmistrz — co oznaczał ów wieniec.

Córka, usłyszawszy to, uczyniła ruch ręką, jakby prosząc, aby tego nie czynił. On jednak rzekł:

— Wiem, moja córko, że i ciebie i mnie zasmuci moje opowiadanie, ale mimo to opowiem. Pan masz poniekąd prawo, dowiedzieć się, dla czego złożyliśmy ów wieniec i modliliśmy się właśnie dziś przy owym grobie. Będzie temu cztery lata — tak mówił — jak rokrocznie niosę w noc wigilijną wieniec na grób.

Dwa lata przedtem przybyła pewna uboga niewiasta z chłopcem na ręku i małem zawiniątkiem do naszej wsi. Obcą tu była, nikt jej nie znał i nazywano ją też zawsze „obcą.“ Mieszkała na drugim końcu wsi, a nikt o nią nic dbał. Jakkolwiek nigdy nikomu w drogę nie weszła i uczciwą pracą na chleb zarabiała, nie lubili jej ludzie i unikali jej trwożliwie. Domyślano się i łatwo to po niej poznać było można, że kiedyś lepiej jej się powodziło; delikatne jej ręce stwierdzały, że dawniej nie wykonywały prostej a ciężkiej roboty. Nikt nie wiedział, zkąd przyszła. Nie była ona ciężarem dla wsi, bo pracując pilnie od ranka do nocy, zarabiała na utrzymanie dziecka i siebie.

Nie trudno się jednak było domyślić, że jakiś tajemny smutek jej dolega. Na twarzy jej nigdy nie widziano uśmiechu, ale z ust jej nie wydobyła się nigdy skarga. Były naturalnie takie ciekawskie, które chciały się koniecznie dobadać owej tajemnicy. Zapytana o nią, odpowiadała wymijająco. Z czasem też zaprzestano pytać i „obca“ kobieta żyła między nami.

Nadeszła bardzo ostra zima, prześladowczyni biednych. I „obca“ kobieta padła jej ofiarą. Tajemny ból, jaki jej dolegał, zniszczył jej siły, a mróz i niedostatek rzuciły ją na łoże boleści, z którego już nigdy nie powstała. Trzy dni przed Bożem Narodzeniem pochowano ją. Za trumną nie postępował nikt, prócz synka płaczącego i rozpaczającego. Sama ona odsunęła się od ludzi, żyła na odosobnieniu, więc prawie nikt nie wiedział że zmarła.

W ostatnim czasie mieszkała w stodole. Przytułku tego udzielił jej jeden z mieszkańców i zdziwiono się bardzo, gdy go przyjęła. W tej stodole zmarła. Krótko przedtem straciłem i ja ukochaną żonę i dla tego serdecznie mi żal było biednego sieroty.

Chciałem go przyjąć do mego domu, którym od śmierci żony moja Frania sama zarządzać musiała. Gdym jednak po niego posłał, nie zastano go w stodole i wszelkie szukanie okazało się próżnem. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Nadeszła wigilija.

Tak, jak dziś wołały dzwony na pasterkę; poszedłem sam jeden, smutny, bo żona moja spoczywała w grobie.

Mróz był trzaskający; śnieg skrzypiał pod butami; gwiazdy iskrzyły się na niebie właśnie, jak dziś.

Szedłem pogrążony w myślach. W sercu mem tęskno było niezmiernie i smutno. Czułem się samotnym, tak bardzo samotnym na świecie. Nadto myśl jedna uczepiła się mego umysłu i męczyła mnie; myślałem o biednym chłopcu, sierocie. Gdzie mógł się podziać? Co się z nim stało? W takich myślach pogrążony, minąłem kościół i zbliżyłem się do stodoły, gdzie „obca“ kobieta zmarła.

Jakkolwiek na dworze było ciemno i nigdzie żadnego światła nie widziałem, zdawać mi się poczęło, że z stodoły bije promień światła i kładzie się jasną smugą na śniegu. Przetarłem oczy i przyspieszyłem kroku. Dreszcz mnie mimowoli przeszedł, a mimo mrozu pot zaczął mi spływać z czoła. Począłem iść prędzej, coraz prędzej, począłem biedz ku stodole, a wzruszenie wielkie mnie ogarnęło. Naraz stanąłem i rozwarłem oczy. Co widzę?

Tam, tam, przed stodołą, klęczy chłopczyna w śniegu z rączkami ku niebu wzniesionemi. Chciałem zawołać na niego, ale głosu nie mógłem wydobyć z gardła. Zmysły prawie traciłem.

Jasność stawała się coraz to większą, jaskrawszą i wyraźnie widziałem aniołki niosące drzewko świetlane, które przed chłopcem stawiły. Okiem, to szczęścia, to przerażenia pełnem, patrzało chłopię na to drzewko. Naraz, — co widzę? — ona, „obca“ kobieta, matka jego, w jasnej odzieży, jaśniejąca, spuszcza się ku chłopcu. Łzy, jak krople rosy, wiszą u jej powiek.

Nie słyszałem, co mówiła do chłopca, ale to widziałem, że oboje byli szczęśliwi i uśmiechnięci. A gdy do syna przemówiła, tedy i on otworzył usta i dobyły się z nich słowa, takiej boleści i tęsknoty pełne, że póki żyję, nie zapomnę tego głosu:

„O matko, matko!“ błagał chłopiec. „Zabierzcie mnie z sobą do waszego nieba. Tam będzie mi dobrze, jak wówczas, gdyście jeszcze przy mnie, na ziemi, żyli. Tu, na ziemi, jestem sam, sam jeden, obcy i opuszczony! Zabierzcie mnie ze sobą, matusiu!“

A ona pochyliła się ku chłopcu z niewypowiedzianą miłością w twarzy, do jakiej tylko serce matki zdolne i zdało mi się, że razem z nim znika, gdzieś w przestworzach niebieskich.

Było to na jawie, czy we śnie, com widział? Nie wiem. Bez zmysłów znaleźli mnie sąsiedzi leżącego na ulicy. Córka moja, nie widząc mnie w kościele, zaniepokoiła się i prosiła sąsiadów, aby mnie szukali. Pierwsze słowa, jakie po odzyskaniu przytomności powiedziałem, brzmiały:

„Biegnijcie prędko, jak najprędzej do stodoły, gdzie „obca“ kobieta mieszkała.“

Nikt nie wiedział o co mi chodzi, ale kilku pobiegło.

I cóż znaleźli?

Tam, przed stodołą, klęczał chłopczyna na śniegu z rączętami wzniesionemi, z wyrazem szczęścia i pokoju na bladej twarzyczce.

Zmarzł!

Kazałem go przy matce pochować.

Cztery lata minęły od tej chwili i rokrocznie składam co wigilią, o tej samej godzinie, wieniec na ich grobie i za każdym razem mam takie uczucie, jakbym widział matkę i syna, uśmiechających się do mnie.

I moja żona spogląda z nieba na mnie i córkę naszą słodkim wzrokiem niewyczerpanej miłości matczynej. Jużem stary. Gdy mnie Bóg powoła, wtedy córka moja pozostanie sama jedna na świecie, także sierotą.

Zamilkł pocztmistrz, wzruszony wspomnieniem i zmęczony opowiadaniem. Córka padła mu do kolan i całując mu ręce, płakała....

Ranek błysnął przez okno, a gdy promień dnia Świątecznego oświecił twarz dziewicy, opanowało serce me nieznane dotąd uczucie. I w mojem sercu zeszła jutrzenka, złota jutrzenka miłości....

Od owej wigilii przeszły lata. Frania jest moją żoną. Stary ojciec spoczywa już w ziemi, ale jego opowiadanie o „obcej“ kobiecie i jej synu żyje w naszej pamięci. Rokrocznie składamy w wigiliją wieniec na ich grobie...

Zagrzmiały dzwony.

Zagrzmiały dzwony, zagrzmiały głośno;
Zewsząd wesoło śpiew się rozchodzi,
Bo dziś się z Panny Zbawiciel rodzi,
Niosąc nowinę światu radosną.

A tą nowiną — świata zbawienie!
O niepojęta Boża miłości! —
Sam Bóg zstępuje z swej wysokości,
By biednym ludziom dać przebaczenie.

Padnie już wkrótce piekło szatana,
A z nią okrutna duszy niedola;
Wkrótce się skończy grzechu swawola
Zawita światu wolność nieznana.

Niechaj ustaną jęki i płacze,
Niech radość w ludzkich sercach zagości —
Dziś nowe prawo — prawo miłości!
Śpieszcie go przyjąć biedni tułacze.

Śpieszcie do żłóbka starzy i młodzi,
Śpieszcie do Pana swego z ufnością!
I zawołajcie z wielką radością —
Koniecn iedoli — Bóg się wam Rodzi!

Moc truchleje.

(Obrazek z Kongresówki z ostatnich czasów.)

W kantorze fabryki żelaznej, Huta Ludwika, toczy się żywa rozmowa. Trzej delegaci robotników przekładają dyrektorowi Jagielskiemu, że jeżeli nie przystanie na przedstawione warunki, nikt do pracy nie powróci.

— Strajkujemy już tydzień, będziem strajkować i dłużej — powiada jeden z delegatów stanowczym głosem.

— A ja mówię — odparł z niecierpliwością dyrektor — że na dwa pun-



kty żądań waszych nie mogę przystać żadną miarą.

— Dlaczego?

— Dlatego przedewszystkiem, iż są niesłuszne, a powtóre właściciele nie upoważnili mnie do podobnych ustępstw. Wiecie, panowie, dobrze, iż tylko zarządzam fabryką i pełnomocnictwa moje są ograniczone.

— Hm! w takim razie strajk trwać będzie dalej, a nawet tych, co pilnują wielkiego pieca, odpędzimy.

— Nie uczynicie tego, przecież wiadomo panom, ile tysięcy traci się na zagaszeniu wielkiego pieca.

— Właśnie, że będzie zgaszony.

— To nikczemność.

— Powtórz-no, pan, jeszcze raz coś powiedział — wykrzyknął groźnie delegat, sunąc z pięścią ku Jagielskiemu.

Ale go dwaj towarzysze siłą powstrzymali.

Tymczasem dyrektor Jagielski z natury gorączka, wzburzony pogróżką delegata, pobiegł do biurka i wyciągnąwszy z szuflady jakiś papier, zawołał:

— Czy wiecie, panowie, co to jest? Ani się domyślacie. Miałem zamiar do ostateczności nie doprowadzać, sądząc, iż wszystko polubownie da się załatwić. Ale kiedy mi grozicie zagaszeniem wielkiego pieca, kiedy ten pan pięść podnosi...

— Wybaczcie mu, panie inżenierze — przerwał pojednawczo Wincenty Fijołek, siwowłosy lecz krzepki delegat, jeden z najstarszych podmajstrzych huty.

— Zapytuję więc po raz ostatni, czy powracacie dziś a najdalej po świętach do roboty?

— Jak tylko pan dyrektor wypłaci za czas strajku lon i wydali tych dwóch majstrów Niemców z lejni — odparł znów pierwszy delegat dobitnym głosem.

Jagielski zwrócił się jeszcze do Fijołka i trzeciego delegata:

— Więc i panowie obstajecie przy tych żądaniach?

— My, wiadomo panu inżenierowi, nic nie decydujemy sami, spełniamy tylko uchwałę wiecu towarzyszów — rzekł smutnym, łagodnym głosem podmajstrzy Fijołek.

— Ha! kiedy tak — mówił, hamując wzruszenie dyrektor — oświadczcie towarzyszom, że fabryka zostaje zupełnie zwiniętą. Takie otrzymałem polecenie i o tem w tej chwili wysyłam telegram.

— Nie może być? — wykrzyknął Fijołek.

— Do tysiąca rodzin pozostawić bez kawałka chleba — zawtórował drugi delegat, Dołęgowski.

— Strachy na lachy! — zawołał Mikulski, który przed chwilą groził Jagielskiemu.

— Przeczytaj pan więc, jeżeli umiesz po niemiecku — rzekł dyrektor, podając Mikulskiemu papier.

Ten, wziąwszy dokument wybiegł, wołając:

— Jeżeli to nie są żarty, z całej tej budy zrobi się jeden wielki szmelc.

— Oddaj pan papier...

— Później wtłoczę go panu w gardło — z szatańskim śmiechem powiedział delegat już za drzwiami.

— On gotów na wszystko — rzekł Dołęgowski.

— Trzeba zapobiedz nieszczęściu — dodał Fijołek, pociągając za sobą towarzyszów.

Temu, co powiedział Mikulski oczekującym towarzyszom w wielkiej halli maszyn, nie mogli już przeszkodzić. Z groźnego pomruku tłumu domyślali się, że wiadomość o zamknięciu fabryki zrobiła swoje. Właśnie Mikulski rozpoczął mowę od słów:

— Towarzysze, trzeba to niemieckie gniazdo zburzyć i spalić, albowiem...

Fijołek, dobywając całej siły głosu, przerwał:

— Mnie wprzód posłuchajcie, on kłamie...

— Ty, stary jeden — wrzasnął Mikulski, sunąc z pięściami.

— Ani się waż.

— Precz od Fijołka...

— Jak ty śmiesz...

I Mikulski w jednej chwili został obezwładniony przez najbliższych towarzyszów. Pienił się ze złości, zionął strasznemi przekleństwami, aż mu usta zamknięto...

— Niechaj Fijołek gada.

— Fijołek nam prawdę powie.

— On tu najstarszy.

Podmajstrzy dziękował za zaufanie i, wszedłszy na pomost, między dwiema maszynami urządzony, prawił:

— Drodzy towarzysze! Dyrektor Jagielski był zawsze naszym przyjacielem i opiekunem. Ale jak my, tak i on w służbie, fabryka do niego nie należy.

— Niemców stronę trzyma — wykrzyknął jakiś stronnik Mikulskiego.

— Nie bredziłbyś — ostro upominał Fijołek. Tu niema czasu na spory. Dyrektor istotnie otrzymał rozkaz zamknięcia fabryki, jeżeli strajk będzie trwał dalej.

— Więc to prawda?

— Mikulski prawdę mówił.

— Czegoś mu, stary, kłam zadał...

Fijołek przeczekał burzę i znów prawił:

— Ale zełgał, że to Jagielski chce fabrykę zamknąć, że już wydał taki rozkaz od siebie. Towarzysze, jeżeli mi ufacie, jeżeli staremu Wincentowi dajecie wiarę, to... uchwalicie zaraz wrócić do pracy, zdając się na Jagielskiego. On nikomu krzywdy nie uczynił, ale on nie chce, nie może nic robić pod przymusem. Ja wam coś lepiej zaproponuję. Skoro Niemcy nie chcą prowadzić fabryki, my ją prowadzić sami będziemy na nasz własny rachunek i...

— Zwariował stary — krzyknął Mikulski, którego już puszczono.

— Żem nie zwariował, zaraz się przekonacie, tylko mi dajcie pół godziny folgi. Przyrzekacie towarzysze przez pół godzinki być cierpliwymi i żadnej uchwały nie przedsiębrać póki tu nie wrócę?

— Przyrzekamy — zawołali robotnicy.

Fijołek szybko poszedł do kantoru, a na pomost wdrapał się Mikulski.

— Kiedy niema Fijołka, dajcież drugiemu delegatowi głos — ozwali się stronnicy namiętnego robotnika — niechże on swoje wypowie.

Ale bez żadnej uchwały, dopóki Fijołek nie wróci.

— To się wie, przyobiecaliśmy.

Mikulski zmiarkował, że trzeba ostrożnie mówić, więc zaczął się usprawiedliwiać, iż napadł na Fijołka. Przyznawał mu duże zasługi, przepraszał za swoją krewkość, lecz po tym wstępie jął pioruny rzucać na Jagielskiego.

— To jest służka i parobek Niemców, on i Fijołka zdurzył, trzeba Jagielskiego nauczyć rozumu. Albo tu wobec wszystkich zaprzysięże wszystkie nasze żądania, albo go w wielki piec wrzucimy i niemieckiej fabryce czerwonego koguta puścimy. Nie bójcie się towarzysze, ja was wówczas poprowadzę, zdobędziemy siłą grosza...

Wierzcie Mikulskiemu, on dobrze gada — wtórowała garść zwolenników awanturnika.

Wśród robotników zaczął się tworzyć rozłam. Płomienna mowa Mikulskiego i namowy popleczników zrobiły swoje. Już ktoś zawołał:

— A może Fijołek szachruje z dyrektorem i chce nas sprzedać?

— Powiadam wam, że oni nas tu przetrzymują tylko dlatego, że po kozaków posłali...

Mikulski, skorzystawszy z tego, krzyknął:

— Towarzysze! przeszkodźmy łajdactwu i chodźmy ławą do kantoru.

— Zaczekać.

— Dobrze radzi, pójść.

— Przyrzekliśmy i dotrzymać trzeba.

— Żeby z kozakami przyszli.

Uczynił się gwar straszny. Wrażliwy i wpływowy tłum począł się w znaczej większości przechylać na stronę Mikulskiego.

Nagle w środek tego tumultu wchodzi Fijołek, prowadząc Jagielskiego. Mikulski jeszcze raz spróbował wywołać popłoch, więc wrzasnął:

— Zaraz się pokażą kozacy!

— Łżesz jak sobaka — potężnym głosem odpowiedział Fijołek, dodając z wymówką: — To wy tak dotrzymujecie słowa?

Tłum zawstydzony zamilkł, a stary podmajstrzy, stanąwszy z Jagielskim na pomoście, zawołał:

— Ułożyliśmy z dyrektorem, że od tej chwili wszyscy będziemy prowadzić fabrykę na własny rachunek i Niemcy muszą ją nam tanio odprzedać na rozpłatę.

— Poco kupować, kiedy można zabrać — wykrzyknął Mikulski.

— Bo cudze zabierać to kradzież, to grzech.

— A oni nas nie okradali?

— To za to przed Bogiem odpowiedzą. Ale nam wara być złodziejami.... Owóż bracia i towarzysze, fabrykę od dziś unarodowimy. Czy zgadzacie się?

— I wy temu staremu wierzycie? — zawołał Mikulski. — On z Jagielskim na dudków was wystrychnie.

Ale to już był ostatni strzał namiętnego wichrzyciela. Wszyscy ze zdumieniem patrzyli, jak Fijołek dzielił się opłatkiem z dyrektorem Jagielskim. Potem obaj z paczkami opłatków schodzili z pomostu, a stary podmajstrzy rzekł:

— Towarzysze, toż to dziś *Wigilia święta! „Bóg się rodzi, moc truchleje.“*

Z kilkuset piersi pod stropy halli zabrzmiał dalszy ciąg kolendy.

Mikulskiego, próbującego jeszcze bruździć, z kilku sojusznikami wyproszono grzecznie za drzwi, a Jagielski obchodził z opłatkami robotników, mówiąc:

— Fijołkowi cześć, że mnie przekonał, iż można i należy fabrykę unarodowić.

— Co tam moja mizerna osoba znaczy. Panu Jezusowi podziękujemy za to, co się stało, i niech wobec Jego potęgi każda nieczysta moc szczeznie i truchleje...

I znów zaśpiewano kolendę, a nad zbożną drużyną polskich robotników unosił się Anioł-Stróż, jeden z tych Aniołów, którzy w noc Bożego Narodzenia śpiewali hymn:

„Chwała na wysokościach Boga, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Ant. Skrzynecki.

W wigilijny wieczór.

Na choince świece płoną,
W szczęściu serca wszystkie toną,
Radość bije z czół! —

Zastawiono pośród chaty,
Białe, gdyby lilii kwiaty,
Wigilijny stół.

A po polach jakieś granie.
Cudne granie i śpiewanie
Niby z jakich nut......

Las w cichości, pieśni słucha,
Wierzba dziwi się starucha,
U rozstajnych dróg......

Bo tak nawet nie grywali,
Pastuszkowie, co pasali,
Stada białych trzód.

To Anieli święci grają,
Ziemi, ludziom ogłaszają,
Że się rodzi Bóg!

Z tej Przeczystej, z tej Lilii,
Z tej Najświętszej, z tej Maryi,
Co króluje nam!

By okupić nasze grzechy,
By udzielić nam pociechy,
Bóg przychodzi sam!

Janina Różańska.

Boże Narodzenie w Chili.

Wyjątek z listu Polki.

Już drugi rok mija, odkąd opuściłam kraj rodzinny, a chleb tułaczy nie wydaje mi się słodszym. Myśl, że jestem tak daleko od wszytkiego co kocham, zaprawia mi życie piołunem. Szczególniej podczas świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, tak uroczyście obchodzonych u nas nad Wartą, burza wspomnień i tęsknoty zrywa się w mojej piersi. Ach! gdyby ptakiem być, przefrunąć przez ocean i stanąć w drogiem kole rodzinnem, gdzie właśnie dzielą się opłatkiem, lub jajkiem święconem. Duszą i sercem staję w niem zawsze, a w Ameryce jest wówczas tylko moje ciało.

Daremnie chciałby kto wskrzesić tutaj nasze zwyczaje: jodły w tej strefie nie rosną, więc nie można mieć choinki, a przytem klimat nie pozwala na złudzenie. Kiedy u Was podczas Bożego Narodzenia, zima w lodowy pancerz zakuwa strumienie, jeziora, a nawet naszą wspaniałą Wartę, śnieg srebrzystą powłoką okrywa pola, w ogrodach stoją bezlistne drzewa, w koronki szronu ubrane, tutaj, na drugiej półkuli panuje lato, słońce świeci nabezchmurnych błękitach, dojrzewają owoce, kwitną najpiękniejsze kwiaty.

Niektóre chilijskie zwyczaje są jednak bardzo poetyczne, opiszę Wam jedną uroczystość, na której byłam.

W kilka dni po świętach Bożego Narodzenia, siedziałam właśnie w ogrodzie zatopiona we wspomnieniach z moich stron, kiedy podeszła do mnie pokojówka, która od jakiegoś czasu krążyła w pobliżu.

— Czy pani nie pośle kwiatów i owoców *Nino Dios?* (Dzieciątku Jezus) — zapytała nieśmiało.

Ależ i owszem. Ktoby żałował kwiatów i owoców Dzieciątku Jezus! Kazałam sobie przynieść nożyce i niebawem napełniłam spory kosz wonnem żniwem z mego ogrodu, w którym nie było nawet znać ubytku.

Słowa pokojówki przypomniały mi, że odebrałam sporo zaproszeń na tak zwaną „nowennę żłóbka'', uroczystość pół świecką, pół religijną, połączenie nabożeństwa z koncertem i ucztą. Dotąd ani razu z niej nie korzystałam, ale teraz zdjęła mię ochota zobaczyć, w jaki sposób to się odbywa. Kiedy nieszczęście chciało, że mieszkam w Chili, niech-że poznam miejscowe zwyczaje.

Posłałam kosz z kwiatami i owocami do sąsiadów, zapowiadając, że przyjdę wieczorem.

Wprowadzono mię do salonu, gdzie pobożne ręce ustawiły ołtarz, nad którym upleciono jakby altankę z wonnych kwiatów i zielonych gałązek. Miało to przedstawiać chatę, w której na posłaniu z puszystego mchu leżało Dzieciątko Jezus z wosku, obrzucone najpiękniejszymi kwiatami, tworzącymi królewską szatę, świetniejszą, niż atłasy i aksamity. Z altanki zwieszały się wszystkie rodzaje owoców, które w tej porze Chili wydaje, a między niemi iskrzyły się świecidła i niezliczone lampki różnokolorowe.

Nie było to podobne do skalnej pieczary judzkiej, kędy w ubożuchnej stajence przyszedł na świat Syn Boży, złożony przez Najświętszą Pannę w żłobie. Naprzeciw ołtarza ustawiono kilkanaście krzeseł dla pań, wogóle jednak starsi są w mniejszości, gdyż jest to uroczystość dziecięca. O naznaczonej godzinie, istne rzesze czarnookich maleństw wpadają do salonu, świergocąc jak wróbelki i z zachwytem stają przed żłóbkiem.

Niańki zatrzymują się na dziedzińcu, zwanym *patio* i przez otwarte drzwi ciekawie zaglądają do środka. Białe zasłony na głowach nadają im pozór niewiast biblijnych.

Niebawem starsze panienki przyprowadzają do porządku światek dziecięcy, sadzają wszystkie dziewczynki na ławkach, chłopcom zaś dają znak, żeby stanęli pod przeciwległą ścianą. Idą oni śpiesznie za tem wezwaniem, w Chili bowiem mężczyźni wszystkich sfer i wszelkiego wieku okazują kobietom szacunek i posłuszeństwo.

Wówczas do salonu weszła córka pani domu, niosąc w ręku ozdobny koszyk, obwieszony wstążkami i kwiatami. Chodziła od jednego dziecka do drugiego, dając każdemu jakieś narzędzie muzyczne: flecik, piszczałkę, bębenek, trąbkę, cymbałki, albo jakie stworzenie piszczące.

Z kolei ukazała się sama gospodyni i, uklęknąwszy na klęczniku, ustawionym koło ołtarza, przeczytała po hiszpańsku odpowiednie modlitwy, po których zanucono krótki hymn. Potem, w przyległym pokoju, gdzie było zupełnie ciemno, ozwał się prześliczny chór z towarzyszeniem harfy. Hosanna! Hosanna! śpiewały anielskie głosy, podobnie jak dziewiętnaście wieków temu zastępy Cherubinów nad Betleem.

Zaledwie ucichły, nastąpiła istna kocia muzyka: na dane hasło wszystkie dzieci zaczęły w takt trąbić, bębnić, gwizdać, grać na różnych instrumentach, a przytem tupać nogami. Miało to oznaczać radość ogólną ludzi i zwierząt z narodzin Zbawiciela.

Jednocześnie z dziedzińca dochodzi ryk bydła, rżenie koni, beczenie owiec i pianie kogutów; to służba wyprawia ten koncert, posługując się listkiem palmy i rękami .

Myślałam, że na tem skończy się uroczystość, tymczasem czekała nas jeszcze jedna niespodzianka: zapukano do drzwi i w sali ukazały się trzy prześliczne panienki w długich płaszczach jedwabnych: różowym, niebieskim i zielonym; każda miała włosy rozpuszczone, spływające w długich puklach i złotą koronę na głowie. Byli to trzej królowie, którzy przychodzili pokłonić się Dzieciątku Bożemu.

Chór niewidzialnych aniołów znowu powitał gości z dalekich krajów słodkiem Hosanna! i odtąd uroczystość przybrała charakter świecki. Z przyległego pokoju wyszedł mniemany Cherubin, grający na arfie: był to nauczyciel muzyki o brzydkiej, oliwkowej twarzy, która nic nie miała w sobie anielskiego. Panienka w różowym płaszczu i koronie zasiadła do fortepianu i zaczęła grać wyjątki z oper. Dzieciom w imieniu *Nino Dios* (Dzieciątka Jezus) rozdano mnóstwo słodyczy i odesłano je do domu. Starszym podano ciasta i chłodniki, bardzo pożądane na taki upał, wreszcie bawiono się muzyką, śpiewem i rozmową.

Wracając wieczorem do domu, znowu podążyłam myślą w strony ojczyste, przypomniałam sobie dawne czasy, kiedy w salonie moich rodziców stała choinka, obwieszona czerwonemi jabłkami, a my dzieci zebrane przy fortepianie, do którego zasiadła mateczka, śpiewałyśmy cienkiemi głosikami:

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu...''

Z. S.

Polskie Dziennikarstwo w Poznaniu.

Powiedział ktoś, że „prasa“ czyli dziennikarstwo to siódme z mocarstw pierwszorzędnych w Europie. I słusznie. Dziennikarstwo dzisiaj wytwarza opinią, dziennikarstwo przeprowadza wybory; ono wywiera niebywały wpływ na umysł czytelnika, od jego poparcia lub potępienia wiele rzeczy rozwija się lub ginie.

W naszem społeczeństwie ma dziennikarstwo jeszcze donioślejsze znaczenie niż u innych. Dziennikarstwo polskie nietylko tworzy u nas opinią, nietylko niezbędnym jest czynnikiem naszego rozwoju politycznego i ekonomicznego, ale wywiera także ogromny wpływ wychowawczy i zastępuje tak dorosłemu jak dziecku to, czego szkoła pruska nie daje: uczy nie tylko myśleć

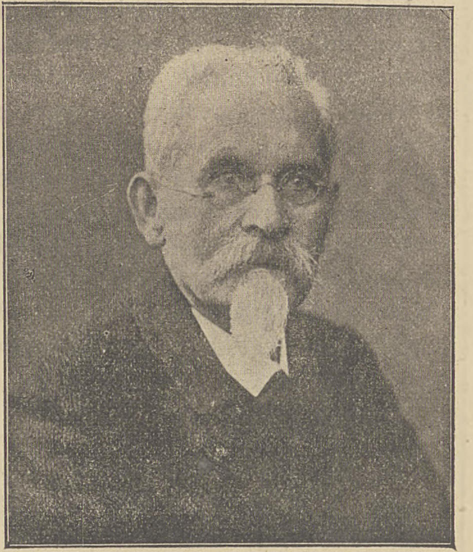


Dr. Stefan Michalski
redaktor „Czytelni Ludowych“.

i czuć, ale uczy czytać i pisać po polsku. Kto temu nie wierzy niechaj zajrzy do archiwów redakcyi pism naszych, niechaj popyta się bezstronnych literatów i dziennikarzy, a ci mu potwierdzą, że tysiące rodaków w listach swych — w latach 20-tu ostatnich — przyznawało, że czytać i pisać nauczyli się mniej lub więcej poprawnie, dopiero . . . . . na gazecie!

Warto się zatem chociaż po krótce zapoznać z dziennikarstwem polskiem i jego głównymi reprezentantami; ale ponieważ ani nużyć Czytelnika nie można całkowitem wyczerpaniem tematu, ani też wszystkiego nie dałoby się opisać na łamach jednego numeru, przeto zadowolnimy się dziś opisem dziennikarstwa stolicy wielkopolskiej czyli *Poznania*.

Odkładając opis dziennikarstwa w Prusach Królewskich, na Śląsku, w Księstwie, na Mazurach i Emigracyi do roku przyszłego rozpoczynamy Poznaniem trzymając się ściśle porządku alfabetowego w jakim wedle godła swego pisma po sobie następują.



Dr. Roman Szymański
redaktor „Kuryera Poznańskiego„ i „Orędownika“, więziony za sprawy polityczne.

1. *„Biblioteka powieści“* pod redakcyą p. Stanisława Wegnera zaspakaja potrzeby duchowe lubowników powieści historycznych i romansów.
Naklad 4,000.

2. *„Czytelnie ludowe,“* pismo redagowane przez Komitet specyalny, a kierowane przez dr. S. Michalskiego powstało w roku obecnym jako kwartalnik i wzięło sobie za zadanie otworzyć społeczeństwu oczy na ważność „Towarzystwa Czytelni Ludowych.“ Jest ono także łącznikiem duchowym i praktycznym pomiędzy Głównym zarządem Towarzystwa a bibliotekarzami.
Nakład 2,000.

3. *„Dziennik Poznański,“* najstarsze pismo polityczne polskie w Poznaniu jest pismem akcyjnem i czytane bywa przez zamożne sfery naszego społeczeństwa. Redaktorem naczelnym



Dr. Władysław Łebiński
naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego“.

jest p. dr. Władysław Łebiński; w redakcyi pracują także pp. dr. Wacław Swinarski, Konstanty Kościński, Dyonizy Królikowski i Ludwik Chojnacki. „Dziennik Pozn.“ jest organem wielkiego odłamu naszego ziemiaństwa.
Nakład 4,500.

4. *„Goniec Wielkopolski“* o haśle „Za wiarę i Ojczyznę“ jest od lat kilku własnością p. Bernarda Milskiego, który dawniej miał „Gazetę Gdańską.“ Pismo to odznacza się temperamentem i jaskrawym krytycyzmem, redaktorzy jego piszą jak to mówią: „prosto z mostu.“ Prócz właściciela pracują w redakcyi pp. Wincenty Szpotański i Stefan Hoffmann. Pan Szpotański ma o strajk szkólny cały mendel procesów.
Nakład 4,000.

5. *„Dziennik Ludowy.“* tegoż samego właściciela jest wydawnictwem nowem i zaleca się taniością, kosztuje bowiem 1 mrk. na kwartał.



Bernard Milski
wydawca „Gońca Wielkopolskiego“.

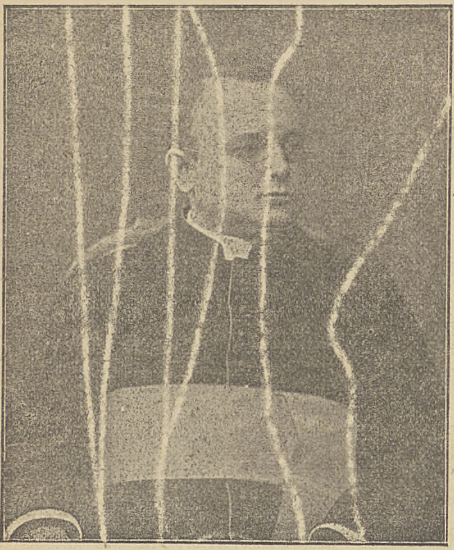
6. *„Gwiazda“* i *„Kraina Powieści,“* tygodniki ilustrowane pod redakcyą p. Zygmunta Marwega, dawniej wychodzące w Bytomiu, dają ludowi naszemu duchową strawę polską i rugują pokątną, tandetną literaturę zeszytową, która niestety zaczyna się wkradać także do grodu Przemysława.
Naklad obu 8,000.

7. *„Kuryer Poznański,“* organ inteligencyi demokratyczno-narodowej w zaborze pruskim, jest pismem spółki „Nowa drukarnia polska,“ do której należy kilkudziesięciu obywateli tak z prowincyi jakoteż przeważnie z Poznania. Redakcyą naczelną sprawują p. dr. Roman Szymański, nestor naszego dziennikarstwa, jeden z przywódców stronnictwa ludowego i długoletni szermierz, a także męczennik sprawy narodowej oraz p. dr. Maryan Seyda, pierwszy fachowy dziennikarz naszego zaboru, rokujący jaknajlepsze nadzieje. „Kuryer Pozn.“ abonuje prze-

ważnie młodsze duchowieństwo i zawodowa inteligencya.

Nakład 2,000.

8. „*Nowiny Lekarskie*“ redagują wraz z Komitetem p. radzca dr. Święcicki, powaga na polu lekarskim i dr. Stanisław Łazarewicz. Jest to organ lekarzy, rozchodzący się także na Królestwo i Galicyą; w zaborze pruskim wytworzył on zdumiewającą łączność między lekarzami; w Poznaniu na 60 lekarzy Polaków schodzi się stale większa połowa w swym własnym lokalu, który dzięki ofiarności p. dr. S. urządzony został z komfortem i jednoczy w swych murach zawodowców, między którymi dawno już tak pocieszającej łączności nie było, jaka panuje obecnie.



Ks. Szambelan Kłos
redaktor „Przewodnika Katolickiego“
ma 2 procesy o § 110.

Nakład 1 000.

9. „*Orędownik,*“ znany nam wszystkim od lat 36-ciu dawniej własnością był wyłącznie p. dr. Szymańskiego, który jako członek spółki „Nowej Drukarni polskiej“ i dziś jeszcze jego jest współwłaścicielem i głównym kierownikiem. Zbytecznem byłoby opisywać zasługi pisma tego w czasie walk stronnictwa ludowego z konserwatystami; wystarczy wspomnieć, że „Orędownik“ podniósł wysoko poziom naszego drobnego mieszczaństwa i dziś jeszcze pod redakcyą pp. Józefa Goździewicza i Bolesława Marchlewskiego dzierży wytrwale sztandar stronnictwa. Redaktor odpowiedzialny „Orędownika,“ i „Kuryera Poznańskiego“ p. K. Ziółkowski ma kilkanaście procesów o strajk szkólny.



Józef Szmyt
redaktor „Wielkopolanina“, ma 15 procesów o § 110, internowany przez 3 miesiące w fortecy za „obrazę majestatu“.

Nakład 5,000.

10. 11. „*Gazeta Narodowa*“ i „*Głos polski*“ wychodzące w tej samej oficynie i redagowane w duchu stronnictwa ludowego, rozchodzą się przeważnie na Emigracyi.



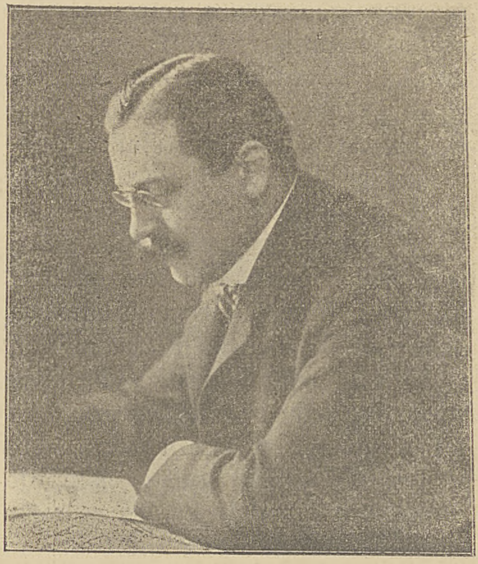
Walery Łebiński
redaktor naczelny „Wielkopolanina“.

Nakład 4,000.

12. „*Poradnik Gospodarski*“ jest organem „Kółek Rolniczych,“ a redaguje go p. Kaźmirz Brownsford ze znajomością fachową i wytrwałą konsekwencyą potrzebną przy pracy nad ludem. „Poradnik“ ma wielkie zasługi wobec gospodarza polskiego, który się z niego nauczył, że trzeba się zabezpieczać od ognia, gradobicia, zarazy bydła i t. d., by nie popadać w ruinę i nieszczęście.

Nakład 6,000.

13. „*Postęp,*“ niegdyś własność śp. Stanisława Knapowskiego, a dziś jego spadkobierców, wywiesił pierwszy jawnie i otwarcie hasło antysemickie; wspomnieć dziś żydowi w Poznaniu o „Postępie,“ a zaraz mu skóra ścierpnie.“ W statystyce zmniejszenia się liczby żydów w Księstwie z 76,000 (1849) na 28,000 (1905 r.) poczynił „Postęp“ bezsprzecznie szczerby, za któreby go żydzi w łyżce wody utopili, a za które wdzięczne mu jest kupiectwo polskie po naszych miasteczkach. Redaguje go od szeregu lat p. Stefan Chociszewski z żelazną konsekwencyą; właściciele do działu inseratowego nie wpuszczą żyda za żadne pieniądze. Pan Julian Trocha redaktor odpowiedzialny „Postępu“ otrzymał dotąd 23 zapozwów na sąd w sprawie strajku i został niedawno temu aresztowany, lecz sąd nie pochwalił postępku p. prokuratora i wypuścił go znowu na wolność.



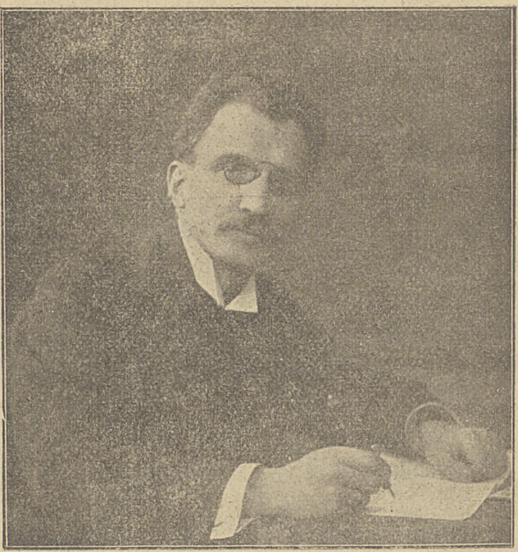
Idzi Świtała
naczelny redaktor „Pracy“ ma 6 procesów o § 110
skazany na miesiąc więzienia.

Nakład 8,000.

14. „*Pracę*“ — Czytelnicy, znacie!

Nakład 13,000.

15. „*Przegląd Kupiecki*“ redagowanym jest przez Komitet złożony z „Młodzieży kupieckiej.“ Młody ten raźnie redagowany organ kupiectwa stanie się niewątpliwie kiedyś ważnym czynnikiem zespolenia i odpolszczenia naszego kupiectwa, które tu i owdzie zarażone jest materyalizmem, a często



Michał Majerski
redaktor „Przyjaciela Ludu“ ma 15 procesów o § 110
karany za „przestępstwa prasowe“.

tchórzostwem na polu pracy społeczno-narodowej. Ta generacya, która dziś redaguje i czytuje „Przegląd“ nie pójdzie z pewnością w ślady materyalistów i egoistów, lecz na lepsze i godniejsze kupiectwo nasze poprowadzi tory.



Ks. kanonik Stanisław Adamski
redaktor „Robotnika“, ma proces o § 110, (strajk szkolny).

Nakład 2,000.

16. *„Przegląd gorzelniczy“* organ gorzelanych Księstwa i Prus Królewskich redaguje p. Stefan Piekucki z Obrowa, jeden z najdzielniejszych i najinteligentniejszych naszych zawodowców na tem polu. Jest to pismo barwne i bardzo pouczające to też nie ma gorzelnika i właściciela gorzelni, ktoryby z „Przeglądu“ nie czerpał wiadomości i nauki.

Nakład 600.

17. *„Przemysłowiec“* jest organem „Związku Towarzystw Przemysłowych;“ związek ten liczy około 80 towarzystw i w nich to rozchodzi się pismo to fachowe, które zapoznaje przemysłowca z prawem handlowem, działalnością izb rzemieślniczych i t. d. Redaktorem jest p. Dyonizy Królikowski zarazem najlepszy znawca języków słowiańskich w Poznaniu. Płody pióra swego publikuje w „Przemysłowcu“ także p. Teodor Filipowicz.



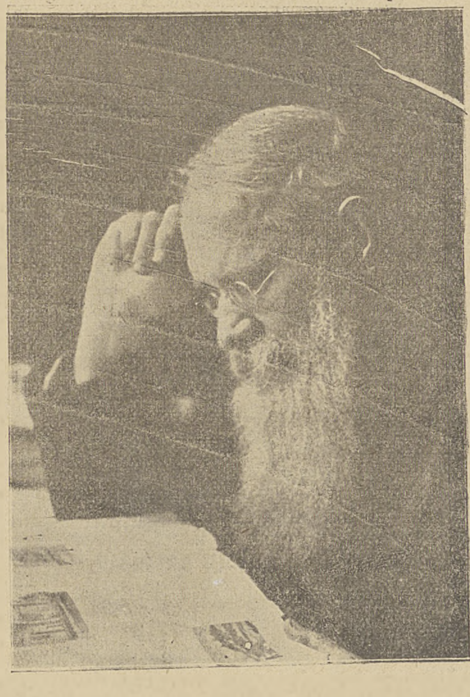
Józef Goździewicz
redaktor „Orędownika“.

Nakład 2000.



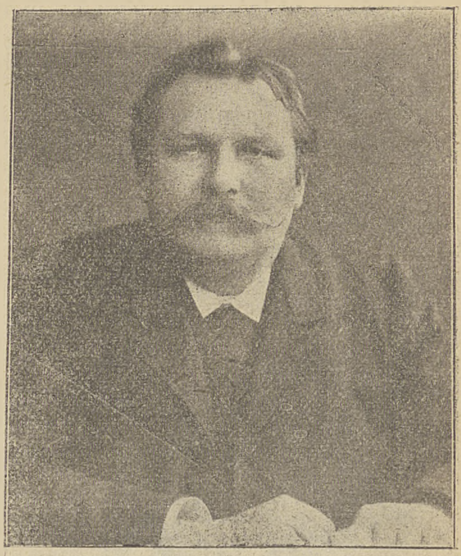
Dr. Maryan Seyda
redaktor „Kuryera Poznańskiego“.

18. *„Przyjaciel ludu“* niegdyś własność rodziny ś. p. J. Fr. Tomaszewskiego redagowany jest obecnie przez p. Michała Majerskiego, byłego redaktora „Gazety Grudziądzkiej.“ Pismo odznacza się stylem ludowym, popularnym, jaki dziś u naszych dziennikarzy nadto natrafić można, i zaletę posiada drugą nie mniej ważną, iż nie przyjmuje inseratów od żydów; współdziała zatem z „Postępem,“ „Pracą“ i „Przewodnikiem katolickim.“



Bolesław Rakowski
redaktor „Pracy“, ma proces o § 110.
Kilkakrotnie karany za „przestępstwa prasowe.“

Nakład 7,000



Stefan Chociszewski
naczelny redaktor „Postępu“.

19. *„Przewodnik Katolicki“* pismo religijne, potrącające czasem w „Janku Obleciświacie“ we formie gawędy o sprawy polityczne i społeczne, redaguje ks. szambelan Kłos. Pismo to znajduje się prawie w każdym domu a duchowieństwo stara się o jego rozpowszechnianie, wiedząc, że nasza dziatwa uczy się na niem czytać.

Nakład 65,000.

20. *„Robotnik“* organ Związku Tow. robotniczych polskich, stojących pod patronatem duchowieństwa, wychodzi od lat dwóch i zjednał sobie pod redakcyą X. Stanisława Adamskiego liczne koło czytelników. Wartość pisma uwydatnia się mianowicie na kresach, gdzie „Robotnik“ broni lud roboczy polski od zakusów germanizacyjnych.



Dyonizy Królikowski
redaktor „Przemysłowca“ i „Dziennika Pozn.“

Nakład 15,000.

21. „*Ruch chrześcijańsko-społeczny*“ także będący pod protektoratem i redakcyą przeważnie duchowieństwa, czytany jest przez inteligencyą i zawie-



Karol Rzepecki
redaktor „Sokoła“
ma proces o Zlot w Miłosławiu.

ra często cenne rozprawy z dziedziny przejawów społecznych.

Nakład 2,000.

22. „*Siła*“ pismo „Związku zawodowego polskiego, „redagowane przez lekarza C. Rydlewskiego, za mało doznaje poparcia ze strony inteligencyi i pracobiorców naszych, dla których jest właściwie założone. Każdy członek „Związku“ otrzymuje je bezpłatnie. Walczy wytrwale z socyalizmem i jego organizacyą tak zw. „związkiem centralnym“. Zważywszy, iż liczba głosów socyalistycznych w Księstwie i Prusach król. podskoczyła z roku 1898 do roku (wyborów parlamentarnych) 1903-go z 12,000 na 23,000, to



Bolesław Marchlewski
redaktor „Kuryera Poznańskiego“.

znaczy się podwoiła, należałoby „Siłę“ stanowczo popierać i propagować.

Nakład 4,000.

23. „*Sokół,*“ organ Związku Sokołów polskich w państwie niem.“ redagowany przez „Komitet“ i sekretarza Związku druha Karola Rzepeckiego miał w roku założenia 650 abonentów. Cyfra ta rosła stopniowo na 850, 1300, 1,800 a dziś „Sokół“ liczy do 2,200 abonentów. Pismo to miesięczne przyczyniło się wielce do niebywałego rozwoju Sokolstwa polskiego w zaborze pruskim, które dzisiaj mimo ustawicznych walk z władzami i prześladowania liczy 6,000 członków w przeszło 160 gniazdach. Nasze „Sokolstwo“ w zaborze pruskim jest tem dla społeczeństwa, czem legion X. był dla Cezara i Rzymu; najlepsi z niego wychodzą agitatorzy i organizatorzy. Odbija się to znamię na jego organie.

Nakład 2,500.



Zygmunt Marweg
wydawca „Gwiazdy“ i „Krainy Powieści“;
karany za „podburzanie do gwałtów“!

24. „*Wielkopolanin*“ pismo akcyjne ziemian wielkopolskich i burżuazyi poznańskiej redagowane przez pp. Walerego Łebińskiego i Józefa Szmyta jest pismem dla ludu. Jego „dział prawniczy“ jest prawdziwem dobrodziejstwem dla warstw ubogich nie mogących opłacać obrony prawnej. Pan Józef Szmyt odpowiadał za wierność dla sztandaru narodowego grzywnami, raz nawet osadzono go w fortecy Wisłoujścia za „obrazę majestatu.“

Nakład 12,000.

25. „*Ziemianin*“ pismo fachowo-rólnicze dla inteligentnego ziemiaństwa naszego od lat dawnych popierane przez szlachtę wielkopolską ma rozgłos — nawet poza granicami zaboru. Redaktorem jest po śmierci ś. p. Koszutskiego p. dr. Wacław Swinarski, współpracownik „Dziennika Poznańskiego.“ Z 900 majątków szlacheckich Księstwa, jakie były przed 15-tu laty w ręku polskiem zostało wprawdzie tylko około 600 w naszem ręku; za to gospodarzymy się dzisiaj lepiej i oszczędniej, a wiele zasługi ma w tem „Ziemianin.“ którego nie brak w żadnym inteligentnym domu szlacheckim.

Nakład 2,000.

Dziennikarstwo poznańskie pusz-



Kaźmierz Brownsford
redaktor „Poradnika Gospodarskiego“.

cza w świat bądź to codziennie bądź też peryodycznie około *180,000* egzemplarzy, a więc właśnie tyle ile Księstwo głosów oddało w czasie ostatnich wyborów do parlamentu. Dziwne to a raczej dość logiczne porównanie: kto uświadomiony ten ma pismo i na odwrót, kto w domu nie ma pisma polskiego ten biernym tylko jest Polakiem.

Rząd pruski doznawszy już nieraz potęgi prasy polskiej rozpoczął z okazyi strajku szkólnego specyalne, systematyczne gnębienie prasy poznańskiej i prowincyonalnej. Z pism politycznych nie ma ani jednego, które by nie



Kaźmierz Ziółkowski
redaktor odpowiedzialny „Orędownika“ i „Kuryera
Poznańskiego“, ma 18 procesów o § 110.

miało całego szeregu procesów, nawet fachowe jak „Robotnik“ i kościelne jak „Przewodnik Kat.“ staną niebawem w osobach XX. Adamskiego i Kłosa za

kratkami sądu pruskiego. Zdaje się, że rozpocząwszy karami pieniężnemi przejdą sądy niebawem do ferowania kar ciężkich więziennych a za niejedną z wizerunkowanych osobistości zapadną niestety ciężkie bramy pruskiego więzienia.

To też społeczeństwo powinno wytrwale popierać usiłowania prasy, powinno zrozumieć apel pism życzący propagowania haseł i jednania pismom nowych czytelników. Ciężkie dla niejednego wydawnictwa nastały obecnie zaprawdę chwile i jeżeli czytelnicy nie popią prasy polskiej to szeregi bojowników pióra przerzedzą się i taki owaki legnie na wyłomie, którego bronił jak mu obowiązek nakazywał, wiernie i wytrwale... usque ad finem... do końca!



Wincenty Szpotański
odpowiedzialny redaktor „Gońca Wielkopolskiego“ ma 20 procesów o § 110.

Życzymy szczerze pismom polskim aby im żaden abonent na Rok Nowy nie odpadł, życzymy raczej by każdemu przybyło choć z tysiąc abonentów, a taki wzrost nakładu ogólnego do 200,000 najlepszą dla Prusaków będzie ludu polskiego odprawą!!

Vester.

Najprzewielebniejszy ks. Józef Teodorowicz,

Arcybiskup ob. ormiańskiego we Lwowie.*)

Nigdy nie mamy przyjaciół za dużo. Naród polski ma ich tak mało, właśni synowie przechodzą na inny obrządek, łączą się z naszymi przeciwnikami i wrogami stają się ojczyzny. Jakże więc cieszyć się należy, że w ks.



Dr. Wacław Swinarski
redaktor „Ziemianina“ i „Dziennika Poznańsk.“

Arcybiskupie ormiańskim, Teodorowiczu mamy szczerego i prawdziwego przyjaciela narodu polskiego, który lepiej i skuteczniej pracuje dla dobra ojczyzny, aniżeli niejeden z rodaków.

Zaprawdę powiedzieć można o nim, że jest z rodu Ormianinem, z narodowości Polakiem, i to dzielnym Polakiem.

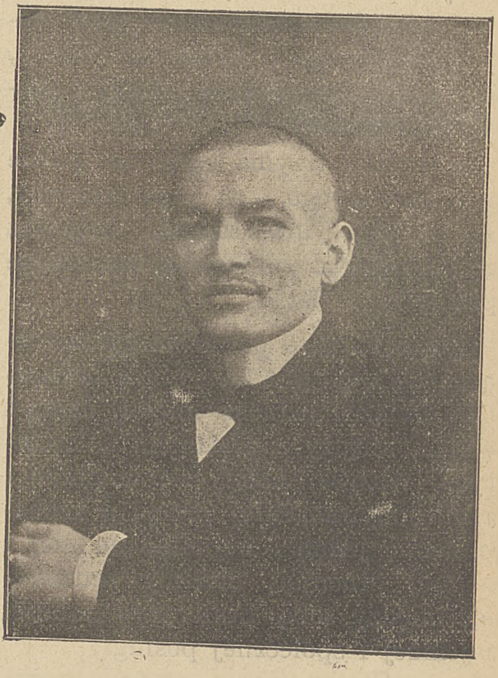
Urodził się w Żywaczowie, w powiecie kolomyjskim w roku 1864. Mając lat pięć stracił ojca, wychowaniem zaś



Stefan Hoffmann
redaktor „Gońca Wielkopolskiego“.

Józefa zajęła się matka Gertruda z Obanowiczów, kobieta wielkiej zacności i dobroci serca. Gimnazyum niższe skończył w Kolomyi, wyższe w Stanisławowie w r. 1882.

Otrzymawszy świadectwo dojrzałości zapisał się na wydział prawniczy w uniwersytecie czerniowieckim, gdzie przebywał półtora roku. Wkrótce zrozumiał, że gdzieindziej go wzywa Bóg, że praca w owczarni Pańskiej jego przeznaczeniem. Wstąpił do seminaryum duchownego we Lwowie, skończył na tamtejszej wszechnicy wydział teologiczny, i w roku 1887 otrzymał święcenia kapłańskie. Teraz oddał się z całym zapałem swemu zawodowi. Był wikarym przy katedrze ormiańskiej we Lwowie, a później przy kościele parafialnym w Stanisławowie. W roku 1890 został proboszczem w Brzeżanach. Tam oddał się ulubionej przez siebie pracy w kierunku społecznym i kaznadziejskim. Nędzy społecznej starał się dopomódz powołując do życia dobroczynne instytucye, nędzy moralnej przez kazania, rekollekcye i



Julian Trocha
redaktor odpow. „Postępu“, ma 23 proces. o § 110. (aresztowany).

nauki przygodne. Na każdą prośbę, na każde zawołanie spieszył ks. proboszcz ze słowem nauki, rady, pociechy, aby tylko uszczęśliwić dusze łaknące słowa Bożego i pozyskać je Chrystusowi.

W roku 1896 powołany na kanonika gremialnego kapituły ormiańskiej wrócił do Lwowa, i tu dalej pracował po misyonarsku na ambonie żywem słowem, w gazetach pisanem. Ksiądz i gazeta dochodzi tam, gdzie nie dochodzi głos kaznodziei, wielką zasługę ma kapłan, który artykułami odpowiedniemi poucza naród gdzie prawda i gdzie kłamstwo; którędy nam iść potrzeba, aby dojść do celu, jaki nam wskazuje Bóg i ojczyzna.

Gdy przez śmierć ks. arc. Izaakowicza osierocił tron arcybiskupów ormiańskich we Lwowie, oczy wiernych i społeczeństwa polskiego zwróciły się ku ks. Józefowi. On był najgodniej-

*) Portret ks. arcybiskupa Teodorowicza, który brał udział w pogrzebie śp. ks. arcybiskupa dr. Stablewskiego i był przyjmowany przez ludność poznańską ostentacyjnie z głośnemi oznakami czci, uwielbienia i szacunku, zamieściliśmy w nr. 49-ym „Pracy.“ — Przyp. Redakcyi.

szym z pośród duchowieństwa, aby zasiąść na stolicy arcybiskupiej, on najodpowiedniejszym, aby dzierżyć pastorał rządów dyecezyalnych,, on najrozumniejszym, aby rzucać iskry światła i prowadzić za sobą wiernych. Ogólnemu życzeniu stało się zadość. Ojciec św. za zgodą cesarza Franciszka Józefa wyniósł ks. kanonika do godności arcybiskupiej. Konsekracya i intronizacya odbyła się 2 lutego 1902 roku.

I nie omylił się ów powszechny głos ludu. W osobie ks. arcyb. Józefa znalazł on arcypasterza według serca Bożego, arcypasterza, który go rozumie, z nim współczuje, współboleje i współpracuje dla zdobycia lepszej doli w przyszłości. Na ambonie, na trybunie sejmowej i piórem wszędzie jest czynnym, wszędzie natchnionem głosi słowem, jaką drogą i dokąd iść mamy, chcąc ocalić narodowość polską i zbawić swoje dusze!

Trzymał i trzyma rękę na pulsie życia narodowego, zna jego potrzeby, odczuwa jego nieszczęścia, więc dla tego tak mądrze przemawia, tak dobrze i praktycznie radzi.

Oto co mówi o potrzebie zjednoczenia narodowego: Przez wiarę zadzierży się związek jedności między chatą i dworem, między warsztatem a kancelaryą. Wszyscy mamy iść w pługu i jarzmie obywatelskiej pracy, a kochając ziemię jedną i wspólnie na niej i dla niej pracując, musimy zadzierżgnąć między sobą braterstwo miłości wzajemnej i społecznej posługi czyzny. Starsza braci, czyście zrozumieli, jakiego współdziałania domaga się od was sprawa ludowa obecnej chwili? Czy miłowanie ludu nie odbywało się wyłącznie podług waszej recepty, zamiast cobyście mieli wnikać w serca ludu, i w danej chwili to mu nieść, i tak mu nieść jak tego domaga się jego dojrzewanie intelektualne, socyalne i polityczne... A ty ludu niecierpliwisz się, że zrozumienie twoich potrzeb nie jest dość szybkie, dość powszechne, i dość głębokie. Czy zniechęcałeś się tam gdzie trzeba było czekać? Czy nie zrywałeś niepotrzebnie pomostu z tymi, z którymi cię tyle węzłów łączyło? Czy nie rzucałeś się niebacznie w objęcia tych, co umieli cię mamić świetlnemi hasłami? Zawiniliście tak jedni jak drudzy. Padnijcie sobie w objęcia, niechaj się usuną chmury braterskiej waśni i zawiści, niechaj oświeci was jasny promień rozumu nieuprzedzonego i będzie dla nas zwiastunem jedności i zgody! W sprawie szkolnej tak poucza: Związek szkoły i Kościoła nie może zależeć od wszechwładztwa państwa, które w nym kierowali socyaliści żydzi i anarchiści, bolał nad tem, bo czuł, że zwydziedzinę duchowną wprowadza ciasny biurokratyzm i despotyzm. Pośród systemów zmiennej polityki wchodzi Kościół jako wahadło regulujące wielki mechanizm zegaru społecznego, i stara się na polu szkolnictwa o to, ażeby kształcąc ucznia na obywatela państwa nie zapomniano, że ma być on także obywatelem nieba; i ażeby człowiek wiedzą nadęty zwracał się ku górze z wiarą i ufnością, pamiętając o tem, iż nie samym chlebem żyje człowiek, i nie tylko ziemi przynależy. Prawdą jest, iż młodzież przyszłością jest Kościoła i ojczyzny, ale i to jest prawdą, że rodzina i szkoła zespolić się powinna pod sztandarem Kościoła, i że w wspólnem, godnem współdziałaniu tych czynników spoczywa przyszłość młodzieży. Zalecając pracę nad ludem, nawołuje do wydawania dobrych pism ludowych: Dzisiejsze pisma ludowe nie zaspokajają w niczem, albo zaspokajają bardzo skąpo te tysiączne interesa, obudzone w ludzie przez aspiracye, które z nowemi prądami kiełkować w nim poczęły. Pismo ludowe musi chwycic tę ideę, która zainteresowanie budzi ludu. Nie ma być zbiorem nowinek, lecz winno mieć ideę zdrową, która ma na oku interesa ludu. Pismo ludowe musi stać na straży szłusznych praw ludu. Bez tego nie zadowoli żołądka, który przyzwyczajony do rzeczy ostrych, dostaje rzecz mdłą, bez soli, bez zaprawy. Wychodzimy u nas ze zasady patryarchalnej nietraktowania z ludem o kwestyach lud obchodzących, dla tego to pisma ludowe nie posiadają tego tonu, jakim się można dostać do duszy ludu.

W roku 1905-tym odbył się wiec katolicki we Wiedniu. Katolicy rozmaitych narodowości zgromadzili się w stolicy państwa i pod przewodnictwem 20 biskupów, arcybiskupów i kardynałów radzili nad poprawą opłakanych stosunków państwa. Na ostatniem posiedzeniu plenarnem miał ks. arc. Teodorowicz mowę zatytułowaną: „Ojcze nasz dzisiejszej cywilizacyi.“ Mowa uznaną została przez zgromadzonych i prasę jako najlepsza i najdonioślejsza ze wszystkich 8 przemówień wiecowych, godna uwagi i studyowania. Nowożytny człowiek dąży do tego, aby zgasić blask imienia Bożego i woła: święć się imię moje! Cywilizacya uniesiona swemi zdobyczami rzuca się w ramiona geniusza pychy i woła: święć się imię moje! Nowożytne państwo gnębi narodowości lub podburza je przeciw sobie, aby panować, aby je wszyscy obsługiwali. Ono w imię racyi stanu dopuszcza się gwałtów i wyzysków, ono apoteozuje każdą nieprawość, bo jej celem jest: przyjdź królestwo moje! Człowiek oświecony wydyma się pychą i nie chce już być tem, czem go Bóg stworzył, ale nadczłowiekiem. W szale swoim wznosi się jeszcze wyżej i zajmując tron Najwyższego, woła: bądź wola moja, jako w niebie tak i na ziemi!

Karmiliśmy lud nie chlebem powszednim, ale zatrutym chlebem indywidualizmu. Nasycony nim lud ubóstwia siebie samego i za cel stawia siebie. Oprócz chleba materyalnego trzeba ludowi dać także chleb duchowy. A więc piszcie dobre książki, dobre gazety, zakładajcie stowarzyszenia, które kształcą i o potrzebach pamiętają opuszczonych. Wprowadzajcie Chrystusa we wszystkie arterye życia obecnego i odnawiajcie wszystko w Chrystusie, wszystko, a więc pokarm duchowy, to jest literaturę, sztukę, filozofię, nauki i prawodawstwo.

Biedna cywilizacyo dzisiejsza, choć błyszczysz promieniami kultury, ale nie masz pokarmu właściwego, i łakniesz ciepła! W cywilizacyi dzisiejszej główną rolę grają namiętności, krytycyzm i miłość własna. Człowiek je musi opanować, zniżyć się do własnej nicości i z pokorą zawołać: — Odpuść nam nasze winy! Samowiedza i zbytnia ufność w swe siły przywodzi ludzi do upadku. Proś więc. — Nie uwodź nas na pokuszenie. Chroń nas przed nami samymi i wybaw nas ode złego! Europa niechaj wybiera między krzyżem Chrystusa a sztandarem przewrotu. Do dobrego wyboru trzeba modlitwy Pańskiej. Ona była kolebką i ona nam daje siłę, jakiej ani dyplomacya, ani armia dać nie mogą. Niechaj katolicy na wskroś się przejmą duchem modlitwy Pańskiej, a przewodniczyć będą całej ludzkości, która zjednoczona pod sztandarem Chrystusa, zawoła u bram wieczności: Amen.

List Ojca św. Piusa X do biskupów polskich pod zaborem rosyjskim był przez ogół źle zrozumianym. Podejrzeniom, niechęciom, intrygom nie było końca. Nieprzyjaciele polskiego narodu wyzyskiwali sposobność, aby rozdmuchać nieporozumienie. Chcąc kres położyć wywrotowym robotom, udał się ks. Arcybiskup do Rzymu, a na osobnej audyencyi 27 grudnia 1905 roku wytłumaczył mu Ojciec św. właściwą intencyą listu, który źle na polskie tłumaczony, źródłem był tylu kwasów i goryczy.

Papież widząc zło, jakie panoszyło się w Rosyi, gdzie ruchem rewolucyj-

cięstwo takiej rewolucyi oddziała szkodliwie na chrześcian nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Biorąc asumpt z dzisiejszych stosunków kreśli program, który sięga po za dzisiejszą dobę, zalecając zespalać się ludziom dobrej woli, działać w duchu sprawiedliwości i miłości, nieść materyalną pomoc ludowi, wychowywać należycie młodzież, zwoływać synody i t. d. i t. d. W ten sposób można odnowić ducha narodu w myśl nauki Chrystusa.

Aby najmniejszej nie było niewątpliwości co do zamiarów i intencyi Ojca św., spisał ks. Arcybiskup to, co słyszał z ust papieża, podał mu do przeczytania, a gdy Ojciec św. zatwierdził to sprawozdanie, ogłosił je publicznie w gazetach. Otóż Ojciec św. pisząc do biskupów polskich w Rosyi, miał na oku wszystkich katolików w Rosyi. Podobnie św. Paweł przemawiając do poszczególnych miast, dotyka różnorodnych objawów zła całego kraju, do którego owe miasta należą, chociaż mu same nie podlegają.

Ponieważ Polacy w Rosyi niejednokrotnie stwierdzili, że z rewolucyą łączyć się nie chcą, a dążą jedynie do odzyskania swych praw obywatelskich, pragnął Ojciec św. niektóremi wskazówkami i przestrogami umocnić ich na przyszłość, aby rosnąc w cnoty stali się przykładem i wzorem dla drugich. — Ulegać władzy o ile potrzeba, o ile ta władza działa zgodnie z prawem Bożem i ludzkiem. Mówiąc o strejkach czyli stawkach, zaznaczył, że ich jest za dużo i dla tego zamiast pożytku przynoszą szkodę. Chcąc pomódz robotnikom, trzeba ich lepiej zorganizować.

W sprawie szkolnej przypomniał, że z jednej strony młodzież szkodę ponosi, opuszczając wykłady, z drugiej strony obowiązkiem jest walczyć legalnemi środkami, aby odzyskać dobrą szkołę na katolickiej zasadzie i tradycyach narodowych. Wiedząc, że do przeprowadzenia słusznych żądań polskich tak religijnych jak narodowych potrzeba wielkiej energii i silnego poparcia zbiorowego, nawołuje do łączności i organizacyi, do walki skutecznej o wiarę i ojczyznę.

Kiedy ks. Arcypasterz odczytał to wyjaśnienie, Ojciec św. kilkakrotnie powiedział: — Taką była moja intencya, zatwierdzam sprawozdanie i dziękuję Ci że mi dałeś sposobność objaśnić prawdziwe moje względem Polaków zamiary.

W uznaniu rozlicznych prac i zasług mianował cesarz Najp. ks. Arcybiskupa w roku 1906 tajnym radcą i Ekscelencyą.

A teraz jedno rzuca się w oczy pytanie: — Ks. Arcybiskup tak poczciwie pracuje dla narodu polskiego; tak piękne głosi zasady, zapewne też wszyscy za nim idą i falanga jego stronników liczy się w nieskończoność. Tymczasem tak nie jest! Dla czego? Wiele jest tego przyczyn, a najważniejszą to ów egoizm wybujały, który nie zna żadnej reguły, tylko swoje samolubstwo i wola zapamiętałe „bądź wola moja“. Tylko duch ofiary potrafi zbudować dzieło trwałe i pożyteczne, tylko duch karności i łączności potrafi zbudować gmach potęgi narodowej. Więc my nadludzie, nadsamoluby i nadpatryoci, uderzmy się w piersi i powiedzmy sobie prawdę w oczy. Na wojnę nie idą sami generałowie, ale masy żołnierzy. Chciejmy być owymi dzielnymi żołnierzami, idźmy za głosem generałów, idźmy za rozumnym sztandarem Najprzew. ks. Arcybiskupa, a wtedy zwyciężymy, wtedy dla sprawy narodowej wywalczymy lepszą przyszłość!

„Kalendarz rodzinny.“

Arcybiskup francuski o Polakach.

W ubiegłym tygodniu obchodzono w klasztorze Urszulanek w Thildonek (w Belgii) niezwykłą uroczystość z powodu odwiedzin arcybiskupa z Malines, Józefa Desire Mercier. Celem jego przybycia było udzielenie Sakramentu bierzmowania uczennicom wymienionego zakładu.

Sale i korytarze przybrane w chorągwie różnych narodowości, wieńce i barwy papieskie, tworzyły malownicze obrazki rodzajowe.

Nie brakło tam i naszych polskich chorągwi narodowych, których widok podnosił nadzieję serc młodych a już cierpiących nad niedolą ojczyzny. Przy każdej chorągwi widniał napis w stosownym języku, przy polskiej słowa: „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie“.

Po ukończonym obrzędzie Bierzmowania, udano się na salę, by powitać arcybiskupa Mercier śpiewem choralnym na trzy głosy. — Później, pięć uczennic (Polka, Francuska, Angielka, Flamandka i Niemka), ubranych biało z szarfami w barwach narodowych, witały ks. Arcypasterza, każda w swej mowie ojczystej. — Gość przewielebny, wysłuchawszy życzeń z wielkiem zajęciem, najpierw zwrócił się do Polki, prosząc o odczytanie jego podziękowania, ponieważ sam nie włada językiem polskim.

„Jestem bardzo wzruszony — mówił — pozdrowieniem, z jakiem zwracasz się do mnie w języku polskim. Ja kocham Polskę, kocham ten kraj szczerze katolicki. Polacy, których znałem, nie tylko utwierdzili mię w tem uczuciu, ale zniewolili mię do ceniania go coraz bardziej. Jestem zadowolony, że mogę ci to powiedzieć w języku tych Polaków, którzy dokonali tak wiele dla wiary i którzy teraz są także podziwem dla katolików całego świata. Serdecznie ci dziękuję za życzenia i chcę widzieć Polskę spokojną, błogą oraz wierną w wierze.“

W słowach tych przebija niemała sympatya do narodu polskiego, to też mimo, że czuć w nich tłómaczenie, zostały przyjęte przez Polki z szczerym zapałem i wdzięcznością, i pozostaną dla nich na zawsze miłem wspomnieniem.



Pociecha.

Nie skargami i nie łzami,
W kres wznioślejszy dążyć nam;
Łza i skarga jak łza psami,
Nie przemoże piekła bram.

Jeśliś prawdzie przysiągł wiarę,
Pod jej znakiem walkę wiódł:
Dziś choć gorzką pijesz czarę,
Dla potomków składasz miód.

Oj! nie trudem kilku chwilek
W świat atomy można zlać;
Szczęście wspólne — nie motylek,
Wieki rośnie, aby trwać.

Źle na losy zdać się z wszystkiem;
A gdy zdasz na losy coś,
To coś jeszcze pal ogniskiem
Własnej siły, duchem wznoś!

Lucyan Siemieński.

Wspomnienie szkolne.

„Co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!“ — Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkiem mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem — przed

dwudziestu laty, za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawił.

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Gietyngi, (nie pamiętam czy doktor filozofii czy nie doktór — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi profesorami) pan Berendt, i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazyum poznańskiem. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionej postaci nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamaszy sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików, mówię wyraźnie siedm, bom je nieraz rachował przemyśliwając, jakimby to sposobem kilka oberznąć; — zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moją figlarną na zwsze utrwalić:

„O ty co bujasz wesoło po jasnej Niebios przestrzeni,
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,
Serce cię moje chwytało,
Wysoka chwało!“

Co za tryumf!?... gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć. — Już nawet skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor, i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego mej powieści celu: — siódmego stycznia, nazajutrz po trzech królach, przybiegłem rychło do zakrystyi, pragnąc służyć do mszy studenckiej, — a lubo nie bardzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tylko końcówki: „per Dominum Deum nostrum“ „sanctae!“ głośno wymawiałem — jednakże natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę — aż tu już pięciu kandydatów kłóci się o pierwszeństwo.

Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargoce? *„die erste Abtheilung der deutschen Literatur“ „ruhig!“* — *„ruhig!“* — i zawsze *„ruhig!“* — zupełnie, jak gdyby ktoś szczotką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął „hajdamaku!“ na całą godzinę było cicho, i chociaż często dał żelaznych karmelków*) milej przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfus to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on też uczony! Kaulfus i Casius należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta rozumie? — zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił — „pierwszy oddział literatury niemieckiej poczyna się...“

— Ej, gadasz, on nas pierwej powinien nauczyć gramatyki — wokabuł a potem dopiero rozprawiać o literaturze. — Słuchaj Auguście! zróbmy mu dzisiaj figla; jak on zacznie „ruhig!“ to my się odezwijmy „Stille“ tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego, ty wiesz?...

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystyi, tylko poprośmy Walentego.

— „Mój kochany Walenty dajcie — dajcie — mnie i mnie“ jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystyan dał każdemu z nas po odrobince żółtego wosku.

Poważnie ozwały się organy — miły śpiew choralny ozwał się po świątyni pańskiej, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga — we farze poznańskiej — siedmset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę — bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, — nauczycielom troski i znoje nagrodził. Byłem i ja w pośród modlących się; zapomniałem o Berendtcie — myśl pozbyła się swawoli — pobożnie patrzyłem się na obrządek mszy świętej — i dopiero gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio — „czy masz wosk?“ — „mam“ odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8-ej do 9-ej był język polski — poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego; słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, i szybko, miło, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął profesor Berendt. — Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej jak siedm, — rachuję u lewej — nie dowierzam oczom moim, o radości! — sześć tylko. — Prawił tymczasem pan Berendt o Wielandzie; myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

„Ruhig!“ — „Stille!“ ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— Was ist das?

Harmonia woskowa zagrała.

— „Du ungezogener Bube!“ — schwycił mnie za kołnierz granatowego spencerka i silnie za drzwi wyrzucił. — Świeże powietrze owiało mnie; — Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiala się mówiąc: „już to znów na pokucie?“ Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając jak się tam moi koledzy popisują — i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowala, — ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu do mnie zagadał: „A cóż wilczku, wygnali cię z kniei — pewnoś baranka dusił?“ — „Nie księże profesorze! jam nic nie robil — i (skrzywiłem twarz moję w grymas płaczu) tylko pan profesor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem — a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.“ Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył na rościerz drzwi klasy i popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł: „Kopernik był Polakiem — jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości — proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Gietyndze, ale nie u nas...“ i wychodząc drzwi za sobą zatrzasnął. Berendt stał nieporuszony i niemy; — łoskot grzmotu nie jest tak głośnym, jak był śmiech i wrzask siedmdziesięciu chłopców! „Aha! sehen Sie Herr Professor! — nie będę marzł na zimnie“ i wyszczerzyłem zęby. — Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi; ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

Cóż? — zapytał przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika. — „Ksiądz profesor ledwie wyszedł — on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie

*) Był to przez rektora szkół poznańskich. księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszej. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku, — zwykł był mawiać: „dostałem świeże leslowskie z Warszawy karmelki“ i serdecznie kluczem, który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. — Bolało to, pamiętam, bardzo. — Panie świeć nad jego poczciwą duszą! — Miał on ksiądz nader groźną minę — marszczył czoło, jeżył czuprynę, fukał, dawał karmelki aż czasem łapka spuchła — a przecież my go z całej duszy, z całego serca kochali, i wiedzielimy dobrze, za co go kochamy.

przyznawają..." Nie dał mi dokończyć ksiądz dziekan — trzęsąc się ze złości wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy, i w najwyższem uniesieniu zawołał: — „Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie — a jeżeli nam pozazdrościli..." „Was wollen Sie damit sagen, Herr College!" — „Kopernik war ein Pole!" Wtem ukazał się ówczesny rektor Kaulfus: rzecz się wyjaśniła, — cenzor klasy zdał świadectwo, — pogodzili się przeciwnicy — i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem już tylko lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę — bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboka myśl tych wyrazów „co się dzieje w szkole, nie powiadaj! choćby cię smażono w smole!" do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo — długo po tem zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie wrocławskim moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często „czy Kopernik był Polakiem?"

A. Wilkoński.



Wychodźtwo doby obecnej.

Mniej więcej dwadzieścia minut od głównego portu hamburskiego, het za miastem na dalekiem odosobnieniu, zobaczysz wędrowcze, zdaleka pośród kompleksu budynków wysoką, niedokończoną wieżę. Gdy się zbliżysz, ujrzysz wielki napis: Hamburg-Amerika Linie. Są to t. zw. „Auswandererhallen" czyli hale dla wychodźców. Zastanówmy się pokrótce nad tem urządzeniem, które dla nas o tyle ma ogromne znaczenie, że przeważna i główna część naszych wychodzców tutaj się koncentruje i ztąd się za morze przeprawia.

Chcąc jednakże mówić o obecnym stanie owego założenia, musimy się cofnąć o kilka lat wstecz i zacząć od samego powstania ruchu emigracyjnego do Ameryki.

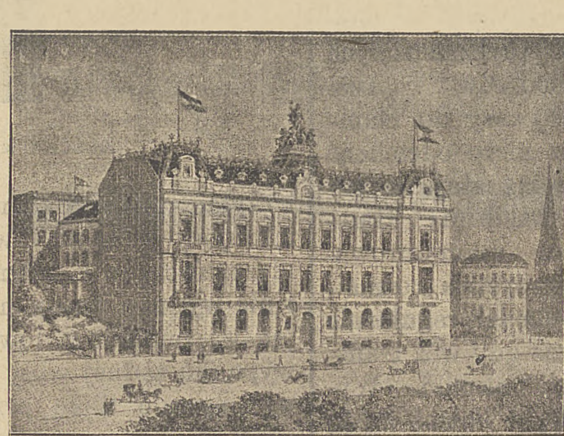
Jeszcze na początku dziewiętnastego stulecia stawiał rząd hamburski wielkie trudności wychodźtwu i odsyłał często całe gromady emigrantów bez wszystkiego do granicy pruskiej. Dopiero od r. 1837, w którym zostało wydane słynne „prawo o wychodźcach", datuje się regularne i przez władze sankcyonowane przeprawianie emigrantów statkami, żaglowcami i parowcami. W krótkim czasie jednakże napływ emigrantów był tak wielki, że ilość statków hamburskich okazała się niedostateczną, aby podołać regularnej ekspedycyi pasażerów. Wtedy to powstało w roku 1847 hambursko-amerykańskie Towarzystwo transportowe, znane dziś powszechnie pod nazwą: Hamburg-Amerika Linie, które obok przewozu towarów powzięło sobie za specyalne zadanie przewożenie emigrantów do Stanów Zjednoczonych. Jakie rozmiary emigracya przybierała z roku na rok, widzimy z następujących liczb statystycznych.

Emigrowało przez Hamburg:

w r.	z Prus i w ogóle Niemiec:	z Król. Polskiego i Rosyi:	z Galicyi i Austro-Węgier:
1871	30,261	2,393	1,171
1881	84,425	9,068	21,971
1891	31,724	76,741	20,793
1901	13,354	36,395	26,934
1903	20,238	47,558	58,928

Równocześnie powiększała się także odpowiednio flota hamburska.

Wielokrotne skargi i użalenia ze strony emigrantów na wyzysk agentów i podagentów spowodowały rząd hamburski do ścisłego unormowania całej emigracyi i ustalenia sposobu odstawiania emigrantów aż do samego Hamburga. Tak było surowo wzbronione zatrzymać emigrantów całemi gromadami na noclegach i wyprawiać ich w dalszą drogę wszelkim pokątnym agentom i posiedzicielom restauracyi i hotelów niższego rzędu, wogóle osobom, które nie miały wyraźnej w tym celu koncesyi ze strony władzy i towarzystwa. A ci, którzy ją mieli, byli zobowiązani wywiesić przepisane ceny za nocleg, potrawy i t. d., winni byli dbać pod każdym względem o wzorowy porządek — ściśle oddzielić mężczyzn od kobiet i dziewcząt i każdej chwili być przygotowanymi na kontrolę władzy. Ponieważ z czasem coraz więcej osób się trafiało pomiędzy wychodźcami z chorobami zaraźliwemi, przeto władze były zmuszone ostrzej jak dotąd wystąpić i ściślej kontrolować wszelkie stacye poczekalne i t. zw. domy noclegów. W tym celu rząd, chcąc zapobiedz szerzeniu zaraźliwych chorób, zaprowadził w każdem mieście, gdzie grupy emigrantów się zatrzymywały, ostrą kontrolę lekarską. Miejsca sypialne mogły być obsadzone tylko przez ograniczoną liczbę osób i musiały mieć odpowiednią wentylacyę. Doszedłszy w ten sposób do Hamburga, musiał każdy emigrant jeszcze raz przed dostaniem się na okręt po raz wtóry przejść kontrolę le-



Główny gmach towarzystwa H. A. L. w centrum miasta Hamburga.

karską, i to ściślejszą niż przedtem, aby jakiejkolwiek choćby i w słabem świetle się okazującej choroby nie wnieść na okręt.

Wszystkie te urządzenia i środki okazały się jednak niewystarczającemi, gdy napływ wychodźców w roku ośmdziesiątym i początkach dziewięćdziesiątego urósł do niezmiernej potęgi — tem bardziej, że właśnie w tym czasie grasowała w Galicyi i Królestwie ospa i cholera. Chciano wtedy granicę całkiem zamknąć dla wychodźctwa, ale zamiar ten nie dał się przeprowadzić. Musiano więc zastosować środki jak najostrożniejsze. Rząd niemiecki, idąc ręka w rękę z towarzystwem Hamburg-Amerika Linie, przeprowadził je nietylko w porcie hamburskim i bremeńskim, ale przedewszystkiem już na samej granicy. I to w ten sposób: urządzono na całej linii w głównych miastach, kędy prąd emigracyjny płynął t. zw. stacye kontrolowe. Stacye te, istniejące do dziś, są następujące: Bajohren, Eydkuhnen, Tylża, Insterburg, Prostki, Iłowo, Otłoczyń Toruń, Poznań i Ostrów; na Śląsku: Racibórz i Mysłowice, w Saksonii: Lipsk. Na każdej z tych stacyi jest rządowy lekarz i agent towarzystwa, — pierwszy dla kontroli sanitarnej, drugi dla wystawiania i kontrolowania papierów okrętowych i dalszego wysyłania pasażerów. Żadnemu z emigrantów nie wol-

no pod karą policyjną innej drogi wybierać jak tylko przez jedną ze stacyi wyżej wymienionych. (Odnosi się to naturalnie tylko do wszystkich wychodźców zagranicznych, a mianowicie i w pierwszym rzędzie z Królestwa i z Galicyi. W Niemczech wolno każdemu, o ile zadość uczynił swej służbie wojskowej, wyruszyć z domu kiedy mu się podoba i wybrać sobie drogę podług własnej woli; małoletni winni się okazać piśmiennem pozwoleniem rodziców.) Ostatnia i najważniejsza stacya, jaką emigranci przechodzą, jest w Ruhleben pod Berlinem. Tutaj podlegają wszyscy jeszcze raz ogólnej kontroli i rewizyi i dopiero po dezynfekcyi następuje dalsza ekspedycya w zamkniętych wagonach, przeznaczonych specyalnie „dla wychodźców“ (Auswandererzüge). Przybywszy do Hamburga, wychodźca już może odetchnąć lżejszem sercem. Pociąg staje w odległości 5 minut od hal linii: Hamburg-Ameryka. Kilku umundurowanych urzędników towarzystwa rozmaitych narodowości wychodzi regularnie po emigrantów, podczas gdy wóz transportowy przewozi ich pakunki. Wychodźcy zatrzymują się w halach aż do odejścia okrętu, a towarzystwo kontroluje i wystawia dla nich bilety okrętowe.

Mówiłem na wstępie o wysokiej niedokończonej wieży. Dla tego niedokończonej, że tow. H. A. L. powiększyło w tym roku t. zw. hale w dwójnasób z nakładem kapitału we wysokości półtora miliona marek, i budynki te są właśnie na ukończeniu. Rycina nasza przedstawia nam hale dotychczasowe t. j. stare.

Dawniej t. zn. w początkach wychodźctwa dojeżdżali emigranci wprost do miasta i tam mieszkali aż do odejścia okrętu. Ale od roku 1891, gdy rząd niemiecki obawiał się niebezpieczeństwa cholery i innych zaraźliwych chorób, dał rząd hamburski towarzystwu H. A. L. obszerny grunt za miastem dla pobudowania t. zw. „hal dla wychodźców,“ aby ich przez to zupełnie oddzielić od mieszkańców miasta. Lecz i te hale mogące pomieścić na raz 3—4 tysięcy osób, były wkrótce za szczupłe. Nieszczęście chciało, że w zeszłym roku skonstatowano u jednego z wychodźców z Królestwa wypadek cholery, który znów szerokie wywołał obawy. Teraz i rząd amerykański się odezwał: „potrzebujemy rąk i ludzi“ i oświadczył równocześnie, że nie przyjmie żadnego emigranta z Królestwa i z Rosyi, który nie przeszedł w Hamburgu czterodniowej kwarantanny. Towarzystwo H. A. L. (jak i Bremeński „Loyd“ i również towarzystwa w Antwerpii i Rotterdamie) musiało się zastosować do tego przepisu chcąc czy niechcąc zwłaszcza, że rada medycynalna domagała się przeprowadzenia kwarantanny. Przyjmowało więc do hal tylko poddanych rosyjskich, wysyłając resztę do miasta.

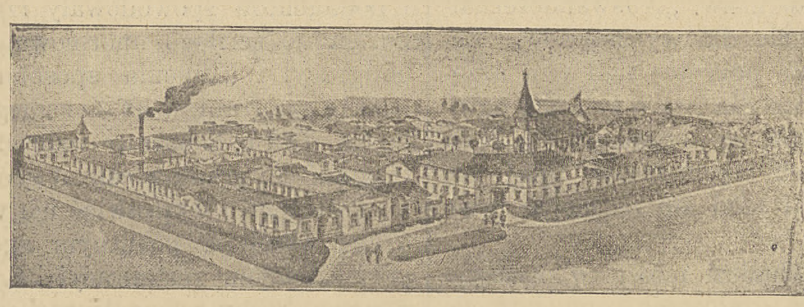
Można było z tego powodu słyszeć



Kościół katolicki i protestancki w środku zabudowania.

i czytać rozmaite skargi emigrantów, użalających się na towarzystwo, że ich niesprawiedliwie trzyma po kilka dni i nie wypuści nawet na miasto. Atoli, jak wspomniałem, towarzystwo w tym wypadku żadnej winy nie ponosi, gdyż wykonywało tylko przepisy swoje.

Kwarantanna została nareszcie zniesiona w czerwcu bieżącego roku, gdy się okazało, iż dalsze jej przestrzeganie nie ma żadnego celu. Emigranci muszą wprawdzie jeszcze i teraz mieszkać w halach, ale we wolności swej bynajmniej nie są krępowani. Przeciwnie o ile się przekonać można, stara się towarzystwo o wszelkie wygody dla nich. Wyraz hale właściwie jest nieodpowiedni, bo założenie to jest zbudowane na sposób pawilonów oddzielonych pojedyńczo od siebie i mieszczących po 12—24 łóżek. Wyznania i narodowości są ściśle odłączone. Potrawy przyrządzają się hygienicznie. Trzech lekarzy tow. i rządu spełnia codziennie swój urząd rewidując i kon-



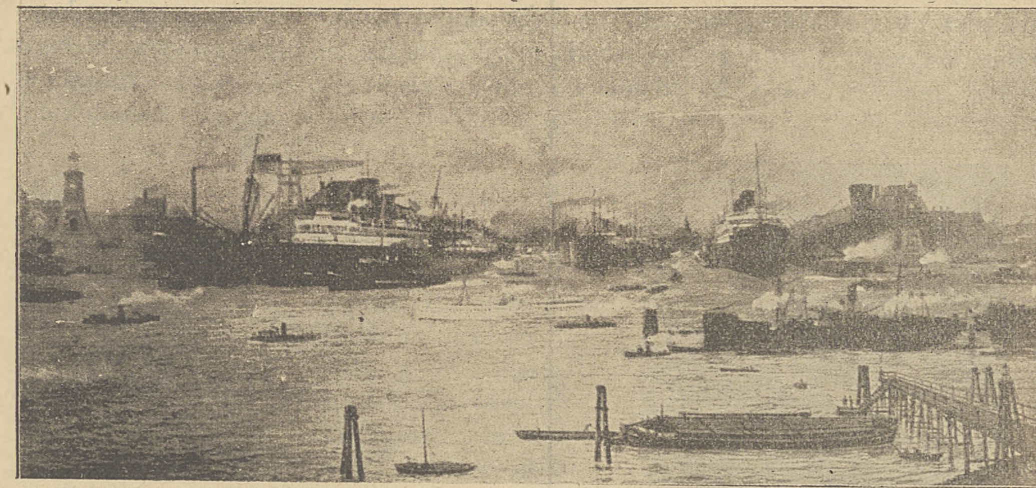
Hale dla wychodźców w Hamburgu.

trolując przybyłych emigrantów. We wypadkach zaraźliwej choroby towarzystwo jest zmuszone pod karą policyjną każdego emigranta odstawić do granicy resp. do tej stacyi kontrolowej, przez którą przejechał. W środku zabudowania stoi kościół katolicki i ksiądz Polak dochodzi tu codziennie z miasta, udzielając wiernym ostatnich może słów pociechy na daleką drogę. Istnieje także kościół protestancki i bóżnica dla wyznańców mojżeszowych. Wszelkie artykuły pożywne i potrzebne do podróży mogą wychodźcy nabyć w miejscu po cenach przystępnych. Jakikolwiek wyzysk jest tu całkiem wykluczony, bo wszystko stoi pod ścisłym nadzorem dyrekcyi, której główny gmach wznosi się w centrum miasta nad jeziorem Alster.

Tak! stumilionowym kapitałem akcyjnym można wiele zrobić. Przed miesiącem podwyższyło go towarzystwo o dalsze 20 milionów, głównie dla powiększenia liczby okrętów. Obecnie liczba wynosi razem 384.

Gdy mój przewodnik mniej więcej wszystko widzenia godne mi pokazał, wdałem się w rozmowę z kilkoma wychodźcami, którzy się przechodzili po obszernem podwórzu zabudowania. Pierwsi, do których podszedłem byli z Lubelskiej gubernii; sprzedali swą rolę za bezcen, aby szukać lepszej doli, bo w domu „nie do wytrzymania!“ Szedłem dalej: Kilku rosłych jak dęby Podolaków spoglądało smutnie na ziemię, zagadnąłem ich — „ta! panie — rzekł jeden z nich — „my chcemy żyć, a u nas nawet ptak w powietrzu życia nie pewny!“ Idę dalej, kilku inteligentnych Warszawiaków po cichu coś rozprawiało, oglądając się ostrożnie, czy ich czasem kto nie podsłuchuje.

„Z Warszawy?“ — spytałem „a jakże,“ odpowiedziało kilku, a jeden z pośród nich podniósł lewą rękę, na której cięcie szpady jeszcze nie za-



Port cesarza Wilhelma w Hamburgu.

rosło i dodał: „żebym tylko wiedział za co, proszę pana, za co?!“

„Ha! żeby i ja wiedział, za co“ rzekł słabą polszczyzną w pobliżu stojący Moskal, wskazując na swą owiniętą nogę. „Skąd wy?“ spytałem — „od Jekaterynoslawia!“ Idąc dalej, spotkałem kilku żydów rozprawiających hałaśliwym żargonem o ostatnich wypadkach w Siedlcach, i dalej: kilku Turków w okrągłych czerwonych czapeczkach, o brunatnej twarzy i czarnoburych oczach, i dalej kilku Węgrów z długimi cybuchami.

Wróciłem jeszcze raz do biura inspekcyjnego, aby się pożegnać i spytałem, wiele też tak tygodniowo przyjeżdża z Poznańskiego? „Sto do trzechset najwyżej!“ brzmiała odpowiedź — „a z Galicyi?“ Czterysta do ośmiuset“ „a z Królestwa?“ „Pięćset do tysiąca!“

„Szkoda ich, szkoda!“ pomyślałem sobie po cichu i wyszedłem. U wyjścia grała orkiestra jakiegoś marsza, bo właśnie była ekspedycya. Dziewięćset ludzi opuszczało hale, sześćset już było u portu. Każdy spieszył się z tłomoczkiem swoim, aby nie zostać w tyle. Zaczekałem jeszcze chwilę. Muzyka przestała grać i po chwili znów zaczęła: „Boże coś Polskę“. „Tu?“ myślę sobie, tu, na obcej ziemi?“ i zdjąłem mimowoli kapelusz z głowy. A ludzie cisnęli się coraz bardziej naprzód ze swymi tłomoczkami — Podolacy, Warszawiacy, tam z Mazurów i z kujawskich pól, z pod Krakowa i z karpackich gór, a jam stał i szeptał po cichu: „Szkoda ich, szkoda!“

I. B. Kokot.



Z żałobnej karty.

✝

Śp. Marcin Kaniasty

wiceprezes „Komitetu Wyborczego dla miasta Poznania,“ wiceprezes Rady Nadzorczej „Kasy Wzajemnej Pomocy“ wybitny członek „Komitetu stronnictwa ludowego.“ członek „Głównego Zarządu „Straży,“ prezes „Kasy chorych Nr. 6,“ a członek innych licznych towarzystw i instytucyi naszych zmarł po krótkiej lecz ciężkiej chorobie w 42-gim zaledwie roku życia w Poznaniu.

Z zawodu początkowo fryzyerem, później dentystą umiał wykazać zdol-



S. p. Marcin Kaniasty.

ności umysłu, któremi go Opatrzność obdarzyła. Dzielny i niestrudzony działacz seryo myślący, wytrwale pracujący, a przytem jowialnością i wesołą towarzyskością serca sobie jednający miał Niebożczyk na myśli zawsze i stale sprawy publiczne, choć przytem i dla rodziny wzorowym był mężem i czułym wylanym ojcem swojich ośmiorga drobnych dziatek.

Zszedł z tego świata nagle prawie, niespodziewanie, gdy brak jego wobec zbliżających się wyborów do Rady miejskiej i Parlamentu podwójnie nam się da uczuć. Jako prezes Okręgu II. wyborczego przy ul. Rycerskiej obchodził jeszcze krótko przed zgonem z wzorową sumiennością wyborców swojich i zagrzewał ich do zbliżającej się walki. Był to wzór członka Komitetu, godzien naśladowania; czuł potrzebę dobrego przeprowadzania wyborów i umiał nas wieść do zwycięstwa; on to był jednym z inicyatorów uchwały, że Komitet Wyborczy powinien się zajmować wyborami do kas chorych poznańskich; jego pracy też w znacznej części zawdzięczamy, iż większość kas dziś jest w naszem ręku.

Niebożczyk nie zostawił o ile wiemy swej rodzinie ziemskich dostatków; ale dzieciom swym pozostawił szanowane imię, pamięć dzielnego Polaka-patryoty i wzór naśladowania godny jak z rzemieślnika prawością charakteru i pracą obywatelską dochodzi się do godności znaczenia i zaszczytów. Społeczeństwo w zamian nie opuści też zapewne gromadki sierót, które dziś u trumny opłakując ojca nie wiedzą, że z wielkim żalem żegna go całe jędrne obywatelstwo Poznania.

Żegnaj nam, dzielny Towarzyszu pracy, walk i zwycięstw; czyny Twe i prawość nigdy w pamięci naszej nie wygasną!

N. sp. w p..

— Pogrzeb ś. p. Marcina Kaniastego odbył się we wtorek przy udziale licznych deputacyi towarzystw i cechów, które Zmarłemu towarzyszyły z sztandarami w ostatniej ziemskiej pielgrzymce. Reprezentanci Kół poselskich, deputacye z wieńcami od Towarzystw, których Niebożczyk był członkiem i liczne rzesze obywatelstwa poznańskiego posuwały się poważnym pochodem przez plac św. Piotra, ulice św. Marcina i Zwierzyniecką na nowy cmentarz farny. W zakładzie św. Józefa pożegnał Zmarłego pięknem przemówieniem p. Fr. Januszewski. Liczny udział w pogrzebie był dowodem jak społeczeństwo umie cenić pracę około dobra wspólnego podjętą.

Niechaj ziemia lekką mu będzie.

* * *

Śp. Franciszek Piekosiński

Nauka polska poniosła wielką stratę. W Krakowie, przeżywszy zaledwie lat 62, zmarł znakomity uczony, historyk pierwszorzędny, profesor i członek Akademii Umiejętności, ś. p. Franci-

szek Ksawery Pakosz-Piekosiński.

Zmarły przyszedł na świat w Wiercanach w pow. tarnowskim i w Tarnowie ukończył gimnazyum, poczem rozpoczął studya w uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył ze stopniem doktora praw. Zamiłowanie przeszłości i niezmierna erudycya w tym kierunku sprawiły, że ś. p. Franciszek Piekosiński przestał zajmować się prawem, a przerzucił się wyłącznie na pole dociekań historycznych.

Owocem tej pracy było wydane w roku 1878 dzieło p. t. „Moneta i stopa mennicza w Polsce w XIV i XV wieku''. Znakomita wartość tego dzieła zwróciła uwagę świata uczonego, zmarły też w młodym wieku powołany został na zaszczytne stanowisko członka Akademii Umiejętności. Jeszcze tego samego roku wydał krótką „Wiadomość o wykopalisku krakowskiem mo-



Śp. profesor Franciszek Piekosiński.

net Kazimierza Wielkiego'', a następnie wzbogacać zaczął piśmiennictwo polskie pracami, które zdobyć mu miały pierwszorzędne stanowisko w szeregu badaczów naszych.

Ogromna pracowitość cechowała ś. p. Piekosińskiego, dzięki niej też w szybkich odstępach czasu następowały po sobie takie pomnikowe dzieła, jak: „Powstanie społeczeństwa polskiego w wiekach średnich'', „Sądy wyższe prawa niemieckiego w Polsce'', „Łany polskie w wiekach średnich'' i kapitalna praca zmarłego, nieco fantastyczna, ale głęboko opracowana „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu''.

Już ten krótki, najważniejszych spis dzieł wielkiego historyka daje świadectwo ogromowi wiedzy i pracowitości ś. p. Franciszka Piekosińskiego. Przedwczesny też zgon męża tej miary budzi żal szczery.

* * *

Śp. ks. Michał hr. Mycielski, **były prowincyał zakonu Jezuitów, zmarł w Chyrowie w Galicyi w 80 r.** życie. Ś. p. ks. Mycielski, jeden z najwybitniejszych Jezuitów polskich, pochodził z Księstwa Poznańskiego, skąd wydalony podczas walki kulturnej w



Ś. p. ks. Michał Mycielski.

latach siedemdziesiątych, przeniósł się do Galicyi i tutaj pracował jako rektor kolegium w Starej wsi, a dwukrotnie wybieranym był prowincyałem. Wybitny udział wziął w przeprowadzeniu reformy zakonu unickiego Bazylianów.

Z chwili bieżącej.

Herman Roeren. — Krótko przed rozwiązaniem parlamentu niemieckiego prano w tem ciele prawodawczem „brudy kolonialne'' wobec zastępcy

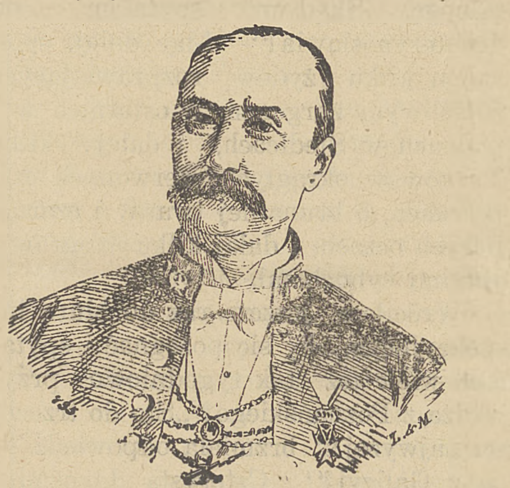


Herman Roeren,
tajny radzca sprawiedliwości, były poseł centrowy do parlamentu niemieckiego,

dyrektora kolonialnego Dernburga. Najdzielniej się spisał w tej sprawie poseł centrowy, tajny radzca sprawiedliwości, Herman Roeren, który wytoczył przed forum parlamentu najohydniejsze i najbrudniejsze sprawki popełnione przez naszych najserdeczniejszych na biednych murzynach i murzynkach w niemieckich koloniach w Afryce oraz w misyach katolickich.

* * *

Dr. Lapponi, przyboczny lekarz Papieży Leona XIII i Piusa X, zmarł w piątek dnia 7 b. m. na zapalenie płuc. Należał on w Rzymie do wybitnych i znakomitych ogólnie osobistości. W r. 1886 został zamianowany lekarzem przybocznym ówczesnego papieża Leona XIII, wobec którego i jako lekarz i jako człowiek umiał występować z takim taktem, że zaskarbił sobie przyjaźń ze strony tego Papieża, który do przyjaźni wogóle nie był skorym. Gdy Pius X zasiadł na tronie, pozostawił Lapponi'ego na dotychczasowem stanowisku, darząc go równie przyjaźnią i zaufaniem. Dzięki swojemu wyjątkowemu stanowisku, znał



† Dr. Lapponi, przyboczny lekarz papieży Leona XIII i Piusa X.

Lapponi bardzo dokładnie bieg spraw w Watykanie i dyplomaci chętnie zasięgali u niego wyjaśnień. Ale Lapponi odznaczał się dyskrecyą i nigdy nie nadużył swego stanowiska. Powiadają, że gdy była mowa o ciągłem przebywaniu Papieża w Watykanie skutkiem zatargu z rządem włoskim, Lapponi oświadczył, że to wcale nie wpływa ujemnie na zdrowie Papieża. Leon XIII zgodził się na to orzeczenie, dodając, że w ten sposób uwolniony jest od wielu oficyalnych ceremonii, ogromnie nużących.

Lapponi, syn wieśniaczy, urodził się w roku 1850, a dyplom lekarski uzyskał w r. 1875 w Bolonii. W r. 1888 został zamianowany pomocnikiem lekarza papieskiego Ceccarelli'ego, a po śmierci jego w r. 1893 został przybocznym lekarzem papieskim. Dochody jego były niewielkie. Pobierał miesięcznie, prócz dochodów pobocznych, 200 marek płacy, a leczyć musiał także cały dwór papieski. Pensya ta została wyznaczoną dla przybocznych lekarzy papieskich już bardzo dawno i mimo

zmienionych wielce stosunków nie uległa zmienie. Dr. Lapponi, który przed laty napisał dzieło o Lourdes, wydał niedawno książkę p. tyt. „Hypnotyzm i spirytyzm“.

Rok się kończy...

Rok się kończy, więc Rodacy
Pamiętajcie też o „Pracy“,
Wcześnie trzeba grosik składać
I na poczcie zaraz nadać;
Także trzeba między swemi
Wspomnieć słowy gorącemi,
Że jest „Praca“ tego warta,
By przez swoich była wsparta.
Hakatyści chcą ją zdławić,
Więc musimy ją wybawić...
Figla wrogom wypłatajmy,
Czytelników nazbierajmy —
„Praca“ Księstwo, Śląsk zaleje,
Wtedy Niemiec oniemieje...
Rok się kończy — więc Rodacy
Pamiętajcie też o „Pracy„
Hej! na pocztę, a zamawiać,
Do znajomych, a namawiać...
Niech się mnoży tysiącami,
Niech jej dobrze będzie z nami...
Spodziewamy i czekamy,
Że redaktor to doniesie:
Każda chwila nowych gości
Tysiąc, tysiąc, tysiąc niesie...
Nie żałujcie!
Nie rachujcie!
Marka — dwie...
Oj nie! nie!
Wszystko mało, boć ta „Praca“
Ciemne chmury nam ozłaca,
A poczciwa, ukochana...
Niechże będzie popierana,
A kiedy wróg tak z nią broi
Polska cała za nią stoi!

Czytelnik „Pracy“.

Humor i satyra.

Dla Poznanianek na gwiazdkę!

W mieście krąży sensacyjna pogłoska, że na najbliższem posiedzeniu rady miasta wniesie jeden z panów radnych interpelacyę tej treści:

Czy p. nadburmistrz wie, że w Paryżu wprowadzono w ruch (?) kobiety-dorożkarki, i czy, idąc z postępem czasu, pan nadburmistrz nie zamierza także nasze kobiety wprowadzić w ruch, wydając im odpowiednie konsensy na wykonywanie tego przemysłu

Interpelant zamierza podobno w uzasadnieniu interpelacyi podnieść, że byłby to stosowny dla naszych nadobnych Poznanianek podarunek „na gwiazdkę“.

* * *

Pobożne życzenie Mani.

Piękną zabawkę — nota bene męża —
Oby na „gwiazdkę“ zesłało mi niebo,
Abym ją mogła nakręcać dowoli
Za każdą myśli — i serca potrzebą.

* * *

Na „Gwiazdkę“ dla teściowej.

Gniew zabardzo cię opętał,
Trudno się oduczyć,
By zięć „Gwiazdkę“ popamiętał
Trzeba mu dokuczyć.
Chcąc dokuczyć zaś przy święcie,
Tak jak ludzie duzi,
Na kolendę więc w prezencie
Zafunduj mu... buzi..

* * *

Na „Gwiazdkę“ dla zięcia.

I znowu zima i znów chłód surowy
I wicher śniegiem wieje znów na dworze,
Bądź więc w tym czasie grzecznym dla teściowej,
Bo ci niegrzeczność tu nic nie pomoże.
A że jej trzeba złożyć coś w prezencie
Za całoroczną przekorę i zrzędę,
Hojnym się dla niej zrób przy „Gwiazdki“ święcie,
Ładny k....... kup jej na kolendę.

* * *

Co najgorsze.

Źle to bardzo, gdy twa żona
W nudów tonąc bagnie,
Aby mieć coś do roboty,
Cyklistką być pragnie.

Źle to bardzo, gdy za prądem,
Jak za owcą jagnię
Dążąc czynną *feministką*
Być koniecznie pragnie.

Lecz najgorzej, wierzaj wtedy,
I przepadło wszystko
W życiu twojem, jeśli żona
Twa jest.... *egoistką.*

* * *

Pytanie i odpowiedź.

— Czy można żenić się z córką zacnego, ale zrujnowanego człowieka ...

— Można, ale nikt tego nierobi.

— Czy można żenić się z córką bogatego, ale używającego złej opinii człowieka?

— Nie można, ale się to często robi...

* * *

Ta ich zna.

— Jakże pani zdrowie, kochana pani Fajtlaper?

— Niech moje wrogi mają takie zdrowie. Pani nie masz pojęcia ile mnie kochani doktorzy kosztują....

— Przecież pani masz zięcia doktora — on może panią darmo leczyć.

— Nie powiedz pani głupstwo. Każdy zięć reflektuje na sukcesyę!

Zagadka.

Gdy mnie poważnie bierzesz — jestem [cała
Z kamienia, murów, poważna, wspaniała;
Lecz gdy mi schlebiasz pieszczotą imienia,
Cała powaga moja — w tan się zmienia!

Rozwiązania nadsyłać należy najpóźniej do dnia 29-go b. m.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 49-ym:

B a r **C** h a n.
G e d **Y** m i n.
K l e **P** a r z.
M a u **R** y c y.
S y c **Y** l i a.
E k w **A** t o r.
S z a **N** h a j.
K a n **G** u r y.
Z d r **O** w i e.
G o z **D** a w a.
D n i **E** s t r.
H r a **B** i n a.
G ł u **S** z e c.
B a ł **K** a n y.
L e w **I** t y k.

Cypryan Godebski.

Dobre rozwiązanie nadesłali i otrzymali nagrodę pp. Michał Tadrzyński z Gościeszyna, powiat babimojski, Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, H. Wodecki z Ropczyc (Galicya) i Jadwiga Badura z Roździenia (Górny Śląsk.)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

5)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

Rozeźlił się — mówiła pani Jagnieszka dalej i ze dwie niedziele w Zarudziu nie był. Nie spodobała mi się obojętność taka i jeszcze to, że nie skamlał nigdy i ni razu nie westchnął żałośliwe, i — gdy inni — jako do obrazu cudownego, pacierze mówić chcieli, on ci rzekł: że wolejby ten obraz pod pierzynę wziął i samby już cudy wyprawował. „Zapłaczesz — gorzko zapłacesz, panie Pogorzelski!“ — mówiłam do siebie, okrutnie za ono zbereżeństwo zagniewana — i aby kto we wrotach się okazał, pana Macieja wnet oczyma szukałam, pomstę mu obiecując. Wiedziałam, że mu Jaśko najbardziej się nie spodobał, jako, że trefiony włos miał i chodził cicho; to też mówiłam do się: „On ci mój będzie, nie ty!“ — ale choć Jaśko i inni próg domu pana ojca mojego nawiedzali, ja czekałam Macieja, by mu wpierw w oczy skoczyć, a później swadźbę Jaśka przyjąć. I oto przyjechał po dwóch niedzielach niebytności, strojny, kieby na weselisko się wybrał, świecący, kiej monstrancya od kamieni drogich, z towarzyszami swoimi w szatkach barwistych, a wszyscy na koniach dropiastych, które pacholikowie wnet wzięli, w czerwieniaste kubraki przebrani. — „Oho — w swaty!... pomyślałam... Dam ci ja swaty, poganinie!“ — i choć mogłam panią matkę na poratunek zawołać, wolałam sama zbója tego przyjąć, boć rodziciele trochę za nim trzymali, że to, i majętność niemałą miał i poważanie w narodzie. Złość we mnie rozbiera — czekam... Idzie ale sam, drużyna zatrzymała się w sieni, co mi się dziwno jakoś zrobiło, boć to nie służba była, jeno rycerze prawi a ziemianie. — „Chycić mnie zamierzasz czy co? — Ano, poprobuj, panie Pogorzelski, Jagnieszkę Zaradyńską chycić!“ — Tak se myślę i ucho nastawiam, gniewająca się okrutnie. Wszedł, od progu już się pokłonił, rękę do serca przykładając — i gdym się plecyma odwróciła, podbiegł tak szybko, żem musiała znów twarzą ku niemu spojrzeć zastrachana trocha i stropiona. — Panno Jagno!“ on do mnie. — „Co?“ niby ja pytam. — „Zali nie widzicie, że miłuję was do zdechu?“ — „A ja nie!“ odpowiadam. — „Nie?!“ zawołał... I jak nie chyci mnie wpół, jak nie pociągnie do siebie, aż mi się w głowie zamroczyło z śmiałości takiej. W krzyk tedy — a on do ucha i szepce: „Żeby wszyscy dyabli pod nogami mi się plątali — będziesz moją! — Żeby piekło otworzyste oboje nas wziąć miało — będziesz moją! — Żeby święty Michał archanioł z mieczem ognistym tu stanął i „zaś“ krzyczał — zewrę się z nim i... będziesz moją! — Nie żyć mi bez ciebie, nie chodzić mi po tym świecie bez ciebie, a że nikomu nie oddam cię, Jagulu, to na ten miecz mój jasny przysięgam! — Niech tamci skurczybyki modlą się do ciebie, ja ciebie pocałunkami zjem; niech tamci mlamlą niewyraźnie o miłowaniu swojem — ja ci się w pierś wpiję, w usta wgryzę, żeberka połamię, skonam, ale ciebie im nie dam, pókim żyw!...“ — I zaczął mi oczy wypijać, w usta się wgryzać, głowinę moją do piersi swojej przytulać, że taka mnie gorąc zalała, a ciągoty chyciły, iżem o pomście a zbereżeństwie wszystkiem zapomniała, zatapiając się w nim, jako jagoda w miodzie złocistym, i gdy on szepnął: — „Jaguś ty moja!“ — „Maciuś!“ odpowiedziałam wnet — i gdy on prawił: — „Gorzko-ż ci jest w ramionach moich?“ — „Nie wstydaj — ja na to. Wżdy, jako mi jest, wiesz-ci sam dobrze!“ — „Drużba!“ — krzyknął tedy, że można było pomyśleć, iż piorun trzasł. Do izby wnet weszły kompany jego i skądciś muzyka się ozwała i bębny załomotały. Zaruśko mnie wziął za rękę, uśmiechnięty, promieniejący i w tan poszedł przez izbice wszystkie do piekarni prosto, gdzie byli pan ociec i pani matka i ze zgapieniem na ony pląs patrzyli.... Ot — i co ci mam dalej prawić?... libo nie wiesz jakom szczęśliwa z moim Maciusiem była?.... Wziął ci mi go Bóg po latach niewielu, zarzezali go pod Gdańskiem krzyżaki — (niech mu światłość wiekuista świeci!) a już ja wdowieńskich nie zdjęłam szatek, błogą nadzieją się ciesząc spotkania się z nim w niebiesiech na wieczność już nienaruszoną.

Otarła rękawem łzy, coś jeszcze spłowiałemi usty szeptała, może pacierz za umarłe, może niedopowiedziane jakieś słowa Maciusia...

Pan Floryan podniósł się z krzesła.

— To mi radzicie, pani ciotko, jako wasz Maciuś postąpić?

Pani Jagnieszka szeptać przestała — i uśmiechnęła się . . .

— Niewiasty nie lubią deliberacyi w materyach miłosnych.

— Może i tak, może i tak — albo ja wiem!.. — odszepnął, nie wiedzący dobrze, ma-li pana Macieja naśladować.

Przyciszyło się.

— Spróbuj, Florku! — po chwili odezwała się pani Zarudyńska.

Pan Floryan poruszył głową.

— Boję się!... — szepnął.

— Maciuś się nie bojał, choć ci mi nawet o połamaniu żeberek prawił.

Gdyby to Niemiec był, nie dziewka delikatna, tobym i łeb mu z zadowoleniem ukręcił. Ale znacie, pani ciotko, to chucherko moje umiłowane... Ostróżka ma więcej mocy od niej.

— Nie byłam ci i ja inna, a takie mnie ciągoty chyciły, że po wiek tego nie zabyć.

— Straszno! — pani ciotko!

— Tobieć to straszno, Florku — ale my, niewiasty, nijakiego lęku nie czujemy.

Już kumpanów zebrał a w strój paradny się przyodziewa... Już umiłowaną swoją w ramiona chwycił, już mu się jako fala przez rozkochane ręce przelewa, muzyka się ozowa, bębny biją — gdy wtem zajadłe psy przed domostwem zaszczekały, zatrzeszczała w sieni podłoga..

Ktoś wszedł i do drzwi się świetlicy zbliżał.

Pan Floryan się podniósł, spojrzała i pani Jagnieszka, bo żadnego gościa nie spodziewano się podczas ciemnej, jesiennej a rozwichrzonej nocy.

Próg przestąpił szlachcic otyły, zez i kuternoga, z głową ostrzyżoną na jeża, o włosach już siwiejących nieco a zadzierżyście się trzymającą; wąsy miał krótkie, gęste i twarde, niby szczecina świńska, nos małdrzykiem pośrodku fizyonomii siedzący, brwi krzaczaste, oczy świdrujące a biegające ni to jaskółki niespokojne; buty wymazane dziegciem, śmierdziały okrutnie, kapota z samodziałowego sukna uszyta i pas skórzany, na zapięciu zakończony pyskiem wilczym.

Na widok tego niespodziewanego gościa, niezadowolenie pewne odbiło się na fizyonomii pana Floryana, ale, że „gość w dom, Bóg w dom“ — tedy, choćby to i tatarzyn był, libo inny wróg jaki, nieukontentowania swojego gospodarz okazywać nie może, jeno uśmiechnąć się i ławę podsunąć. Gość ony nie zatrzymał się w progu, do pani Jagnieszki wnet podszedł i godnie ją powitał, później do pana Floryana się zwrócił i rzekł:

— Nie spodziewaliście się odwiedzin takich — hę?

— Zaprzeczyć trudno — pan Floryan na to.... — Wichr... ciemnica...

— Baj — baj!... — odrzucił przybyły. — Niby to wichr i ciemnica mogą nas doma zatrzymać, gdy się jakowąś sprawę ma, abo jakiego takiego somsiada chce się odwiedzić. Nie spodziewaliście się mnie, Jacka z Wilczych-Dołów — ot co!... Poco prawdę szczerą w bawełnę obwijać?...

— Wżdy między nami już uraz nie ma — dość mięlko odpowiedział gospodarz na ławę wskazując, by usiadł. — Wżdy oddałem wam połeć lasu, który, Bogiem a prawdą, do mnie od wieku należał.

— Cóż to? — oburzył się pan Jacek... — Wydarłem go wam — he ... Przeciech swojego nikt po próżnicy nie oddaje, procesem bierze, siłą zatrzymuje, jako to ja czynię, własności swojej strzegący.

— Nie tak siłą, jako językiem, zmusiliście mnie do zgody nieumiłowanej — odparł pan Szary. — Krzywdziliście pamięć rodzica mojego, że niby od majętności waszej odjął tych sosen setek parę, na polanie wedle młyna, choć kopce graniczne nienaruszone stojały, i po mojej, nie po waszej stronie, poważne świadki byiy.

— Świadki przekupić a kopce przenieść nic trud żaden — rzekł pan Wilczodolski.

— Po całym powiecie bębniliście o bezeceństwie takiem, do jakiego nie ś. p. panu ojcu mojemu ręki było przykładać. Nie uniknąłem ci i ja waszego ozora, że mi już nic nie ostawało, jak w pysk wam lunąć a bez sądu sprawę zakończyć. Świadki przekupić?.... cóż to?.... Żali stare gospodarze a kmiecie prawe w rozterce z sumieniem są a obrazę Boską za nic mają? Kopce przenieść?... a wżdy próchnica wytworzyła się już pod nimi a słupce dębowe, choć opalone były i dziegciem namazane, do szczętu mrówki przejadły. Jeżelim podlec był i do grzechu śmiertelnego przekupstwem ludzi prowadził, to nie mógłbym kopcom kazać w ziemię zapadać a mrówkom słupce dębowe jeść. Lata to jeno a czas wytrzymały; uczyniły one najlepsze świadki niewinności mojej. Praw byłem i swegobym nie puścił tak lekce, jako to zrobiłem, ale dnia i nocy spokojnej nie miałem, rozbijaliście mi ludzi, rąbaliście las, wykaszaliście potraw a mnie i pamięć rodziciela mojego krzywdziliście niegodnie. Spokojny ze mnie był człek, a do bitki zmuszaliście, aż mi to sąsiedztwo z wami obmierzło. A niech go w ciurności!... pomyślałem sobie. Po sądach się włóczyć, obmierzłych obgadywań słuchać, a tu to ten, to ów przyjeżdża do mnie i prawi, jakoście mnie z uczciwości wszelakiej odzierali. Nie stojałem ci ja o tych parę sto sosen, bo chwalić Pana Boga, bór mam wielki; święty spokój ceniłem więcej, niż ono ujadanie się z wami — i dla tegom na nowo grunta rozmierzył, krzywdy w niepamięć puścił, oddałem całą polanę wedle młyna leżącą, by obrazy Boskiej nie było a mniejszym ludziom przykładu złego. Wżdy możem już zgodnie żyć, na Panajezusowy sąd pośmiertny, ziemski spór nasz oddając.

Podsunął dzban piwa.

— Nie trutka — pijcie!...

Wilczodolski odsunął dzban.

Pan Floryan podniósł się.

— Obraza!... — rzekł. — Wżdy kopce wedle waszej woli usypane.

— Jeno wedle młyna — rzucił przekąśliwie pan Jacek. — A młyn i pół stawu czy klinem do majętności mojej nie wchodzą? czy może się tak załamać granica a nie iść miarą prostą? Na ruchliwej wodzie nie sypać kopców, ale to się rozumie samo, że młyn i pół stawiska do Wilczych-Dołów należą, tymczasem kto bierze odsypkę, jeżeli nie wy, niewody zaciąga i pół ryb mi przypadających, z uszczerbkiem dobra mojego zabiera — kto?...

Pan Floryan wypatrzył się, nie rozumiejąc nic.

— To może chciałbyś i młyn mi zagarnąć i niewody zaciągać?

— A jakże? — pan Jacek na to.

— Takową modą i całe Szarki wziąć mi można!...

— Należały i one niegdyś w całości do Wilczych-Dołów, jeno dziadek wasz panu ojcu mojemu zagrabił je bezprawnie.

— Dziada już mi tykasz? — wrzasnął pan Floryan.

Pani Jagnieszka porwała się strwożona, po raz pierwszy w życiu słysząc podniesiony głos siostrzeńca, a Wilczodolski prawicę przed się wyciągnął i zawołał:

— Nie na kłótnie-m tu przybył, jeno poskarżyć się na krzywdę moją. Na przedwieczerz dzisiaj niewody zapuściłem do stawu mojego, a młynarz waszmości uczynił gwałt, niewody mi powyciągał i popsuł.

— On ryby moje łapie! — zawołał pan Floryan.

— Jeżeli chcecie zgody somsiedzkiej a świętego spokoju, o który wam tak chodzi — ciągnął Jacek — to młynarza wygońcie precz, młyn po dobrej woli, bo mój jest, odstąpcie, za popsowane niewody zapłaćcie, bo ja swego do zdechu bronić będę i kości pradziada waszego z grobu wywłóczę — ot, com chciał rzec!...

Czapę na łeb nałożył i nie pokłoniwszy się nawet, pokukrztykał do drzwi wychodnych.

Pan Floryan stał odurzony, jakby piorun weń trzasnął, z trwogą na niego pani Jagnieszka patrzyła.

— Panie Jezu! zaco mnie doświadczasz — odezwał się po chwili.

— Za ustępliwość — wtrąciła pani ciotka.

— Nijak z tym człowiekiem poradzić! — wołał Szary.

— Pozwól kurze w grzędy, a polezie wszędy — rzuciła pani Jagna.

— Mój był las, moja polana, od czasów Popielowych moja — i co?

— Naś-ci i ogon, kiedy już zad wziąłeś — ozwała się znów pani Jagnieszka.

— Teraz młyna mu się zachciewa, a jutro i po chałupę sięgnie.

— Mądry bierze, głupi daje — wtrąciła znów pani Zarudyńska.

— Przysłowiami domawiacie, w których ma mądrość a doświadczenie być. A wżdy jest i takie: Lepsza słomiana zgoda, niż złota wojna.

— Nie pytajta więc Pana Jezusa za co doświadcza.

— Nie On-li to zgodę nakazał?

A nie On-li to powrozami przekupnie bił?...

Nie On-li mówił o płaszczach dwóch?

— A nie On-li to prawił o pannach głupich, które czas swój przespały?

— Co czynić mam? powiedzcie, co czynić mam?

— Oddajta Jackowi Wilczodolskiemu młyn, młynarza wypędźta, za niewody zapłaćta a i może do Jewki w swaty od niego pojedzieta.

Pan Floryan rzucił się, jakby go zła mucha ukąsiła.

— Gryziecie, pani ciotko — jęknął.

Po środku świetlicy stał wahający się, zamyślający, niepewny. Nagle zczerwieniał, jakby krew wszystka do twarzy mu uderzyła, podłużna pręga na czole żelazistą przybrała barwę, pot zaczął ociekać kropliskami dużemi.

— Młyn?... Jewka?... niewody?!... — wrzasnął. — Niedoczekanie twoje, pieniaczu! Chcesz sądów — będziesz miał sądy! chcesz gwałtów — potrafię ci i ja sadła za skó-

rę zalać i żebra parobkom twoim policzyć i łby im obuchem porozwalać, choć mi żal ludzi niewinnych, bezecnego włodarza mających. Młyna ci się zachciewa? ryb się moich zachciewa? Nie dość, iżem ci pozwolił do stawu mojego zbliżyć się, gdzie muszę na fizyonomię twoją, w wodzie cierpliwej odbitą, patrzeć, jakby mi jednej nie dość było, która irytuje we dnie, a po nocach śni mi się i zmorą dusi?... Młyn? ryby?... A gdziebym to sieść mógł wtedy w strapieniu niejednem i wielkiem utęsknieniu ducha, by takiej gędźby wodnej zasłyszeć, takim błyskom a klejnotom się napatrzeć, takich szumów a klekotań uchem pochwycić, kiedy to po łotokach woda bieży a w dół spada i szumi i dzwoni i wzdycha i gra? a one rybek pluski, a korowody ich i pląsy rusałczane w plamach słonecznych, pomiędzy cieniami wierzb, których kołki własnemi rękami ciosałem, i sadziłem na brzegu zielonym?... Nie dam — choćbyś zmarł!... — zawołał, nogą o ziem uderzając. — Nie dam — choć... byś...

Zatrzymał się.

Po chwili głową poruszył i tchnął... Jakiś wiatr zdmuchnął czerwień z twarzy, na czole zbielała pręga żelazista, sfałdowane groźnie brwi się rozbiegły, jeno wargi nieco skrzywione miał, jakby gorzkości jakiejś pozbyć się nie mógł. Pani Jagna patrzyła na niego z uśmiechem miłowania i przywiązania bezgranicznego.

— Praw się... po sądach się włócz... Najeżdżaj... zajeżdżaj... Obraza Boska — i już!... — pod wąsem mruknął.

Podrapał się w głowę i na panią ciotkę spojrzał.

— A może go tam przypuścić do ryb — odezwał się miękko. — Za niewody można zapłacić — zawżdy to strata! młyna się nie da, bo sam ci go zbudowałem — ale.... ryby?... Bóg ci je stworzył dla użytku ludzkiego, jako i wody z pod ziemi wywiódł, do czego człek trudu żadnego nie przykładał. Usypało się wprawdzie groble dla zatamowania strumienia bystrego, ale już to się dla własnego użytku zrobiło.

Spojrzał na panią ciotkę jasnemi, pogodnemi oczyma, jakby potwierdzenia dla słów tych od niej czekał.

Pani Jagnieszka uśmiechnęła się.

— A wżdy on mówił, że młyn do niego należy.

— Niechlujny język ma, ale dusza krzyżacka nie siedzi w nim przecież. Niegodnym somsiadem jest — to prawda! ale może umitygować się da.

— Florku! Florku, — ozwała się pani Zarudyńska. — Jako ty żyć możesz, bez żółci wątrobianej?...

Podeszła, objęła głowę pana Szarego i pocałowała go w czoło. Szlachcic ręce jej wziął i do piersi przytulił.

— Ciotuś! — szepnął.

Spojrzała.

— Zali sposób pana Macieja doprawdy dobry jest?...

Silny uścisk rąk wychudłych a drżących był odpowiedzią.

Nagle spoczywające przed domem psy, gwałtownie się porwały i z ujadaniem a szczekaniem groźnem pognały do wrót. Po chwili dał się słyszeć tentent kopyt, szczęk mieczów, gwar głuchy.... Rycerska drużyna jakaś wjechała na dwór — służba biegać zaczęła i drzwi otwierać.

— Kim-że to znowu Pan Bóg nas darzy — odezwała się pani Zarudyńska.

— Dyabli rozwiązali worek — zaśmiał się pan Floryan.

W progu świetlicy stanął Wińcz Szamotulski.

Na widok wielkorządcy poznańskiego, pani Jagna umknęła wnet, że to po domowemu ubrana była, persony takiej nie spodziewająca się, jako też, że pewnikiem potrzeba będzie i wina dobrego dać i strawę nie byle jaką postawić a może i o noclegu dla osoby tak ważnej pomyślić. Pan Szary pospieszył, z wielkiem ukontentowaniem witając przybyłego, a wiedział, że Szamotulski ziemie objeżdża i nie jednego już szlachcica bytnością swoją zaszczycił.

— Nie przepomnieliście i o mnie — prawił — a z dnia na dzień oczekiwałem przybycia waszego.

— O kim a o kim, to o wasbym nie zabył.

Uścisnęli się.

— Jakże zdrowie? — Wińcz spytał.

— Jak groch przy drodze — odpowiedział pan Floryan. — Jeżeli go nie minie, nie naruszając, bydle niektóre, to pewnikiem Wilczodolski uskubie.

Szamotulski zaśmiał się.

— Znowu coś nabroił? — spytał.

— Młyna mojego mu się zachciewa.

— To mniejsza! ale bąkał mi dziś w południe, gdym doń zajrzał, że się to niby z krzyżakami bratacie.

— Ścierwa! — wybuchnął pan Floryan.

— Wżdy nie mnie wiarę mu dać, znającemu poćciwość takiego, jak wy, rycerza. Ale coś te juchy plączą się tutaj i rozboje popełniają.

Tu opowiadać zaczął o onej napaści ponocnej i uśmierceniu kmiecia. Nie mówił jeno nic o rycerzu Salzbachu, z którym to w lesie wypadkiem spotkał się był i przy ognisku czas niejaki przepędził.

— Nie pierwszyznać to u nas!... — pan Floryan na to. — Wojny niema, a jako wczas wojenny wciąż na baczności mieć się trzeba. Przespieczne jeno dwory ślacheckie, bo w bramach zamkniętych a orężnym opatrunku moc mają, kmieć za to cierpi najwięcej i nieraz krwią zapłacić musi, że urodziła go mać polska. Nie masz dnia, by kto do Pana Jezusa ze skargą na te Niemce niegodnie nie poszedł — a no, przyjdzie kiedyś sąd i pokaranie — dodał. — Dokąd-że teraz Bóg dostojność waszą prowadził? — spytał.

— Pod Jasiniec, na zwiady, kędy Niemcy załogę jakoby wzmacniają,a a Bóg tam ich wie, czy czasami o czem niedobrem nie myślą.

— Ale nockę u mnie spędzicie?

— Nie, panie bracie! mam rozłożone zajęcie i dni. Wina mi dasz, kompanów moich podkarmisz i za wrota z Bogiem wypuścisz.

Drużyna Szamotulskiego na wezwanie gospodarskie jeno czekała. Weszła z okrutnym nóg stukotem — i taki hałas się podniósł i zabieranie się do mis wnet zastawionych, że nie było słychać homonu wichrów, chropotu obnażonych gałęzi o gałęzie, i jęku jakiegoś czy wycia, który darł się przez one szelesty jesienne, a od wrót szedł i w ciemność zapadał i wichr. Klekotały łyżki lipowe, o brzeg mis uderzając; mlaskały języki, tępe dzwoniły naczynia cynowe, zkąd żółte piwo sączyła drużyna Szamotulskiego; do świetlicy psy nawet wbiegły, korzystając z drzwi na chwilę otwartych, i skomlić zaczęły a między nogi się plątać, chwytając w powietrzu rzucane im kawały chleba, podskakując a klamkając zębami. Rozmowa rycerzy mieszała się z wichru skowytem, szelestem drzew, psów warczeniem,które tu i tam już gryźć się zaczynały i kudły szarpać. Śmiechu i wesołości do woli było. Szamotulski z panem Floryanem nieco na uboczu siedzieli i wino zacne popijali, a ony jęk, niesłychany przedtem, o ściany już dworzyszcza uderzył, do sieni wpłynął, drzwi rozwarł na ściężaj i do świetlicy lamentem wielkim wpadł.

Porwali się wszyscy.

— Janocha.... — krzyknął pan Floryan.

(Ciąg dalszy nastąpi.)